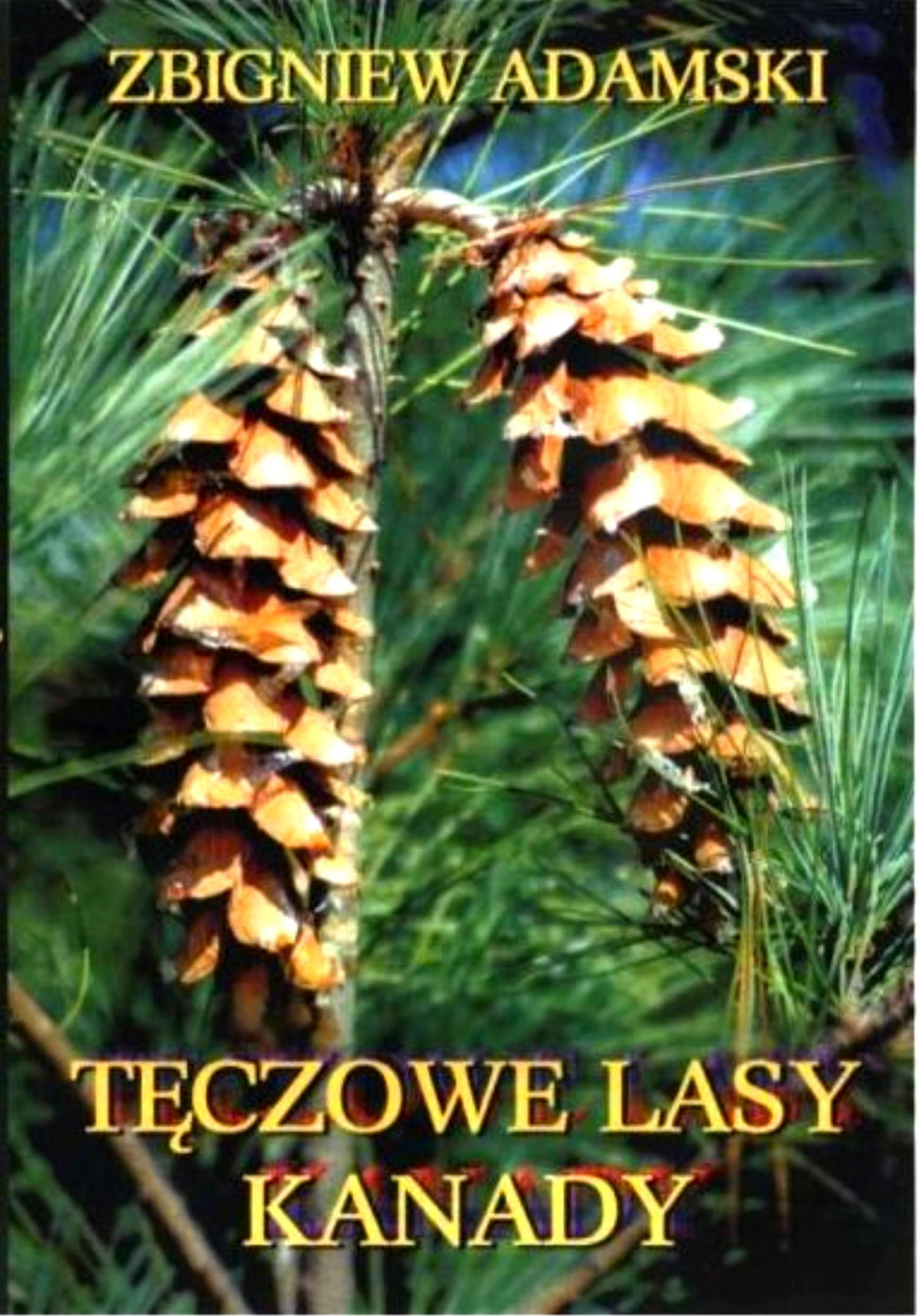




ZBIGNIEW ADAMSKI TĘCZOWE LASY KANADY

ZBIGNIEW ADAMSKI



TĘCZOWE LASY
KANADY





ZBIGNIEW ADAMSKI

TECZOWE LASY KANADY

Łowieckie przygody z Północnego Ontario



Wszelkie prawa zastrzeżone
Jelenia Góra - 2005 rok
Printed in Poland

Wydawnictwo wspierane przez

Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Jeleniej Górze

Recenzent: Andrzej Pietruszko - Kanada

Redaktor: Andrzej Grzelak, Adam Jackowski

Skład komputerowy: Andrzej Chmielewski

Zdjęcia i rysunki: autora i z archiwum Polskiego Klubu Myśliwskiego w Kanadzie.

Diapozytywy opracował: Dariusz Adamski

Opracowanie graficzne oraz okładka: Jan Poniatowski

Wydanie drugie elektroniczne

Przygotowała Zofia Wąsik

Jelenia Góra - kwiecień 2016 r.

Wydanie pierwsze

Copyright 2005 by Zbigniew Adamski

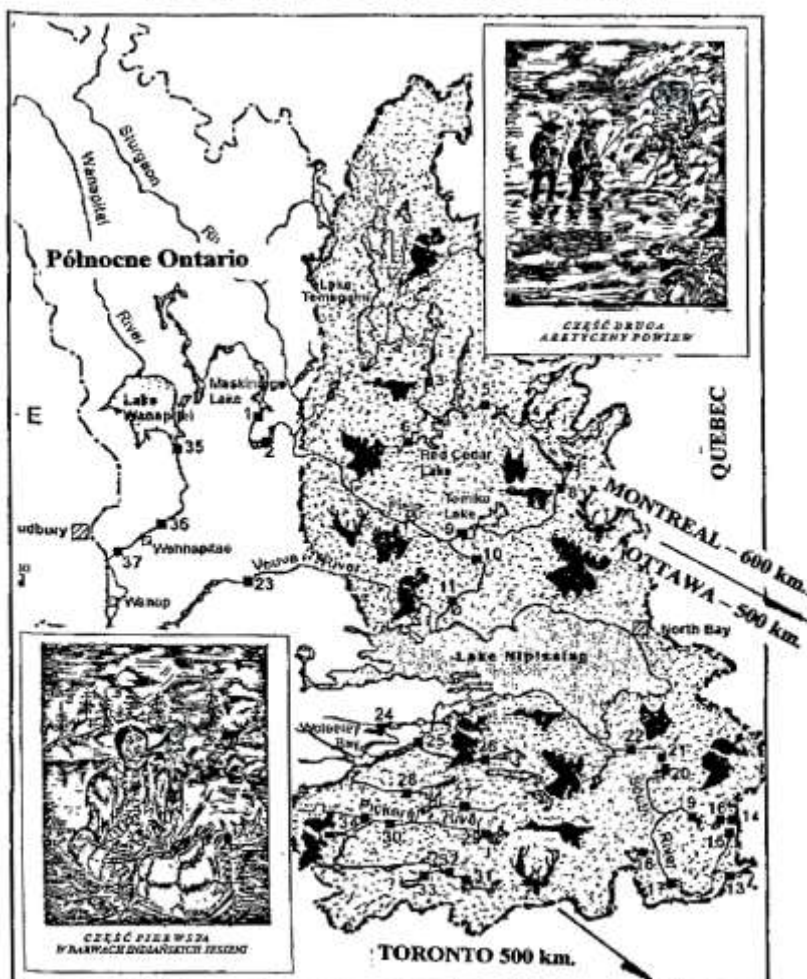
ul. Norwida 6a/7

Jelenia Góra – 2005

**This publication parts thereof, may non be reproduced in any
form, by any method, for any puropose.**

Printed in Poland

TĘCZOWE LASY KANADY



Wydawnictwo wspierane przez:
Zarząd Okręgowy Polskiego Związku Łowieckiego w Jeleniej Górze,
sklep myśliwski „Muflon” w Jeleniej Górze.

„Tęczowe lasy Kanady” to jedna z trzech „kanadyjskich” książek Zbigniewa Adamskiego, po „Ontaryjskim safari” i „Nad rzeką św. Wawrzyńca”. Opisuje w niej swoje przeżycia z największych ontaryjskich puszczy, dziewiczych kompleksów leśnych, rzadko zaludnionych i ucywilizowanych. Pełno tam dzikiej zwierzyny i ptactwa, której nikt nie hoduje, ani dokarmia, lasów gdzie nie ma leśniczówek, ani nie sadi się drzew, gdzie gospodarzami są bobry i one decydują o ich kształcie i krajobrazie.

Autor prezentuje wydarzenia, w których uczestniczył w czasie polowań i łowów z kamerą na niedźwiedzie, wilki i łosie oraz dzikie ptactwo. Opisuje pełne zaskakujących przygód wyprawy na dzikie pustkowia w Temagami i prowincje Muskoka, Pary Soud i Nipissing. Przedstawia emocje związane z zarzucaniem wędki na największe ryby słodkowodne - musky, północne szczupaki, pstrągi, łososie i bassy.

- Wspomina wyprawy z indiańskimi przewodnikami, na polowania z kamerą na białego wilka i niedźwiedzie. Odwiedza indiańskie rezerваты Algonquinów, Huronów, Cree, czy Nipissing.

Książka ta jest pełna przeżyć myśliwskich ze strzelbą, kamerą i rysunkowym blokiem, napisana barwnym językiem łowieckim w dzikich ostępach, w sąsiedztwie indiańskich myśliwych i miejscowych traperów.

Zawiera kilkadziesiąt barwnych fotografii, rzadkich scen myśliwskich ukazujących atmosferę obcowania z surową przyrodą Kanady.

Kazimierz Koncewicz

Nipissing i Temagami, jak całe Północne Ontario, różni się znacznie od innych regionów i prowincji Kanady. Miasta tu są od siebie oddalone i jest ich znacznie mniej. Obejmuje tereny położone na zachód od Quebecu i na północ od Muskoki, jeziora Górnego (Superior) oraz amerykańskiego stanu Minnesota. W południowych rejonach dominują lasy, jeziora i rzeki, pejzaże prastarych bagiennych puszczy, skalne kaniony, wzdłuż jeziora Nipissing i rzeki Ottawy oraz najcenniejszego Parku Narodowego Algonquin.

Są tu jedne z najlepszych na świecie terenów łowieckich dla myśliwych i wędkarzy. Nie brakuje też atrakcji turystycznych dla wodniaków, a zwłaszcza przyrodników.

Na północy warunki naturalne się bardzo zmieniają. Na rozległych bagnach z rzadka rosną karłowate drzewa. Dotrzeć można do nich tylko awionetką, wyjątkowo kolejką, a najczęściej canoe. Rzeki z tych terenów płyną już do Morza Arktycznego, klimat jest bardzo zimny, z dużymi opadami śniegu i lodowatego deszczu.

Na granicy zlewni wód do Morza Północnego leży wielkie jezioro Nipissing i małe miasteczko o tej samej nazwie, graniczące ze wsłaniałą puszcza Algonquin, z dumą chronioną przez Kanadyjczyków.

Na obrzeżach tej puszczy jest obwód nr. 47 dla myśliwych, gdzie polują członkowie Polskiego Klubu Myśliwskiego z Toronto, Kanadyjczycy, Anglicy, Francuzi i oczywiście Indianie.

Ja również miałem zaszczyt uczestniczyć kilka razy w wielodniowych wyprawach na łosie, niedźwiedzie, wilki, jelenie wirginijskie, jarzabki i króliki.

Spotykałem się z ciekawymi ludźmi, którzy nad betonowe miasta przedkładają ciszę, od której tutaj bolą uszy.

Oglądałem lasy w barwach zachodzącego słońca jak z malarskiej palety: krwiste klony, o złotych szpilkach modrzewie, żółte topole i brzozy, soczystą zielen jodeł i świerków, która tworzyła przepyszną mozaikę, prawdziwą tęczę barw – ucztę dla zmęczonych ludzkich oczu.

Turyści najczęściej przywożą tutaj zamiast strzelb kamery i aparaty cyfrowe, którymi „polują” w tych rozległych puszczach. Bogaci Amerykanie ze swoich wypraw przywożą jeszcze wartościowe rękodzieła leśnych Indian.

Przy okazji przebywania w północnych prowincjach pływałem canoe, przemieszczałem się po puszczy czterokołowym „bajkiem”, jak nazywano tu japoński wszędolaz, chodziłem na raketach śnieżnych, fotografowałem, rysowałem i robiłem notatki, które zawarłem w tej książce.

A u t o r



**CZĘŚĆ PIERWSZA
W BARWACH INDIAŃSKICH JESIENI**



CANADA

1. Nad jeziorem Orła

Podniosłem głos z zachwyty, aby wyrazić zdziwienie z powodu zachowania się żab, które przed chwilą zaczęły śpiewać w pobliskim bagnie przy jeziorze Orła.

- Uspokój się - kładąc palec na ustach wyszeptał Janek. - Przy takim zachowaniu przepuścimy okazję na spotkanie z mosse (łośiem).

Chciałem coś powiedzieć, ale srogi wzrok Indianina – przewodnika ze szczepu Odzibwejów, ostudził moje zamiary. Morisson był bardzo zaprzyjaźniony z Jankiem. Od wielu lat obaj się spotykali, polowali i pływali canoe rzekami w krainie Nipissing. Indianin był licencjonowanym strażnikiem przyrody w tym rejonie, stąd korzyści były obopólne. On wiedział wszystko o myśliwych przyjeżdżających z Toronto, a Janek mógł poznawać dziką puszcę i korzystać z doświadczeń przyjaciela.

Byłem dla niego nowicjuszem, toteż mnie bacznie i stale obserwował. Nie śmiałem nawet skierować w jego stronę obiektywu aparatu, przed czym Janek mnie wcześniej ostrzegwał. W oczach Indianina w końcu zapaliły się zielone ogniki jak u wilka i poprosił abym schował oko, w którym on stale się widzi i które rozprasza jego uwagę.

Od ponad godziny niemal bezszelestnie przesuwaliśmy się w stronę zarośniętego brzegu jeziora. Las rósł tu gęsty, jedyna możliwa ścieżka była wydeptana przez kopyta łosi. Więcej na niej było błota, kamieni i odchodów zwierząt, niż trawy. W końcu las zmalął, świerki pomieszały się z brzózkami i trzciną. Przy czerwono zachodzącym słońcu teraz nabrała koloru ceglastego. Z pobliskiego jeziora Orła coraz bardziej buchało wilgotne,

chłodne powietrze, a znając naszą niemoc siadało na nas i siatkach osłaniających twarze setki komarów. Nie miałem pojęcia, że czapka, którą jeszcze w sklepie La Baron otrzymałem przed tą wyprawą, ma sprytnie ukrytą moskitierę chroniącą twarz. W puszczy, skorzystałem z niej skwapliwie. Nie miałem tylko szczelnych okularów, które by chroniły oczy przed pyłkami kwiatów, drażniących spojówki i wyciskających łzy.

Pod sam wieczór doszliśmy do brzegu jeziora. Morisson z krzaków wydobył ukryte canoe, Janek obszerną blaszaną łódź i tak wypłynęliśmy na odorczające zapachem zbutwiałego drewna jezioro.

Właśnie teraz, pod wieczór, spodziewaliśmy się spotkania z wielkim łopataczem, którego wcześniej strażnik tu widywał. Płynęliśmy do samego zmroku, który na tej szerokości geograficznej dość późno zapadał. Potem wszelkie polowania są w Kanadzie zabronione.

Do brzegu wyspy dobiliśmy po ciemku. Była to raczej szeroka piaszkowa łacha, pod samym lasem gdzie stał pasterski szałas z bali i kamieni. Obok niego w jednym z wielkich, kamiennych kręgów Morisson rozpałił ognisko. Zrobiło się od razu cieplej, jak i też zginęły komary. Naszym oczom teraz się ukazały wygniecione w gałęziach i trawie leża po namiotach wędrownych traperów, albo koczujących tu Indian - porozrzucane pióra ptaków, ości ryb i strzępy okryć z jelenich skór. Jednak największe wrażenie robił na mnie krąg wypalonego ogniska, gdzie na białym popiele leżał łeb dużego łosia, wyblakły od deszczów i wypalony przez słońce. Ułożone na nim pióropusze, podobne do naszych paproci, wskazywały na niedawną obecność tu ludzi. Janek nie umiał mi odpowiedzieć, co to miało oznaczać. Obiecał przy okazji zapytać się o to Morissona. Po kolacji, gdy wspólnie siedliśmy na pniu, zauważyłem w różowym blasku ognia delikatną, kobiecą twarz Indianina, jednak z nie pasującym do niej długim orlim nosem, zielone oczy człowieka, u którego poczucie dyscypliny

i obowiązku zajmują miejsce najważniejsze. Już nic w nich nie pozostaje dla spraw bardziej przyziemnych.

Janek opowiadał mi, że dziadek Morissona był Szkotem, a babcia Indianką, matka, zaś piękną kobietą, królową z rezerwatu znad jeziora Dokis. Zapoznali się na wyspie Wielkiego Pnia na jeziorze Nipissing w czasie obchodów indiańskiego święta wiosny. Później przez lata mieszkali w rezerwacie Niedźwiedzia obok Temagami, by po otrzymaniu pracy swe bujne życie Morisson mógł kontynuować na posadzie strażnika przyrody w Nipissing i Algonquin Park.

Słuchałem tych zwierzeń w napięciu, dając do zrozumienia, że jestem pełen podziwu dla jego słów. A kiedy Indianin gestykulując wskazał ręką na czaszkę łosia widniejącą w kamiennym kręgu ogniska, nabrałem pewności, że to coś dla mnie nowego i ważnego.

Przewodnik wspominał zdarzenia sprzed pięciu lat, kiedy w czasie burzy schronił się na wyspie. Odkrył tu grupę czterech starszych kobiet odprawiających egzorcyzmy nad podobnym łbem łosia. Niespodziewane pojawił się przed tym ogniskiem. Indianki widocznie uznały go za zjawę czy złego ducha i uciekły do lasu. Po dwóch dniach za tym szałasem las spłonął.

Wszczęte dochodzenie przez władze z North Bay nie przyniosło żadnego wyjaśnienia tej sprawy. Wówczas też jedna z tych kobiet na zawsze znikła i Morisson z tego powodu był ciągle nagabywany przez policję. Dodał, że z tego powodu wynika jego niechęć do przebywania w tym rejonie. Zauważył też, że takich wielkich łosi jak w tym terenie nigdzie dotąd nie spotykał.

Dowiedziałem się też, że chata obok stoi pusta, a za nią jest stary cmentarz z olbrzymim pniem drzewa, w którym w odległych czasach grzebano zmarłych.

- Szałas jest domem dla nich przed ceremonią pogrzebową i miejscem dla odpoczynku dla traperów i takich jak – wy myślicy – powiedział, Morisson.



- Od razu zrobiło mi się zimno i dreszcz przeszył mnie od stóp do głowy, kiedy pomyślałem o spaniu w niej.

Indianin opowiadałby dalej, opróżniając kolejną flaszkę Janka, gdyby nie widok białej sowy, która usiadła obok nas. W blasku ogniska wyraźnie przyglądała się nam dużymi ślepiami. Zapadła czarna noc, bezchmurna, spokojna i cicha, a mimo to nawet nie usłyszeliśmy odfrunięcia ptaka.

Strażnik pokazał nam teraz wygodne miejsce na nocleg w szałasie, sam zaś poszedł do lasu. Nie pamiętam czy spałem w tej indiańskiej kaplicy. Obaj zerwaliśmy się o świcie i tak zaczęliśmy nowy dzień, pierwszy przyjazny łowom, jeszcze nie wiedząc, że zawiesimy tego dnia, na drągu obok szałasu, łosia.

Za naszymi plecami piętrzyło się wzniesienie, za nim dolina porośła trzcinnami i rzadkimi brzoźkami, skąd gospodarz przyniósł na ognisko gałęzie drzewa. Mówił, że znalazł tam dwa świeże tropy łosi, znacznie większych od tego z ogniska.

Po wyjściu z szałasu utonęliśmy w resztkach porannych mgieł snujących się jeszcze po wodzie. Rześkość jesiennego powietrza była przyjemną kąpielą i znów jak poprzedniego dnia płynęliśmy po łuku jeziora Orła. Odpychałem się od dna długim kijem, a Janek stale przez lornetkę bacznie obserwował brzegi wyspy. Morisson płynął pierwszy w swym bezszelestnym canoe

i pobekiwał na tubie z kory brzozowej. Zatrzymaliśmy się przy grząskim brzegu, przed dopiero, co odcisniętymi tropami przechodzącego tędy łosia. Szybko chwyciłem aparat i wykonałem parę zdjęć tej ścieżki. Trzask migawki zaniepokoił Janka, bo natychmiast polecił odpłynąć. Mgła na wodzie znów narastała, przez moment nawet zasłoniła nas zupełnie i płynęliśmy na oślep.

W tym odludnym rewirze Nipissing uchowało się takie dzikie miejsce, bogate w zwierzynę. Gdzie tylko dobijaliśmy do brzegu, wszędzie było mnóstwo tropów i to nie tylko łosi, ale i niedźwiedzia, wilków a nawet jeleni.

- Szczęśliwy to kraj Kanada - powiedziałem do Janka.

On znów mi kazał milczeć, dzierżąc w ręku lornetkę, a na kolanach swego winchestera. Naraz usłyszeliśmy głos jakby wydobywający się z beczki, powtarzany z różną siłą. Zamarliśmy z wrażenia. Nie było wiadomo czy to Morisson pojękuje na swej tubie, czy rzeczywiście słyszymy parskanie i stękanie łosia. Znów powtarzało się rżenie przed nami. W rzadkich brzózkach zobaczyliśmy klemkę, która objadała jakiś samotny, rosnący tam świerk.

- A więc mamy łosie przed sobą!

Nagle słysząc trzask tratowanych gałęzi, łomot zderzających się rosoch. Głośny tupot macił dotąd spokojną ciszę. Potem chlupanie w pobliskim bagnie i wszystko powtarzało się od nowa. Jedynie wyraźniej odcinał się od tych głosów suchy trzask rosoch obu walczących ze sobą rywali.

Nagle od brzózek oderwała się klemka i człapiąc przez bagno przybiegła do naszego brzegu. Brązowymi świecami przyglądała się nieruchomej łodzi. Śmiało wskoczyła do wody, podniosła wysoko pysk i popłynęła na drugi brzeg. Byłem tak zahipnotyzowany tym zdarzeniem, że nawet zapomniałem o aparacie. Wszystko tu działo się bardzo szybko. Znów był słysząc trzaski walczących ze sobą byków. Potem nastawała krótka cisza i całe zdarzenie rozpoczynało się od nowa, tylko już znacznie bliżej, co trzymało nas w ciągłym napięciu.

Czego by nie dał myśliwy, aby mógł przeżyć takie widowisko - „łosie gody” i zobaczyć walkę tak potężnych zwierząt w ich odwiecznym domu.

Podpłynąłem pod brzeg. Janek wysiadł ze sztucерem i lornetką, przylepił się do pnia brzozy jak huba i trwał w bezruchu.

Łodzią powoli i bezszelestnie odpłynąłem. Gdzieś na środku wody byłem zajęty wyrrywaniem z dna mojego wiosła, kiedy głośny huk targnął powietrzem i puszcza. Wyraźnie słyszałem kłaśnięcie kuli o futro zwierza. Zwróciłem uwagę na Janka - rozkładał ręce, co znaczyło pudło. Myślę, że się mylił, przecież słyszałem uderzenie kuli!

Długo to trwało, kiedy wrócił z miejsca zestrzału, gdzie przebywał byk. Nie znalazł ani zwierza, ani farby.

Przy płynął też Morisson. Wyszliśmy jemu naprzeciw. Szybko się zorientował w sytuacji i kazał nam pozostać na miejscu, sam zaś zginał w brzoźkach.

Janek był podenerwowany. Jak zwykle w takiej chwili nie mówił nic. Czekaliśmy z godzinę. Próbowaliśmy go pocieszyć, mówiąc, że się myli. Czas się dłużył. Powrócił Morisson. Nie można było poznać po nim wyniku strzału. Usiadł obok Janka i zaczął go pouczać. Szybko okazało się, że myśliwy strzelił nie tego byka, wielkiego łopatacza, którego on z rana widział.

Janek wstał i mimo to był uradowany.

- Hura! - Krzyknęliśmy niemal razem.

Swój winchester rzucił na trawę, skoczył jak oszalały kot na strażnika. Podnosząc go starał się nim kręcić wokół siebie. Ścisnął, całował z całych sił, usiłując podziękować Morissonowi za to, że on mu tego łosia przywabił.

Indianin w swej skromności protestował, tłumaczył, że nie zasłużył na takie pochwały. Wówczas Janek chwycił brzożową tubę i ryczał przeraźliwym głosem, który niósł się daleko po puszczy. Morisson był rozbawiony jego zachowaniem i mocno klepał po ramieniu przyjaciela powtarzając kilkakrotnie:



Wiozą myśliwych często setki kilometrów, w głąb lasów w miejsca bez cywilizacji. (s. 31)



Najczęściej mają do zaoferowania swoim klientom losia, niedźwiedzia i wilka. (s. 31) Archiwum PKM w Toronto.

Następnego dnia losia znów trzeba było transportować na drugi brzeg. (s. 23)



- Dziękuję mój druhu!

Poprowadził nas na mokradło, gdzie leżał pod konarem starej brzozy czarny jak smoła i wielki jak koń królewski zwierz kanadyjskiej puszczy. Oczy jego wciąż były otwarte. Robiły wrażenie ogarniającego żalu do ludzi, którzy pozbawili go dalszej możliwości przebywania w tym wspaniałym, zielonym raju na ziemi.

Strażnik wyczuł mój nastrój i poprosiłbyśmy wrócili obaj do łodzi. On zajmie się łosiem, potem pójdzie do szałas.

Robiło się już szaro, kiedy wylądowaliśmy na piaskowej mierzei. W oczekiwaniu na strażnika rozpaliliśmy ognisko. Janek zadowolony z udanych łowów wesoło gwizdał, wskazując na łopaty znajdujące się w popiele ogniska. Te były z kapitalnej sztuki, miały ponad dwadzieścia kolczastych pasynek i chropowatą powierzchnię, Janka nie mogły im dorównać, mimo to był bardzo szczęśliwy.

Puszcza za nami żyła dalej swoim rytmem. Słysząc było znów parskanie i bębnienie, trzask krzyżowanych rosoch. Nie wiadomo jednak teraz czy to była sprawka strażnika, czy też walka następnych rywali w puszczy.

Za chwilę też wróciło canoe z łosiem i Morissonem. Z rufy sterczał wielki łeb zwierza.

Jego łopaty zwisały po obu stronach burty. To robiło wrażenie! Szkoda tylko, że było za ciemno na fotografię.

Indianin stał się teraz jakiś małomówny i ważny. Wyciągnął z canoe zawiniątko okręcone liśćmi i niósł je uroczyście, z wielkim namaszczeniem. Podeszedł pod kamienny krąg ogniska i rozłożył pakunek, wydobywając z niego pół wyrwanego serca łosia. Ułożył w popiele obok czaszki, okręcił uschłą trawą i podpalił. Biały dym unosił się prosto w niebo.

Kiedy wcześniej opowiadał o praktykach kobiet indiańskich, myślałem, że należały one do dawnej, zamierchłej przeszłości. A tu teraz znów zapłonął ogień błagalny o przebaczenie do Manitou.

Przewodnik uroczyście wzniosł obie ręce ku górze i niezrozumiałą modlitwą prosił Wielkiego Ducha o połączenie się obu części serc - tej pozostawionej na bagnie i tej z ogniska, oraz o wybaczenie Manitou za zabranie z królestwa najlepszego przyjaciela. Uroczyście też przyrzekał solidnie wynagrodzić straty za zabranego puszczy zwierza. Słowa te przede wszystkim skierował do Janka, któremu po wieczornej libacji niewiele butelek pozostało w kulerze.

- Nieczysta siła nawet do najszlachetniejszego serca się wkradnie. Pozbawiła ona życia twojego mieszkańca.

Nie wiem czy świadomie udawał, grając przed nami komedię, czy też zachowywał się zgodnie z obyczajem ludzi mieszkających w puszczy.

- Bracia moi nie mieli złych zamiarów – modlił się dalej.

- Dzięki temu wydarzeniu otrzymaliśmy stopień godnych strzelców północnej puszczy Nipissing i Kanady.

Z godzinę trwało smażenie na ognisku wątróbki z wonnymi ziołami. Zawieszona na patykach niczym nasze szaszłyki roznosiła drażniący podniebienia zapach. Smakowała nawet nieźle, bo solidnie byliśmy głodni, choć mogła być trochę dłużej na ogniu.

Jako szczęśliwi myśliwi po sutej kolacji w dobrym nastroju udaliśmy się do łodzi, aby ściągnąć ćwierćtonowego łosia i zawiesić obok szałas. Dobrze, że Morisson miał wielokrążek. Dzięki temu tą czynność udało nam się wykonać sprawnie.

Strażnik twierdził, że kilka kamiennych kręgów, które tu wybudowano, służyło jako magazyny na dziczyznę. Mięso obsypywano ziołami i solą, obkładano kamieniami i przechowywano jak w lodówce. Na wierzchołku takiego kamiennego stożka umieszczano łeb zwierza, którego ubito. Resztki tych kręgów teraz są świadectwem pomysłowości dawnych mieszkańców puszczy.

Następnego dnia łosia znów trzeba było transportować na drugi brzeg, skąd miał go zabrać „wan” - taki terenowy pojazd.

Popłynęliśmy z nim z samego rana. Przed nami zerwały się Bernikle Kanadyjskie. Jezioro Orła żegnaliśmy razem z nimi, kłaczami lecącymi na południe dzikich gęsi.



2. Zatoka Indiańskiego Śpiewu

Słońce już dobrze grzało, kiedy wracaliśmy do naszego campu na „wzgórzu storczyków”, nazwanego tak przez Pawła z powodu rosnących obok dywanów tych, jak mówił, trujących piękności. Drewniany domek był do sprzedania i stał chyba jako jedyny przy wielokilometrowej drodze z Sundridge do Ahmic Harbour, w samym środku puszczy, maceczniku łośi i czarnych niedźwiedzi w prowincji Parry Sound.

Sprzedać go chciano chyba, dlatego, że był pułapką dla wścibskich, którzy tu zaglądali i dali się nabrać na czarodziejskie piękno kanadyjskiego krajobrazu i puszczy. Ponieważ ten camp stał wśród boru, na stumetrowym wzniesieniu, to podejście do niego wymagało sporego wysiłku i wylania niejednej kropli potu. To w zupełności wystarczało, żeby po kilku takich podejściach piękno tych kwiatów zszarzało, a oczy stały się czerwone i mokre od szczypiących je pyłków. Jedynym ukojeniem było zasłanianie okien i przebywanie w zupełnej ciemności, czyli należało pójść spać.

Nie lepiej było tu też z niedźwiedziami, które niemal każdej nocy łomotały do drzwi domagając się słodkiego ciasta. Rozwalały śmietnik, wydobywały z niego puszki i butelki, robiły niesamowity bałagan.

Tego poranka ustaliliśmy trasy niedźwiedzich ścieżek i drzewa, na których rozwiesimy przenośne ambony dla ich obserwacji. Na jednego z tych czarnych rabusiów mieliśmy w tym rewirze odstrzał, a domek ten był jedynym bezpiecznym schronieniem i punktem wypadowym na wyprawę do puszczy.

Po nieprzespanej nocy byliśmy solidnie zmęczeni, toteż nagle walenie do drzwi wydało nam się podejrzanym, koszmarnym snem. Przecież od dwóch tygodni nikogo tu nie widywaliśmy. A może pod domek przylazł młody niedźwiedź? Janek wyskoczył ze śpiwora, chwycił winchester i stanął za belką drzwi.

Walenie ustało, ale wyraźnie ktoś usiłował otworzyć domek. Janek dalej chowając się za belką głośno zapytał:

- Jakiego diabła się dobijasz?.

Zza drzwi padło głośno nazwisko:

- Jestem Spadzinski.

- No nie, facet chyba zwariował: - wykrzyknął Janek - co ten handlarz tu robi? - Dodał otwierając drzwi na oścież.

Do środka campu wszedł rośli, uśmiechnięty mężczyzna. Tą nagłą wizytą byliśmy zaskoczeni.

- Jak się macie przyjaciele? Nazywam się Peter Spadzinski.

Kiedy spostrzegł zaspanego Pawła, dodał:

- Przecież się znamy z Burks Falls, nieprawdaż?

- Mów chłopie, o co chodzi, bo jesteśmy potwornie zmęczeni i należy nam się, choć trochę odpoczynku.

Przybysz rozejrzał się wokół. Zobaczył wiszące sztucery, pojął od razu, że przebywają tu myśliwi.

- Już byłem pewien, że ktoś się tu wprowadził i zrobię interes wynajmując ten przeklęty camp. Udało mi się to dwa lata temu, ale też nie wytrzymali i uciekli po miesiącu. Wy będziecie chyba tylko paręnaście dni?

Ze smutkiem popatrzył na Pawła, na krążki kielbasy zawieszane na drążku pod sufitem i dodał:

- Ja zapach łosia od razu wyczuję. Poczęstujcie dla smaku!

Janek odciął kawałek krążka wędzonej kielbasy i podał. Peter łapczywie wsadził go do gęby, pożerając zdobycz jak dziki zwierz. Mówił z pełną gębą, jakby nie miał czasu.

- Mam jeszcze taki jeden drewniany camps do wynajęcia, w bardziej ciekawym dla was miejscu niż to, bo nad samym jeziorem. Jest tam fajne canoe, a w jeziorze muskelungi.

Janka jakby zelektryzowała ta informacja Petera. Od razu zapytał ile chce za tygodniowy pobyt. Handlarz nieruchomości spuścił głowę, myślał chwilę. Janek go jednak ponaglał mówiąc, że jeżeli na myśliwych chce zrobić interes to z góry rezygnujemy. Wreszcie usłyszał:

- Za tydzień czasu pomalujecie tam parkan.

Janek spojrzał na mnie, jakbym to ja miał wykonać tę pracę i nie zastanawiając się wiele wyraził zgodę.

Tak się zaczęła nasza wyprawa nad jezioro Piaskowe w odległej, dzikiej puszczy, jakiej dotąd nie znałem - bez dróg, zabudowań, drutów telefonicznych i cywilizacji. Właściciele tego campu dojeżdżali tam, a raczej dolatywali awionetką i lądowali na wodzie. Zrezygnowali z niego, a Peter szukał nowego nabywcy.

Wyciągnął ze swego plecaka mapę, rozłożył na stole i palcem poprowadził drogę do Trout Creek, potem z Pawassan do Nipissing, a stamtąd nad jezioro Piaskowe i Bass. Na mapie widać było tylko wielki obszar zielonej puszczy i dalej rezerwat Indian w Dokis.

Po obejrzeniu w puszczy niemal wszystkich misiów, których waga nie przekraczała nawet dwustu funtów, a więc podlegających całorocznej ochronie, po trzech dniach mozolnych poszukiwań selekcyjnego niedźwiadka pojechaliśmy do Nipissing, na spotkanie z Spadzinskim.

Jakże można było tego miejsca nie pokochać, skoro zatoka, nad którą stał drewniany camp nazywała się Zatoką Indiańskiego Śpiewu, a domek dla odmiany nazwano Gabinetem Malarycznym.

Brzegi jeziora były skaliste. Wszędzie tu rosło pełno wiekowych jodeł, a spokojne zatoczki wrzynały się głęboko w puszcę. Dalej gęste lasy świerkowe moczyły swe długie gałęzie w wodzie jeziora. Liczne wysepki porastały strzeliste drzewa. Teraz wyglądały bajkowo na tle różowo-niebieskiego, przezroczystego nieba. Na podobnego koloru wodzie pływała para pta-

ków, jakże bliskich znajomych naszych nurów, tutaj symbolu Kanady.



Przed campem nad wodą leżały duże kłocę ściętych wcześniej drzew, było miejsce na ognisko i stało canoe. Rzeczywiście łódź była wielka, wykonana fachowo, bezpieczna, aż chciało się do niej wejść i odpłynąć.

Drewniany domek też był wykonany solidnie. Miał szerokie okna i przypominał swym wyglądem nasz staropolski dworek. Ustawiono go na trwałej podłodze z drewnianych bali, na niewielkim wzniesieniu.

Byliśmy zauroczeni pięknem tego zakątka puszczy. Paweł powiedział, że od wielu lat poluje na terenach Muskoki, Perry Soud i Nipissing, ale nawet do głowy by mu nie przyszło, że coś tak pierwotnego i uroczego można jeszcze spotkać i był tym mile zaskoczony. Peter otrzymał nasze zapewnienie, że pozostajemy i w zamian za lokum wykonamy zobowiązanie. Wylewne i szczere pożegnanie z nim przerodziło się później w długotrwałą przyjaźń, o czym wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy.

Zanim jednak się rozstaliśmy, urządziliśmy sutą kolację z upieczonego na grillu łosia, którego przywiózł Paweł, przy

mocnym, angielskim trunku. Wysłuchaliśmy wiele informacji o tym rewirze puszczy, rybach pływających w jeziorach, zwierzy- nie i Indianach z rezerwatów Dokis i Henven, którzy dość często zaglądali do campu, chcąc coś spieniężyć.

Owe dwa rezerваты czerwonoskórych znajdowały się stąd niedaleko, bo na obrzeżach puszczy, w rozlewiskach i bagnach wzdłuż rzeki Francuskiej - jeden przy ujściu z jeziora Nipissing, a drugi w delcie rzeki przy Georgian Bay.

Tymczasem księżyc wypłynął nad szczyty drzew, wielki i złocisty rozjaśnił swym blaskiem nasz nowy dom. Wokół pano- wała zupełna cisza. Na jeziorze fale się uspokoiły. Z drugiego brzegu wieczorną ciszę przerywało wycie wilków.

Na ten dźwięk Janek aż podskoczył z radości i pobiegł do izby. Założył postrzępioną indiańską koszulę, we włosy wpiął orle pióra i zjawił się przed nami. W blasku ogniska kręcił się jak opętany i krzyczał:

- Słyszeliście!

Naraz brzozowe szczapy w ognisku buchnęły jak pochod- nie i oświeciły jego zwariowany taniec. Wyglądem i zachowaniem przypominał teraz czerwonego mieszkańca lasów.

- Wilki polują, tam są niedźwiedzie i łosie! - Krzyczał kręcąc się jakby w letargu. - Z rana dostaniemy misia, starego wygę, bezzębego, selekta - mordercę niewinnych jelonków, ło- szaków i bobrów. Ja wam to obiecuje solennie i przyrzekam jako traper, mieszkaniec północy, Janek Kozdra!

Różne bywają upodobania myśliwych. Paweł przedkłada ponad wszystko spokój i ciszę. Skrycie obserwuje zwierzynę, lubi przebywać sam na sam z przyrodą i spotkania z kapitalnymi osobnikami. U Janka myślistwo nabiera dopiero smaku, kiedy jest w gronie kolegów. Z każdego spotkania ze zwierzyną cieszy się jak małe dziecko. Jest człowiekiem towarzyskim, żądnym wrażeń i przygód. Ja w tej grupie byłem raczej indywidualistą, myśliwym z kamerą i teleobiektywem, podpatrującym leśne życie. Moje ło-

wy były trudniejsze niż polowanie z winchesterem, dlatego miałem sporo niepowodzeń i wpadek. Jednak każdą z tych wypraw,



nawet tą bez znaczących sukcesów, traktowałem poważnie, bo dostarczały mi niezapomnianych wrażeń, pomagały w pokonywaniu barier, także językowych. Z pokorą przyjmowałem wszelkie porażki, wyciągałem wnioski, notowałem zdarzenia, czasem nawet dla uspokojenia szkicowałem przyrodę tej wielkiej puszczy.

Byliśmy już solidnie zmęczeni, ciemności przy ognisku pulsowały energią. Naprzeciw parę puszystych sów, niby nocne duchy, przyglądało się nam z uginających pod ich ciężarem gałęzi. Z wdziękiem pozowały do fotografii, było już jednak za ciemno. W takich warunkach automat migawki by nie zadziałał. Jeszcze przez chwilę przyglądałem się obu ptakom, by je lepiej zapamiętać. Janek zalał wodą ogień

W kłębach pary i zupełnych ciemnościach poszliśmy na kwaterę.

3. Nie byliśmy sami

Poranny rekonesans okazał się nie tak obiecujący, jak sobie wyobrażaliśmy. Mimo niezliczonej ilości natropień na mokradłach wokół zatoki niedźwiedzi, łosi i wilków, Paweł również znalazł ślady stóp myśliwych. A więc nie byliśmy sami!

Przed wszystkim musieliśmy przyjąć do wiadomości, że gęste lasy i mateczniki niedźwiedzi znajdujące się w przyległych do jeziora rewirach są dzierżawione przez Outfittery, przedsiębiorstwa organizujące polowania i łowienie ryb na zasadach handlowych. Najczęściej mają one do zaoferowania swoim klientom łosia, niedźwiedzia i wilka. Wiozą myśliwych często setki kilometrów, w głąb lasów, w miejsca bez cywilizacji. Tam są campsy, łodzie, motory czterokołowe do przemieszczania się po grząskim gruncie z zaczepami do holowania ubitej zwierzyny i stojakiem z przodu kierownicy na sztucer.

Podobną działalność komercyjną prowadzą też nasi rodacy z Thorold przy Niagarze - Józef i Paweł Starscy. Firma „Star-ski Enterprises INC” za czternastodniowy pobyt w Kanadzie, połączony z siedmiodniowym polowaniem, pobiera w zależności od rodzaju zwierzyny i odległości od Toronto, od czterech do dwudziestu tysięcy dolarów. W tej cenie gwarantuje zabezpieczenie turystyczne, camps, aranżuje polowanie w najlepszych sprawdzonych łowiskach, rekomendowanych przez największe na świecie koło łowieckie North American Hunting, Club, którego jest członkiem.

Jednak my niemal w środku puszczy nie spotkaliśmy jeszcze tablicy z informacją, że teren jest prywatny. Posiadaliśmy

licencję na odstrzał misia. Pozostawała jedynie nadzieja, że na pogranicze dwóch rewirów, a więc prywatnego i państwowego w końcu wyjdzie warty kuli czarny niedźwiedź.

Cały dzień poświęciliśmy na wykładanie przynęt, wieszanie ambon przenośnych, wycinanie naprzeciw nich wizurek, korytarzy w gęstwinie dla lepszej obserwacji.

Jak nam wcześniej opowiadał Peter, tej zimy śnieg tu zalegał warstwą pięciometrową i topniał długo, toteż i niedźwiedzie przebywały dłużej w swoich gawrach i barłogach. Wiosna przyszła późno, ale wybuchła z całą siłą nagle, jakby znienacka. Teraz już zarumieniły się od kwiatów nasłonecznione pagórki i z połyskiem czerwieniały leśne truskawki.

Niedźwiedzie po zimowym śnie są głodne i kręcą się po puszczy intensywnie szukając pożywienia, tak więc mamy szansę - uważał Paweł.

Nasz camps był wymarzoną odmianą domku myśliwskiego, z miejscem dla sześciu osób, przygotowanym dla potrzeb wędkarzy i myśliwych. Znajdowała się tu książka, w której odnotowywało się liczby przebywających, terminy, rodzaje złowionych ryb i ubitej zwierzyny, itp. Te informacje właściciel po sezonie był zobowiązany przesłać do Ministerstwa Turystyki, Łowiectwa i Wędkarstwa w Ottawie.

Janek zbyt nie przestrzegał tych instrukcji, mówił, że przyjechał do dzikiej puszczy, aby nie mieć nic wspólnego z biurokracją i tablicami szpecącymi lasy.

- Chcę upolować kłusownika – niedźwiedzia, za którego uszy do niedawna władze stanowe płaciły dziesięć dolarów, bo nie mogły sobie poradzić z wyrządzanymi przez nie szkodami – mówił. W tych borach grasują trzej kłusownicy: wilki, niedźwiedzie i Indianie. Wszyscy oni mogą sobie ręce podać. Zostawiają po sobie mięso łosi i jeleni. Wygląda to okropnie. A polowanie bez okresu ochronnego jest prymitywne i niegodne łowców.

Szliśmy w zupełnej ciszy wczesnego poranka, jeszcze pasmo księżycowego blasku oświeślało nas z boku i rzucało na

wzgórze długie nasze cienie. Miejsce na zasiadkę wybrano na skraju jeziora, gdzie fale w dzień i w nocy szmerały, tłumiąc nasze nieopatrzne, zachowanie. Przed nami rozciągało się długie zakole krzywego jeziora, gdzie za dnia odkryto na piasku mnóstwo śladów niedźwiedzi ciągnących do wodopoju.

Pomiędzy gęstwiną boru i zieloną murawą prowadziła ścieżka dzikiej zwierzyny. Na jej krańcu na swą zwyczajną wdrapał się Paweł, Janek i ja usiedliśmy na skarpie przed wodopojem.

Wschód słońca i pierwszy brzask powitał chór rudych wiewiórek, później jeleni czując wrogi, ludzki zapach świsnął ostrzegawczo, zatupał kopytami, ruszył gałęziami jodły i zginął w głębi boru. Jeszcze tylko jakieś czarne ptaszyska po wrzeszczały niczym Indianie i nastał zupełny spokój.

Zza łuku jeziora powoli i cicho do naszego brzegu zmierzła rybacka łódź, pchana elektrycznym silnikiem. Wędkarze mieli chyba nieczyste sumienia, bo kiedy się im pokazaliśmy szybko zawrócili robiąc przy tym sporo hałasu i fale, które teraz z głośnym natężeniem uderzały o brzeg.

Zrezygnowani dotrwaliliśmy tak do zmierzchu, przeklinając w duchu nieproszonych gości. Kiedy już zupełnie zszarzało i nastał czas nawoływania się łosi, na brzeg jeziora wyszła kłepa z łoszakiem. Baczenie się nam przyglądała. Byliśmy pewni, że o nas wiedziała, bo coraz bardziej podnosiła nozdrza i wciągała wrogie, ludzkie zapachy.

Paweł miał więcej szczęścia od nas. Długo obserwował dwa niedźwiedzie, jednak zbyt od niego oddalone i trudno mu było dokładnie je rozpoznać i ocenić. Dnia już ubywało, dlatego spotkanie z misiami postanowiliśmy powtórzyć następnego dnia.

Po powrocie przy naszym domku czekało na nas dwóch łowieckich strażników z posterunku w Restoule - jeden wysoki szczupły, uśmiechnięty blondyn, a drugi okrągły, tusty o kruczoczarnych włosach i brązowych dużych oczach. Przyłączyli wielką motorówkę z sąsiedniego campsu, by nas ostrzec przed bandą leśnych opryszków, którzy uprowadzili podobną łódź

sąsiadom. O naszej tu obecności dowiedzieli się od Petera. Grzecznie poprosili o licencję na odstrzał niedźwiedzia. Grubas szybko zaproponował ułatwienie znalezienia zwierza, a kiedy Paweł oświadczył, że da sobie radę, jak sprytny lis zaglądał we wszystkie zakamarki chaty. Ze swej wizytacji był zadowolony, bo kiedy wsiadali do motorówki, na pożegnanie dodał: - Jeśli zechcesz mieć gęste, lśniące, dobre futro z czarnego niedźwiedzia to dam ci Indiańskiego przewodnika. Zastanów się dobrze! Mnie znajdziesz w Resteule przy końcu drogi 534, sześćdziesiąt mil stąd.



4. Oczy nasze się spotkały

Następny dzień przyniósł rzęsimy, wiosenny deszcz. Gwałtowne podmuchy zimnego wiatru znad Labradoru i Atlantyku z falami wody przewalały się przez puszcę. Jeszcze wczoraj przed tą ulewą ostrzegali nas strażnicy, a teraz Janek wychwycił radiową stację w Montrealu, która zapowiada dwudniowe pogorszenie pogody.

Skorzystałem z tej chwilowej bezczynności i przygotowałem canoe do popłynięcia przez jezioro Piaskowe do dzikiej rzeczki, łączącej je z jeziorem Bassów. Przecinała ona oba jeziora. Na mapie dalej prowadziła na północ i kończyła swój bieg w skalistym jeziorze Nipissing. Wynikało z niej, że była słabo rozpoznana i nie było jakichkolwiek osad po drodze.

Kiedy Paweł spojrzał na mnie i odkrył moje plany, popukał się w czoło.

- Chłopie ta rzeka nie jest spławna, roi się na niej od tam i bobrowych żeremi, tak jak tu na mokradłach. Co ty tam chcesz fotografować?

Próbowałem go przekonywać długo do mego pomysłu. Zaznaczyłem, że zdarza się wyjątkowa okazja, jest świetne canoe, mam namiot i trzy dni wolnego czasu przed sobą.

Kiwał głową, i mówił:

- Musisz się liczyć z tym, że tam polują Indianie z Dokis. Przeważnie włączają się po lasach, zastawiają sidła na bobry, zwierzynę futerkową, trudnią się traperstwem i łowiectwem. Przed ponad stu laty uchwalono ustawę, która przyznaje im, pierwotnym gospodarzom tej ziemi, nieograniczone prawa do polowania. Nie obowiązuje ich żadna ochrona, czy selekcja zwierzy-

ny. Jeżeli są głodni lub potrzebują surowiec dla wyrobu galanterii skórzanej strzelają do zwierząt przez okrągły rok. Nadużywają przepisów prawa, niekiedy pozostawiają w puszczy część tuszy zwierzyny na pożarcie drapieżnikom. W lesie takie znalezisko robi okropne wrażenie.

W ciągu jednej doby deszcz wypadał się na dobre, bo następnego dnia już tylko ciężkie chmury zakrywały niebo.

Wysłuchałem jeszcze ostatniej instrukcji Pawła, aparaty i filmy szczelnie zamknąłem w plastikowej beczulce, którą umieściłem na rufie canoe. Kniejówkę z pięcioma kulami wręczył mi Janek, z nadzieją, że nie będę musiał jej użyć.

Moi koledzy postanowili cały ten dzień spędzić w lesie, jak twierdził Paweł, aż do skutku. Następną okazja mogła się zdarzyć dopiero późną jesienią, a wówczas misie będą już ostrożniejsze, bardziej leniwe i trudniejsze do znalezienia.

Zanim jednak wypłynąłem, obowiązkowo musiałem założyć strój „oranż”, który według Pawła dla czerwonoskórych oznaczał łowcę, a nie zwykłego włóczęgę. Stosowano go w puszczy codziennie idąc na zasiadkę.

Wyruszyłem na północ, wprost do serca tajemniczej kanadyjskiej głuszy.

Właściwie wszystko, co było mi potrzebne w puszczy miałem ze sobą, nawet spinning i kilka dużych woblerów, o różnej głębokości zanurzenia, dla zapolowania na muskolunge, zapasów żywności też na parę dni, no i strzelbę.

Z początku płynąłem wzdłuż brzegów jeziora, gdzie za zakolem na mierzei piaskowej spotkałem baraszkujące jeżozwierzę. Roilo się przy nich od wodnego ptactwa, które wykradało im kęsy jakieś wielkiej ryby.

Podobał mi się ten spokojny dzień, choć pochmurny, to przesycony wonią świeżych liści i pachnących żywicą jodeł. Warto było oglądać zieleń drzew, ociekającą jeszcze kroplami wody i kobierce ścielących się pod nią leśnych kwiatów.

Marzyłem o spotkaniu z rzeką, wielkim niedźwiedziem, którego by mi pozazdrościli koledzy i dobrej fotografii.

Z trudem odkryłem ujście rzeki. Wypływała z grzęzawiska trudnego do pokonania. Za wysepką wodnej roślinności i różnych kiprzyc błyskała tafla wody. Paweł miał rację. Tam rzekę zagradzała bobrowa tama, z dziesięć metrów długa i bardzo wysoka, pełna zwalonych drzew, wypalonych słońcem konarów i sterzących ostrych gałęzi. Po jej koronie prowadziła grobla, przesmyk niedźwiedzi, przy niej odcisnęły w świeżym błocie swe futrzane łapy, wielkie jak ludzka dłoń. Pozostawiły też swoje odchody, znacząc zajęte terytorium.

Tak, to było miejsce na przypilnowanie niedźwiedzi, jasne, odkryte, z tłem puszczy, wymarzone dla fotografii. Postanowiłem w pewnej odległości, ale nad samą rzeką rozbić swój biwak. W ten sposób przynajmniej od wody nic by mi nie groziło. Za namiotem planowałem rozpalić ognisko. To miało być drugie pewne zabezpieczenie.

Pod wieczór nad rzeczką stanął mój płócienny domek, z którego każdego ranka i wieczoru wychodziłem na spotkanie z czarnym niedźwiedziem.

Przyszedł on jednak w biały dzień. Zobaczyłem go dopiero w rzece jak polował na pstrągi. Skarpę stale obserwowałem. Jak mogłem przegapić takie wielkie, smolistoczarne zwierze? On chyba przyplął z prądem tej dzikiej rzeczki, po drodze maskując się wodną roślinnością?

W teleobiektywie aparatu wydawał się stu pięćdziesięciofuntowym średniakiem, bardzo zajęтым chwytaniem ryb. Odległość pomiędzy nami była znaczna. Precyzyjnie moją trzysetkę wycełowałem w czarne futro misia, jednocześnie pomierzyłem światło jednocześnie, bacząc by zwierzę nie zanurzyło się w wodzie i przycisnąłem migawkę aparatu. Mimo znacznej odległości drugiego zdjęcia już nie zrobiłem. Niedźwiedź gwałtownie dał nura i prawdopodobnie popłynął w zarośla. Bezszelestnie się oddalił.

W północnej prowincji Ontario żyją trzy potężne drapieżniki. Poza niedźwiedziem brunatnym i gryzlim najpospolitszym jest baribal, mniejszy od swych pobratymców, o wadze od dwustu do czterystu funtów. Jest wszystkożerny, choć głównie odżywia się pokarmem roślinnym. Ma jednak wielkie kły i mocne pazury, takie jak nasz niedźwiedź brunatny. Gdy zasmakuje w dziczyźnie staje wielkim szkodnikiem. Wybiera Indianom zwierzynę z pułapek, w głębi lasu ofiarą jego stają się cieleta łosi i jeleni. Staje się także niebezpieczny dla ludzi w lesie, którzy nie opacznie pozostawiają namioty bez opieki. Podobne zdarzenie mnie się przydarzyło w drugim dniu pobytu nad bobrową rzeką.



Wracałem w porze obiadowej do namiotu i jak zwykle w puszczy szedłem cicho. Z dwieście metrów przed moim obozowiskiem wśród niskich jodeł i ziół zobaczyłem ciemne zwierze. Najpierw wziąłem je za łosia. Jednak ten grzbiet falował mięśniami, zwierz z czymś się mocował. Szybko domyśliłem się, z kim mam do czynienia. Stałem w bezruchu, zdjąłem z ramienia strzelbę i do komory lufy wprowadziłem nabój, mocno ją ścisnąjąc. Zwierz po chwili podniósł łeb do góry, zobaczyłem jego

kołnierz i podpalany pysk. Nasze oczy się spotkały. Chwilę potem niedźwiedź opadł i zniknął mi z oczu. Spodziewałem się szarży! Czekałem dość długo przygotowany na najgorsze. Nie słyszałem żadnych dźwięków, szelestu traw czy gałęzi drzew. Po dość długiej chwili ostrożnie podszedłem do miejsca gdzie widziałem niedźwiedzia. Obok rozwalonego doszczętnie mrowiska leżały szczątki mojego koca i opakowanie z kiełbasy. Szybko się zorientowałem, co się mogło wydarzyć na biwaku.

Nie bacząc na krzaki, wysokie trawy i niedźwiedzia, co sił biegłem do namiotu. Uspokoilem się, kiedy zobaczyłem, że stał cały. Jednak bałagan, jaki panował tu wokół, przeraził mnie okropnie. Najpierw obejrzałem canoe. Było całe! Gdyby miś je rozwalił, nie miałbym, czym wrócić do bazy. Niedźwiedź wyciągnął wszystko, co tylko było do zjedzenia. Suchą wędlinę ukrytą pod kocem wyrwał razem z nim, pozostawiając wielką dziurę. Zmieszał chleb, sól, cukier i kawę z błotem. Miał wiele czasu, bo porozrywał nawet torebki z ekspresową herbatą.

Bogu dziękowałem, że pozostawił mi w spokoju canoe, czyli zapewnił możliwość dalszej wędrówki i powrotu do bazy nad Zatoką Indiańskiego Śpiewu.

5. Nocna wizyta

Jeszcze tego samego wieczoru przeniosłem namiot o kilometr dalej, nad rzekę za skalnym zakrętem. świadomy tego, że niedźwiedź raz zasmakowawszy cukru wróci w to miejsce ponownie, a to byłoby dla mnie niebezpieczne.

Rzeka tam płynęła wartko, była kamienista i płytka. Canoe prowadziłem brodząc w niej po kolana. Miejscami przeciskałem się przez chaotyczne gruzowiska skał, pokryte odwiecznym bohem i błyszcząca wysłane piaskiem. Przy jednym z nich na ścianie skalnej artysta indiański umieścił rysunek czółna, a nad nim ognistego ptaka – thunderbirda.



Woda była lodowata, ale pełna pstrągów, niepodobnych do tych, które wcześniej znałem. Były większe, barwniejsze i przesadnie nakropione czarnymi plamami.

Po ponownym rozbiciu namiotu bez trudu złowiłem dwie ryby. Były to jedne z większych okazów, którymi mógłbym się pochwalić przed Jankiem. Po filetowaniu jedną z ryb powiesiłem na sęku stojącej obok sosny, drugą owinałem folią i przygotowałem do upieczenia w ogniu.

Kiedy wróciłem nad wodę zebrać trochę uschłych cedrów na ognisko, stanąłem jak wryty! Zauważyłem ludzką postać, która mi się bacznie przyglądała. Potem widziałem wyraźnie jak chyłkiem czmychnęła za skały. Szybko wróciłem do namiotu, załadowałem kniejówkę, a w miarę jak mijały minuty doznałem wrażenia, że przesadziłem z tą wyprawą i za bardzo przybliżyłem się do indiańskiego rezerwatu. Z ciekawości pobiegłem na pobliski wzgórek, wdrapałem się na skałę, aby odkryć bladą smugę dymu unoszącą się nad puszcza i czerwoną lunę blasku ognisk. Zauważyłem też w gasnącym świetle dnia kilka indiańskich namiotów. Stały naprzeciw skalnego gołoborza, na rzecznej skarpie.

Naraz doznałem uczucia ogromnej pustki i bolesnej samotności. Strach nie pozwalał na rozpalenie ognia, gdyż nie mogłem zdradzić swego miejsca. Zadawałem się bladym światłem świecy, które błdziło po płótnie namiotu. Wokół panowała cisza. Potem znad lasu wypłynął wielki księżyc. Zrobiło się jasno i nabrałem trochę odwagi.

Rozpaliłem jednak ognisko. Po chwili już skwierczała w nim pieczona ryba i gotowała się herbata.

Przestałem się zupełnie bać. Czerwone polana płonęły i rozsypywały się na czarny węgiel. W miarę jak ognisko przygasało i w oczach mętniało. Gorąca jesień miała czar niezwykle, roztaczała zapach żywicy, który działał jak nasenny lek. Urodziłem się przecież w taką księżycową noc i o rannej porze zawsze czułem się wyśmienicie, za to już pierwszy zmierzch zwał mnie z nóg. A jeżeli musiałem wówczas coś robić to wykonywałem to w półśnie. Tak było i teraz.

Po sutej kolacji, szybko zasnąłem. W samym środku nocy obudził mnie hałas, który do dziś pamiętam. Był podobny do roz-

drapywanej kory sosny ze starego drzewa. Wówczas nie miałem wątpliwości, że ponownie mój namiot odnalazł niedźwiedź. Zareagowałem dość nerwowo. Błyskawicznie wyciągnąłem spod zagłówka strzelbę i mimo, że zachowywałem się głośno, chcąc intruza wystraszyć, kora dalej spadała z drzewa. Słyszałem też ciche poszczekiwanie i wyraźne łamanie na drzewie gałązek.

Prawie bezszelestnie zjechałem suwakiem zamka namiotu w dół, wystawiłem lufę i głowę, aby zmyć sen z oczu. Przede mną na drzewie, przy zawieszanej ubiegłego dnia rybie, siedział jakiś zwierz, zupełnie podobny do lisa. Czy to możliwe? Światło księżyca było jeszcze na tyle jasne, że upewniłem się z niedowierzaniem, że to jednak była prawda. Wyglądał na małego, siwego osobnika, którego dotąd nigdy nie widziałem, a o lisie chodzącym po drzewach nie słyszałem nigdy w życiu. Ten nie tylko się nie bał, ale zachowywał głośno na tle przymglonego nieba i roju gwiazd nad nim.

Chętnie bym ci posłał kulę za kradzież mojej ryby, ale szanuje twą złodziejską żyłkę. Jesteś u siebie, to masz szczęście i cię oszczędzę. Rozumowałem, że i tak mi na słowo Janek nie uwierzy chyba, że o tym wydarzeniu mu nie powiem, bo może by mnie wyśmiał.

Naraz zwierz zważył na ziemię resztę ryby i czmychnął w pobliskie skały.

Nocny rabuś napędził mi strachu. Potem trudno mi było już zasnąć, stąd odkryłem, że do ryby dobierał się jeszcze inny drapieżnik. Nad ranem, gdy było jeszcze ciemno, w światłach latarki pod drzewem sosny ujrzałem wielkie okrągłe oczy, przypominające do złudzenia ludzkie. Była to jednak sowa, która w mgnieniu oka pęczniała w świetle, stroszyła swoje pióra, chcąc mnie nastraszyć. Z ryby jednak już wiele nie pozostało i gdyby nie jej ogon, nie uwierzyłyby nikt, że wisiał tu wielki, północny pstrąg.

Tą sowę znałem od dawna. Pierwszy raz spotkałem ją przy campsie w prowincji Muskoka, kiedy Andrzej upolował je-

lenia wirginijskiego. Zjawiła się ta sama sowa jarzębata, zwana tam puszczem. Latała za dnia, pochodziła z dalekiej północy, gdzie stale było widno. Przypominała ni to jastrzębia, ni sokoła, była bez uszu, prądkowana i szarobrązowa z żółtymi oczami.

Tutaj odwagi jej nie brakowało. Odniosłem wrażenie, że najchętniej rzuciłaby się na mnie, poczym z ostrym „keji”, bezszelestnie odleciała.

Dopiero później tego roku, kiedy spotkałem Janka, mimochodem opowiedziałem mu o lisie, którego widziałem na drzewie. Wydarzenie to przez dłuższy czas nie dawało mi spokoju. Odpowiedź Janka była prosta.

- Był to lis wirginijski –powiedział - charakterystyczny dla Ameryki Północnej. Ma jednak słabe futro z czarnym pędzelkiem na końcu ogona, dlatego nikt się nim nie interesuje i na niego nie poluje. Mieszka najchętniej w szczelinach skał i otworach na zalesionych zboczach. Bez trudu wdrapuje się na drzewa, stąd trudno go zobaczyć.

6. Spotkanie na rzece

Ranek tego dnia miałem zupełnie chybiony. Pomimo załadki nad bobrową groblą niedźwiedź nie przyszedł, za to komary i czarne muchy mnie zdrowo pocięły.

Z zadowoleniem, więc zapakowałem swój dobytek jak wędrujący traper, niedbale na canoe, i w samo południe wypłynąłem w górę rzeki w drogę powrotną. Teraz miałem znacznie ułatwione zadanie dotarcia z powrotem do jeziora Piaskowego, gdyż rzeka sama powinna mnie doprowadzić do jej ujścia. Byłem nawet zadowolony z pominięcia bagien, przez które wcześniej się z trudem przedzierałem.

Po godzinie meandrowania na zakolu rzeki pomiędzy głazami i konarami drzew spostrzegłem uwijających się dwoje ludzi. Mieli na sobie kowbojskie kapelusze i byli nie do rozpoznania. Najpierw udawali, że mnie nie widzą. Kiedy jednak zbliżyłem się znacznie do ich biwaku, jeden z nich od razu wskazał mi miejsce na wodowanie.

Spotkanie było przyjacielskie. Wyższy z nich przedstawił się jako Jozeph Tremblay, a wskazując ręką na kolegę stwierdził, że to mój znajomy, Marcey Barabash. Teraz zrobiło mi się gorąco. Marcelego przecież znałem ze spotkań w kawiarni „Atrium” w Toronto, gdzie jako outfitter łowiecki opowiadał o polowaniach w północnym Ontario na dzikie gęsi.

Nie wierzyłem! Z wrażenia przecierałem oczy. W tej głuszy zobaczenie ziomka graniczyło przecież z cudem! Szybko próbowałem sobie przypomnieć to dawne spotkanie i rozpoznać zapamiętaną twarz w Polskim Klubie Łowieckim przy ulicy Dandas.

Tak to był Barabasz, nie myliłem się wcale. Uściskaliśmy się serdecznie, choć on moją tutaj obecnością nie był wielce zachwycony. Później dowiedziałem się, że rozmawiał o tym z Pawłem i Jankiem i wiedział, że płynąłem po jeziorze Piaskowym. Dziwił się jednak, że wpłynąłem w tę dziką rzekę, przecież mogłem mieć kłopoty z Indianami. Oni tu polują aż po jezioro Bassów, a nawet po Nipissing. Ich rezerwat jest tuż obok, a tu najczęściej młodzi chłopcy łowią ryby, są uparci i sprytniejsi od nas.

Opowiedziałem historię z napotkaną wieczorem osobą, która się szybko oddaliła znad rzeki. Nie byli tym zdziwieni. Teraz wiedzieli, że wracam do zatoki, gdzie mieszkam w campsie z kolegami, Jankiem i Pawłem.

Tremblay nie chciał dłużej słuchać niezrozumiałej między nami dyskusji i zniknął z obozowiska na dłużej. Przed wieczorem przyprowadził troje indiańskich chłopców o dziewczęcych sylwetkach. Mieli czarne włosy spięte opaskami, spod których zwiisały na piersi po dwa warkocze. Jeden we włosy miał wpięte orle pióra i buzia mu się nie zamykała od niezrozumiałej paplaniny. Byli odważni, siedzieli okrakiem wokół ogniska bacznie nas obserwując, często wskazując na Marcelego i na mnie. Z tych gestów i bełkotu nic nie rozumiałem, chyba tak samo jak i mój przyjaciel. W końcu Barabasz temu najbardziej gadatliwemu zasłonił ręką usta i zapytał Tremblaya, o co im właściwie chodzi.

Wyjaśnił nam, że mogą upolować młodego łosia i chcą nam go sprzedać za dziesięć dolarów i nóż Barabasza, który stał wbity w ziemię przy ognisku.

- Właśnie teraz kłócą się pomiędzy sobą o ten właśnie nóż, wyjaśnił Jozeph.



- Spytaj ich Józiu gdzie tego łosia mają?

Pośpiesznie wskazali skały, gdzie jeszcze tego ranka go widzieli. Tremblay targował się z nimi po to tylko, aby ich dłużej zatrzymać. W końcu, zrezygnował z tej oferty, kiedy Barabasz obiecał dać dziesięć dolarów, ale nie za łosia, a za cztery pstrągi.

Skoczyli jak opętani i pobiegli w stronę kamiennej grobli przegradzającej rzekę, tuż obok ujścia leśnego strumyka.

Naraz Barabasz krzyknął:

- Cholera, nie ma mojego noża, a to urwisy!

- Pożegnaj się z nim powiedział Tremblay, patrząc z politowaniem na swojego przyjaciela.

Przy pasie z nabojami Marcelego pozostała jedynie pusta pochwa na nóż. Chłopcy szybko zginęli za skałami, a Barabasz miał pretensje do swego towarzysza, że przyprowadził tych młokosów. Przez pewien czas nawet ze sobą nie rozmawiali. Jednak przed zmrokiem chłopcy wrócili. A raczej powróciło tylko dwoje, niosąc ze sobą dorodne ryby.

- Proszę oddać nóż – powitał ich Tremblay. Powiedzieli, że ma go nieobecny McItyra. Nikt z nas nie spodziewał się, że ten

jeszcze się pojawi. Jakie więc było nasze zdziwienie, kiedy ujrze-
liśmy Indianina niosącego olbrzymią rybę. Położył ją dumny obok
ogniska, nóż wbił w ziemię, w to samo miejsce, z którego wcze-
śniej go wyjął. Zadowolony usiadł wśród kolegów. Barabasz po-
patrzył na niego, potem na wielki okaz cętkowanej ryby, wreszcie
na wyciągnięte dłonie proszące o zapłatę.

Wcześniej przygotowałem kamerę, aby sfotografować
chłopców. Ci jednak, kiedy się domyślili moich zamiarów, pró-
bowali się oddalić.

- Odłóż ten aparat - powiedział Barabasz.

McItira opowiedział Tremblayowi, że ich szaman ostrzega przed
fotografią na papierze.

- Indianin mówił musi być na obrazie żywy, tak jak w lu-
strze i odbiciu w wodzie. Na papierze jest nieżywy, tak jak na
cmentarzu białych, gdzie wiesza się takie obrazy na brzo-
zowych krzyżach.

- Jeżeli nie schowasz aparatu, to oni sobie pój-
dą - oświadczył Tremblay.

Barabasz poprosił przyjaciela, żeby ten przetłumaczył Indianom
jego słowa.

- Powiedz im, że ten traper robi fotografie zwierząt.

Wyciągnął z pasa parę nabo-
jów i poukładał na piasku kolejno je
nazywając: - To jest czarny niedźwiedź, następny wilk, dalej łoś,
szop pracz, jeleni itp.

Gdyby miał więcej pocisków wymieniłby na pewno jesz-
cze parę zwierząt i ptaków do fotograficznego uśmiercenia.

Spodobało się to chłopcom. Jeden z nich chwycił pierw-
szy nabój i powiedział, że chętnie pokaże gdzie można zabić na
papierze czarnego niedźwiedzia. Twierdził, że wie gdzie przy-
chodzi stary niedźwiedź z dwojgiem piastunów.

Spytałem Trembleya czy można im wierzyć. Spostrzegłem
jak cała trójka biła się mocno w piersi.

McItira zapewniał, że naprawdę zobaczą niedźwiedzia,
jeżeli Barabasz da mu nóż, bo on musi wielkiego „han haka” po-

prosić o pozowanie do nieruszającej się fotografii na papierze. Znów był problem. Poprosiłem w końcu Barabasa, aby darował mu ten nóż i trochę z bólem serca oddałem mu swój, przywieziony jeszcze z Polski myśliwski kozik, który mi służył od lat. Indianin był zadowolony i przyrzekał, że zobaczę niedźwiedzia.

Miałem wolny jeszcze jeden dzień, a w puszczy dzień dłuższy jest dwukrotnie od dnia w świecie cywilizowanym, dlatego więc nie miałem spróbować. Barabasz jednak mnie ostrzegł przed takim ryzykiem i mówił abym nie wpakował się w jakąś kabałę z czerwonoskórymi, dodając, że potem trudno z niej byłoby się wyplątać.

- Oni mają tu prawa własności i są traktowani uprzywilejowanie! – Stwierdził.



7. Stary niedźwiedź Mattawa

Było po piątej, kiedy przez trawę i gęste zarośla zeszliśmy do strumienia, później po śliskich kamieniach ostrożnie na drugi jego brzeg. Tam McItyra bez ostrzeżenia złapał mnie za ramię i przydusił do ziemi. Było jednak już zbyt mało czasu, aby uchwycić w wizjer obiektywu jelenie, które gwałtownie przed nami z wielką gracją przekakiwały strumień. Indianie popatrzyli na mnie z niedowierzaniem. Byli zawstydzeni moim niedołęstwem. Zresztą stale sprawiałem im kłopot. Hałasowałem butami, łamałem niewidoczne przeze mnie gałązki i ruszałem kamienie na ścieżce. Zdawało mi się, że spoglądali na mnie z politowaniem, a ja cieszyłem się wczesnym rankiem, idąc pod górę. Chyba jeszcze spałem.

Trójka chłopców przemieszczała się na palcach stóp, a często nawet na czworakach, kiedy skradała się zza skał. Robili to bezszelestnie, a mnie to się nie udawało. Czasem wydawało się, że tylko ja byłem słyszany na tym bezludziu, bo oni jakby płynęli nad ścieżką.

Nie było, czemu się dziwić. Plemiona indiańskie Nipissing to mieszkańcy zwartych, północnych lasów, tak jak Algonquinowie, czy Odzibweje, wyspecjalizowani w podchodzeniu niedźwiedzi, łosi, rosomaków i prawdziwi łowcy wielkich muskolungów, łososi oraz pstrągów, mistrzowie pływania w canoe, pokonywania kamiennych grobli i wspinania się po drzewach za szopami i do orlich gniazd.

Wcześniej Barabasz narysował i dał mi wprawdzie, prowizoryczny szkic ze ścieżką, która prowadziła do bobrowych żeremi i matecznika niedźwiedzia, jednak w konfrontacji z zarośniętym terenem puszczy, był on dla mnie zupełnie nieczytelny.

Za mokrądem w samotnie stojącej skale, ukrytej w zaschłych świerkach, a raczej w jej pieczarach, McItyra, widywał Mattawę, starego niedźwiedzia, który tu mieszkał i wychodził rankiem łowić ryby na pobliską groble.

Indianin dał gwarancję Barabaszowi na spotkanie się z nim za niewielkie wynagrodzenie równe dziesięciu dolarom.

Była dobra pora, aby się ze starym Mattawą zobaczyć. Ponoć ten wielki niedźwiedź przywędrował w te strony dwa lata temu, kiedy w kanionach Mattawy i Ottawy zaczęto urządzać hałaśliwe spływy pontonami. Wypłoszyły one wszystkie mieszkające tam zwierzęta. Rwące i burzliwe wody rzek zaczęły ściągać coraz większe rzesze miłośników silnych wrażeń z całej Kanady. Podobny los też spotkał starego niedźwiedzia, mieszkającego teraz w skalnej pieczarze. Indianie Nipissing czcili go jak swoje bóstwo. Nikomu nie zdradzali jego kryjówki. Ponoć tylko sam wielki szaman widywał się z nim po nocach. Byłem jedną z nielicznych osób, które wyróżniono tym zaszczytem. Miałem go uśmiercić tylko na papierze.

Naraz Indianie przystanęli, zamieniając się w nieruchome pnie drzew. Domyśliłem się, że coś ważnego zauważyli. Odkryłem niedaleko nas łosia stojącego w wodzie, który nie był pewien czy ujrzał ludzi i czy grozi mu niebezpieczeństwo. Wiedziałem, że łosć rozróżnia tylko ruch, dlatego nie podnosiłem długiego obiektywu. To zadanie jednak ułatwił mi któryś z chłopców, wabiąc kilkakrotnie zwierze na liściu. Była to kłępa. Stała po kolana w wodzie. Niepewnie odwróciła się bokiem. Pozwoliło mi to na jedno udane przyciśnięcie migawki aparatu. Potem znikła jakby zapadła się w wodę.

Szliśmy dalej, obchodząc łukiem skałę, jednocześnie się do niej znacznie przybliżając. Po dwustu metrach pomiędzy wielkimi głazami ujrzałem prawie czarne zwierze, a raczej jego grzbiet. Był to pierwszy niedźwiedź pokazany mi przez Indian na zboczu.

McItyra szybko zwilżył śliną palec i podniósł do góry. Wskazał zły wiatr wiejący od nas w stronę zbocza. Chłopcy na czworakach, a ja mokry od potu, z ciężką kamerą też prawie przy ziemi przesuwalem się za nimi. Teraz dopiero odkryłem wielkie łapy zwierza odcisnięte na piasku. Podniecenie moje wzrosło, stałem się jeszcze bardziej zmoczony. Zwolniliśmy.

Obok tropu znaleźli chłopcy krople krwi. Ślad prowadził w dolinę, do strumyka, McItyra odważnie szedł pierwszy, trzymając jedynie w rękę swój nowy nabytek - błyszczący nóż Barabasza.

Swą drogę w dół niedźwiedź znaczył nie tylko kropkami krwi, ale wygniecioną trawą przez ciągnięte przez siebie zwierzę. Strumień w dolinie meandrował pomiędzy skalami i żółcią piasku na zakolach. Chłopcy błyskawicznie odkryli poszarpane przez Mattawę niewielkie zwierzę, porzucone nad wodą.

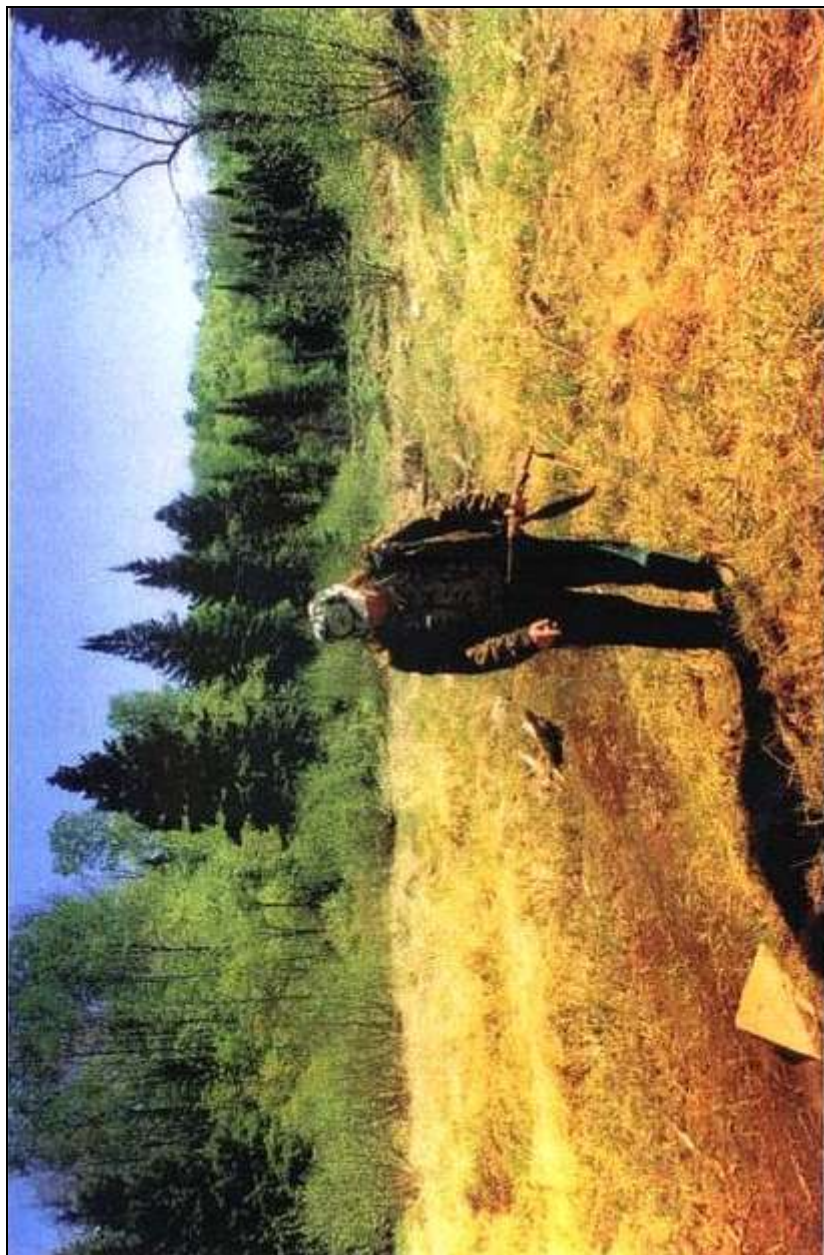
Niedźwiedzia jednak nie było widać, zapadł się pod ziemię. Zniknął. A może go w ogóle nie było i nie istniał?

Gdyby nie plamy krwi błyszczące na piasku i zdobycz, pewnie nikt by się nawet nie domyślił tragedii, która się tej nocy rozegrała.

Robiło się już coraz jaśniej i oddalała się nadzieja na spotkanie ze starym niedźwiedziem. Ostatni opar odsłonił nad strumieniem skałę, a u jej stóp głęboką, wypłukaną przez wodę rozpadlinę. W niej niczym kudłata ludzka głowa wystawała znad wody czarna rozwichrzona bryła. Była bez ruchu, robiła wrażenie zupełnie martwej. Trwało to na tyle długo, że zdążyłem precyzyjnie wycelować w nią obiektyw.

Naraz razem z fontanną wody wyskoczył na brzeg czarny niedźwiedź. Zdążyłem zaledwie przycisnąć kilka razy migawkę „nikona”. Zwierz, jak rażony kulą, błyskawicznie zginął za skałą na zawsze. Indianie wiele razy obchodzili ją i zaglądali we wszystkie zakamarki, szukali tropu. Niedźwiedź jak piasek rzucony w wodę przepadł.

Zgodnie ze starym myśliwskim zwyczajem do samego wieczora ukryci czatowaliśmy przy padlinie upolowanego łosza.



Była dobra pora, aby się ze starym Maławą zobaczyć (s. 50)



Swą drogę w dół niedźwiedź znaczył nie tylko kroplami krwi, ale wygniecioną trawą. (s. 51)



W niej niczym kudłata ludzka głowa wystawała znad wody czarna rozczochrana bryła. (s. 51)

Kiedy straciliśmy nadzieję na powrót Mattawy, McItyra powiedział, że niedźwiedź na pewno tak by uczynił gdyby rozpoznał swego oddanego przyjaciela, jednocześnie wskazując palcem na siebie.

Ze spotkania z niedźwiedziem byłem zadowolony. Po raz pierwszy z bliskiej odległości oglądałem czarnego niedźwiedzia, może nie samego Mattawe, ale na pewno jego mniej doświadczonego, młodszego brata.

8. Rzeczne koty

Pośród mrocznej puszczy Nipissing, w świerkowej skalnej dolinie z kamienistą wyściółką rodził się strumień, by kilkadziesiąt metrów dalej zamienić się w górski potok. Tam rwąca woda za skalnym progiem wyłobiła głęboki jar, od którego zaczynała się ta dzika rzeka. Tutaj w nurtach zimnej wody, klimacie bez słońca, bujnie rodziło się życie tej rzeki. Powstawało wśród chłodnych skał, zwisających gałęzi świerków, podwodnych mchów i w ciągłym ruchu burzącej się wody.

Odtąd w rzece, łączącej dwa jeziora - Piaskowe i Bassów, żyło wiele gatunków ryb. Jednym z najbardziej skrytych był „rzeczny kot”, północny pstrąg potokowy. Ryba ta niczym nie przypominała mi naszego pstrąga. Była koloru czarno - złotego, ozdobiona marmurkowymi plamkami. W czystej wodzie przypominała raczej węża szykującego się do ataku na srebrną błyskę.

Po takich kilku nieudanych próbach złowienia pstrąga zwinąłem żyłkę i odłożyłem spinning. Wolałem obserwować Tracęgo jak on łowi ryby. Indianin stał jak czapla długo na rzeczonym głazie, by naraz swój drewniany oszczep, zakończony szpilą, wbić w nasyoną bańkami powietrza wodę.

Po niecelnym uderzeniu włóchni raniony pstrąg wyskoczył nad wodę i ponownie w bryzgach kropli wpadł do niej. Jednak obok na sęku drzewa wisiało już ze siedem złowionych okazałych ryb.



Tracy, kiedy mnie zobaczył, oparł się o drzewo, na którym lśniły czernią i złotem mokre jeszcze ryby. Był dumny ze swego połowu. Spod jego futrzanej czapy wyczuwało się radość i zadowolenie, może i tym większe, że mnie, uzbrojonemu w spinning, niewidoczną plecionkę i srebrną, blaszaną rybkę, nie udało się nic chwycić. Przyglądając się jego okazom ciągle wierzyłem, że musi być jakiś sposób na przechytrzenie tych wachaczy.

Byłem tego dnia umówiony na ryby z Barabaszem i Trembleym. Znali oni takie miejsce, rzekłbyś „rybi matecznik”, u ujścia rzeki z jeziora. Kiedy do canoe włożyli wielką, ponad metrowej wielkości drucianą klatkę byłem tym zaskoczony.

- Chyba nie ma tam tak wielkich ryb - zagadnąłem Barabasza.

- Na pewno są, padła odpowiedź! - Ale dziś będziemy łowić pstrągi jeziorowe, no i jak się uda, północnego szczupaka. Tylko weź ze sobą wobler, jeżeli chcesz mieć jakieś sukcesy!

To była naprawdę okazja. W Polsce właściwie wolno pstrągą łowić na sztuczną muszkę, a tylko nieliczni mogą go złowić na spinning.

Owadów było już niewiele. Ryby po letnim tarle miały spory apetyt i prawdopodobnie nie gardziły żadną przepływającą obok rybką, byleby była prawdziwa.

Przed wyjazdem do puszczy w La Baron kupiłem spory zestaw mepsopodobnych błystek - złotych i srebrnych. Tu jednak w rzece nie były najlepsze. Wiele z nich z prądem wody zamiast wirować wlekło się i straszło ryby.

Zatrzymałem się na kamienistym brzegu, przy samym ujściu rzeki. Brodząc w lodowatej wodzie próbowałem moje przyręty. Pierwszego pstrąga złowiłem na woblera z doczepioną małą błystką. Plastikowa rybka do złudzenia przypominała żywą. Była na tyle atrakcyjna dla niewymiarowego pstrąga, że już za drugim rzutem ją chwycił. Wiedziałem, że tą metodą wiele nie złowię, a jeżeli któregoś zahaczę, to będzie niedoświadczony młokos, jak ten pierwszy.

Opuściłem szybko tę wodę.

Barabasz ze swoim kolegą wypłynął na jezioro, pod drugi jego zalesiony brzeg. Liczyli tam na większe sztuki, szczególnie szczupaków.

Za zakrętem rzeki, pod zwisającymi gałęziami jodeł dostrzegłem głębię wody. Ukryłem się za pniem drzewa i bacznie to miejsce obserwowałem. Miałem nadzieję na spotkanie w niej większych okazów pstrąga. Obok płytkie, przezroczyste wody robiły wrażenie bezrybnych.

Ciemna plama wody zavalona była pniami drzew. Ostrożnie i bardzo cicho zbliżyłem się do dołka. Mój każdy nieostrożny ruch mógł być odkryty przez rybę. Stałem za wielkim zwalonym pniem, którego konary moczyły się w wodzie. Tam ostrożnie rzuciłem malutką obrotówkę. Kiedy dosięgła wody, ryba uderzyła, gwałtownie naprężyła linkę. Dołek kipiał, a ryba wyskoczyła nad wodę, zatrzęsła błystką i w bryzgach wpadła ponownie do niej. Walka z nią był krótka, woda niewielka, linka zaplątana w gałęzie, ale pstrąg był mój! Zużył siły na walkę, teraz płynął do góry brzuchem z kotwicą w rozwartym pysku. Delikat-

nie go wyjąłem z wody. Był podobny do tych złowionych rankiem przez Indianina, choć w moich oczach urósł znacznie, to był tak samo czarny i złocisty jak te jego sztuki.

Do południa w podobnych dołkach złowiłem jeszcze kilka sztuk, z których dwa wypuściłem. Były zdecydowanie mniejsze.

Barabasz i Tremlay na pewno też nie próżnowali, przecież byli doświadczonymi wędkarzami i myśliwymi. Z ciekawością oczekiwałem na ich powrót. Kiedy dopłynęli do brzegu klatka na rufie canoe była obciążona rybami.

Szybko uchwyciłem aparat i na fotografii udokumentowałem tę wyprawę. Ryby nie były rekordowe, ale chyba przeholowały trochę z ilością. Jezioro piaskowe okazało się dla nich szczególnie i zasobne.

Moja zdobycz była piękna, a złowione przeze mnie ryby niebywale dzielnymi okazami z Północnego Ontario.



9. Poszukiwacze złota

Na początku ubiegłego wieku Judy Stewart był cenionym handlarzem skór w dorzeczu Ottawy - od Montrealu po North Bay. Stale powiększał swą fortunę robioną na niedźwiedziach i bobrowych futrach. Nie wiedział jednak, że, o jego bogactwie do końca życia zadecyduje mały kawałek żółtego kruszcu. Otrzymał go od starego, indiańskiego szamana Szarego Wilka ze szczepu Algonquinów, aż znad jeziora Złotego. Samorodek żółtego kruszcu, wielkości orzecha laskowego, tak mocno zawładnął jego umysłem i życiem, że nie szczędził darów dla czerwonego brata, byleby ten wskazał mu również miejsce znalezienia cennego kamienia. Indianin też zrobił dobry interes, bo otrzymał w zamian strzelbę i pas pełen naboí.

Odtąd Stewart całą swój majątek przeznaczył na inwestycje, które by mu umożliwiły pomnożenie swej fortuny.

Złotodajny strumyk płynął z południa na północ, w głębi puszczy i niewielką rzeczką wpadał do Zatoki Nipissing. Był typowy dla nieujarzmionej dzikiej przyrody w Północnym Ontario. Wody w jego górnym biegu żłobiły głębokie kaniony i żleby, by rozlać się szeroko w dolinach i na mokradłach. Przegradzały go częste wodospady i bobrowe tamy. Właśnie w jednym z nich przed laty Szary Wilk znalazł złoty klejnot.

Dla Stewarta strumień ten wyglądał zachęcająco. Żółte łąchy piasku po brzegach otaczały doliny, bobrowe tamy tworzyły różne poziomy wody, w których topiły się skały na przemian z żeremiami ich budowniczych.

Stewart poszedł na całego i przeznaczył swą fortunę, uzbieraną w ciągu długiego życia, na nowoczesną, jak twierdził, płuczkę dla zdobycia złotodajnego kruszcu.

Indianie wybudowali mu na końcu piaskowej doliny drewnianą rynnę, gdzie z siedmiometrowej wysokości spadała woda z piaskiem. Obok na sześciu cedrowych balach ustawili mieszkalną szopę, z której właściciel mógł stale kontrolować przepływ wody w rynnie. Każdego dnia schodził po drabinie w dół i na stożku wypłukanego żwiru wybierał okruszyny złota. Przez kilka lat jednak się niewiele wzbogacił. Ciągła wilgoć i obowiązek regulacji przepływu wody w końcu nadszarpnęły jego zdrowie. Jednak przez swą upartość i zaangażowanie stał się znanym i cenionym poszukiwaczem złota w całej północnej prowincji.

Kiedy uruchomiono kopalnię złota w Bancroft jako fachowiec znalazł szybko w niej pracę i wynagrodzenie nieporównywalnie większe niż z własnej płuczki. Był już wówczas starym człowiekiem, toteż całe swoje doświadczenie przekazał młodemu chłopcu, swemu uczniowi Arnoldowi Gippsonowi, z którym dzielił przez wiele lat mieszkanie.

Kiedy w latach osiemdziesiątych w kopalni zaprzestano wydobywania złota, z braku opłacalności produkcji i jednego dnia zostało bez pracy ponad tysiąc osób, Gippson długo się zastanawiał i ruszył do puszczy. Wiózł ze sobą doświadczenia Stewarta, rysunki, mapy i zgodę na płukanie złota w jego szopie.

Kiedy po raz pierwszy wiosną 1998 roku ujrzałem tę obскую chatkę na kołkach nie wierzyłem, że w niej może teraz pod koniec dwudziestego wieku ktoś mieszkać.

Bobry podcięły jedną stronę podpór i pochyliły budowlę, przystosowując ją do własnych potrzeb. Pobudowały wzdłuż tamę, przegradzającą w poprzek dolinę. Nowy właściciel był zmuszony poprowadzić dodatkową rynnę aż pod las, gdzie wypływał strumień niosący dużo piasku. Chyba tak jak dawniej woda tu

spadała z wysoka, rozwiewana przez wiatr, tylko ciężki żwir spadał na stożki.

Z Gippsonem zapoznał mnie Barabasz, który znał wszystkich włóczęgów w tej puszczy.

Aż z wrażenia chciało się zakląć na widok faceta w porwanej koszuli i zupełnie spranych dżinsowych portkach, nie ogolonego, lecz o wielkich przyjaznych oczach. Zapach, a raczej smród suszonych skór, równoważył trochę dym z wędzonych ryb, ale i tak trudno było oddychać. Ramy okienne zasłonięte były foliowymi workami. Dziwnie się czułem chodząc po pochyłej podłodze i siedząc przy krzywym stole. Gospodarz już dawno się do tych niewygód przyzwyczaił. Stąpał lekko i cicho.

Gałęzie z bobrowej tamy prawie sięgały do okna, przez które roztaczał się widok na sporej wielkości staw i świerki w kształcie wysokich wieżyc.

Gippson chyba, dlatego tak niewiele mówił, bo jego dom wokół otaczał szum spadającej wody a dźwięki skrzypiących stale desek zagłuszały wszystkie rozmowy.

Za to chata była nieźle urządzona i wygodna. Podłużny żeliwny piecyk zajmował centralne miejsce. Pod ścianami był zapas długich klocków brzoźowych ułożonych do sufitu. Metalowy komin też biegł skośnie, chyba po to, aby ogrzać jak najwięcej pomieszczenia. Na gorącej rurze wisiały szynki z łosia, suszyły się ryby z pachnącym czosnkowym ziołem. Resztę pomieszczenia zajmował stół z gazetami, na których suszyły się skalne ułamki, wyglądem przypominające piry i złoty piasek.

Wyczuwałem, że Gippson obserwuje mnie bez przerwy. Piliśmy piwo przywiezione przez Barabasza. Jego butelka była już pusta. W prezencie podałem mu to, co mi pozostało. Podziękował. Poprosiłem Barabasza, aby zapytał go czy zaprowadzi mnie jutro do kanionu i pokaże bobry i tamę, wtedy dostanie jeszcze moje dwie flaszki.

Boże, jak on po paru butelkach pięknie opowiadał o swoim życiu i puszczy, niedźwiedziach bobrach i złocie! Nie byłem

w stanie tego wszystkiego zapamiętać, nie potrzebnie piłem. A on mówił o swoich marzeniach i o wielkim bogactwie, jakie go czeka.

Kiedy jednak nawet piana nie pozostała w butelkach, zauważyłem, że pod jego oczami zrobiło się mokro, a potem nawet popłynęła łza. Mimo, że Gippson mówił z wiarą w swój sukces, to na dnie swej duszy chyba nie dowierzał do końca swemu szczęściu.



10. Inwazja Bobrów

Arnold Gippson urodził się w małym miasteczku La Passe nad rzeką Ottawą. Swej matki nie znał. Mówił, że była Indianką z plemienia Odzibwejów. Od lat młodzieńczych jego marzeniem było zostanie poszukiwaczem złota. Tak jak jego szkolni koledzy naczytał się książek Grey Owla i Jamesa Olivera Curwooda, którzy tu na granicy Quebecu i nad Superiorem pisali o podbojach tych ziem, o bogatych osadnikach oraz współżyciu z przyrodą i brataniu się z Indianami. Relacje te podsycały stale jego wyobraźnię, a kiedy nadarzyła się okazja spełnienia tych marzeń i potem, kiedy widmo bezrobocia dotknęło również i jego osobiście, indiańska krew burzyła się w nim już bez przerwy i nie pozwalała usiedzieć w domu.

Ruszył w puszcę. Bez trudu dotarł do obiecanej przez Stewarta złotodajnej rzeki Szarego Wilka.

Ponieważ złoto w każdym człowieku budzi iskrę chciwości, tak i on z chytrości i chyba własnej głupoty rozwalił w górnym biegu rzeki kilka bobrowych tam. Wszystko po to, aby wartki nurt wody uniósł jeszcze więcej żwiru i złotodajnego piasku do jego płuczki. Był niecierpliwym, młodym człowiekiem, chcącym się szybko wzbogacić.

Wówczas wcale się nie zastanawiał, jaką zrobił wielką szkodę rodzinie bobrów i rzece. Kiedy woda opadła poniżej tam i odsłoniła żeremia i ścieżki bobrów, zwierzęta te zostały zmuszone do migracji, opuszczenia swych dotychczasowych siedzib. Widocznie uznały, że naprawa uszkodzeń jest zbyt długotrwała i zdecydowały się wyprowadzić z górnego odcinka złotodajnej rzeki.

Gippson nawet z początku był zadowolony, jednak szybko zauważył, że do jego rynny wpływa coraz mniej piasku. Nurt rzeki znacznie teraz się uspokoił, woda się nie burzyła i płynęła leniwiej niż dawniej. Na jego sieci coraz mniej też było żółtych kruszyn, a to na przyszłość groziło biedą.

Już po roku czasu wiedział, że popełnił błąd. Toteż ucieszył się, kiedy przed jego oknem, prawie przy płuczce zaczęło powstawać żeremie. Zauważył, że w ciągu dnia nic tam w zasadzie się nie działo, nie widywał zwierząt i robił wszystko, aby budowniczym nowego domu nie przeszkadzać. Żeremie jednak stale rosło ku górze. Z ciekawością spoglądał w okno i zastanawiał się, kiedy one to budują. Szybko te kwestię wyjaśnił rzęsisty deszcz i burza, która przechodziła nad puszcą. Wówczas przez przypadek zobaczył w oknie obraz, którego się nie spodziewał. Obok żeremia woda gotowała się od pracowitych bobrów. Jedne transportowały gałęzie, inne je układały i zalepiały szczeliny. Zauważył też, że bobry używały do tej budowli nawet jego desek ze starego koryta płuczki.

Inna rodzina budowała obok kilkumetrową tratwę lub coś podobnego kształtem do niej. Ta była zaopatrywana w same świeże gałązki z młodymi listkami.

Gippson teraz, oprócz szumu spadającego żwiru, nocami miał jeszcze za oknem ciągły plusk wody na coraz głębszej zatoce przed samym oknem. Nawet tym zjawiskiem zaczął się niepokoić, a swoją rynnę był zmuszony przenieść dalej, aż do nurtu rzeki.

Kiedy wiosną wrócił po kilku dniach nieobecności w swojej chacie, omal nie zaklął. Pod jej podpory bobry przetransportowały dwie wielkie topole i znacznie podniosły poziom wody. Pracowały bez przerwy, aby dogonić budowniczych żeremi, które za bardzo zaczęły wystawać z wody.

Myślał nawet o odstrzeleniu najbardziej odważnych osobników. Jednak, kiedy z przerażeniem odkrył, że pod jego chatę podpływają całe rodziny i młode bobrzyki nawet pomagają uszczelniać tamę, załamał się zupełnie.



Pracę przy budowie zapory na pewno jeszcze potrwać do zimy - rozumował. Tylko, co będzie z moją chatą i płuczką, czy runie pod naporem wody? Obserwując bobry Gippson doszedł do wniosku, że zwierzęta te na dobre się obok zadomowią i nie pozwolą na wyrządzenie mu krzywdy. Budowana obok żeremia tratwa okazała się spiżarnią na zimę. Stała na bieżącej wodzie w miarę głębokiej, aby zimą nie zamarzała i był do niej dostęp pod wodą.

Słusznie policzył, że bobry wodę podniosą jeszcze o paręnaście centymetrów i że nie zaleją jego podłogi. Coraz częściej z pokorą przyjmował swych sąsiadów na własnej posesji. Po dwóch latach bobry wchodziły na jego pomost i do koryta płuczki. Ich zachowanie nazwał inwazją na swój dom i zemstą za to, co im wcześniej uczynił, niszcząc tamy.

Przyglądając się Gippsonowi zauważyłem, że ciągle szuka skrótów w swym życiu. Chciał być szybko bogatym, stąd popełniał na tej drodze wiele błędów. Tutaj była zwierzyna, cudowne krajobrazy, mógł łowić ryby i polować, suszyć skóry i sprzedawać wypłukany kruszec, czy wymieniać na towary w pobliskim Nipissing, lub Pawassan. Otaczał się leśnymi Indianami, z nimi robił

niezłe interesy. Za haczyki i wędkarską żyłkę otrzymywał zwierzynę i ryby. Tolerowali jego dom, tak jakby był ich własny, choć za zniszczenie bobrowych tam obrzucili go kiedyś kamieniami.

Kiedy przypłynął Barabasz siedzieliśmy przy ognisku. Każdy z nas miał zatknięty na patyku kawał mięsa, odcięty z wiązanej nad piecem połci, przetkany sadłem.

Smakowało wybornie. Barabasz od razu otworzył butelkę, wziął kawał pieczeni do gęby, potem opróżnił połowę jej zawartości, aby popchnąć w gardło mięso.

Otarł ręką brodę z tłuszczu i bełkocząc coś po angielsku podał butelkę Gippsonowi. Ten jednak udawał, że nie rozumie i wypił ją do dna.

Było już późno, a niebo ciężkie od chmur, kiedy odpływaliśmy dziękując gospodarzowi za gościnę. Otrzymaliśmy też zaproszenie na polowanie na jelenie i łosie.

- Ty draniu - powiedział po polsku Barabasz - skąd u ciebie nad piecem tyle połci łosia? Masz szczęście, że tego nie widzieli strażnicy łowieccy z Restoule!

11. Zaczesany chevreuil

Przy płynęliśmy do tajemniczego ustronia w lesie, przywiązaliśmy łódź do pnia i wyszliśmy na brzeg. Paweł podszedł do widocznego na przystani ogniska. Ruszył wiosłem popiół Zadymiło od pary i kilka iskier uniosło się w górę.

- A więc te smyki tu obozowały - powiedział.

- O kim myślisz?

- Nie domyślasz się? Zobacz, wokoło leżą obrane szkiele-
ty ryb i porwana sieć.

- Ale wielkie sztuki! – Zauważyłem.

- To byli ci sami, co uciekali łodzią, kiedy nas zobaczyli
nad Jeziorem Piaskowym.

- Domyślam się, że to Indianie z rezerwatu.

- A co mieli robić? Może chciałbyś zabronić im łowienia
ryb?

Paweł jednak wciągając w nos jakieś obce zapachy nerwowo węszył wokół. Sam jak Indianin sprawdzał na ścieżce ślady obuwia pomieszane z tropami zwierzyny i znalazł, a raczej odkrył wędzarnię ryb. Niedaleko okopany stożek obłożony był jodłowymi gałązkami, z którego zapach delikatnie łaskotał nasze podniebienia.

Po odsłonięciu gałęzi, zobaczyliśmy sporo uwędzonych ryb, rozwieszonych na patykach.

- O cholera! Ale nam się przytrafiło! Nigdy bym się nie spodziewał, że w tej dziczy czeka na nas gotowy obiad!

- Weź rybę i jedz!

Ogarnął mnie jednak strach. W końcu wziąłem pierwszego z brzegu szczupaka, podobnie jak Paweł. Był wyraźnie słodki.

Pierwszy raz jadłem rybę o takim smaku. Była wyśmienita, niczym nasze okonie.

- Oni większość mięsa konserwują w cukrze, a raczej w klonowym syropie. Kto nie jadł tych specjałów, nie wie, jakie to dobre - powiedział Paweł. Mamy jednak teraz problem, czy oni buszowali tylko na skraju lasu i nie wypłoszyli jeleni, czy też wchodzili w jego głąb, bo wówczas byłoby szkoda tej naszej fałtygi. Ta część puszczy należy do Korony i mam tu ważny odstrzał na dwie łanie i „baka” (byka jelenia wirginijskiego). Od dawna wiadomo, że w tych lasach występują szczególnie cenne okazy, bo nakładają jedno z najcięższych poroży w całej Kanadzie.

Jeleń jest tu najpospolitszym przedstawicielem grubej zwierzyny i często nazywany jest białoogoniastym. Pod względem wielkości i masy ciała zajmuje pośrednie miejsce pomiędzy naszym jeleniem i sarną. Wieniec, w oczach Europejczyków, ma dziwny. Jego dwie lub trzy tyki wyrastają do przodu i robią wrażenie jakby były „zaczესane” od tyłu do przodu. Nazywają go myśliwi z Quebecu „chevreuil”, lub po prostu kozłem. Wyjątkowe okazy ważą do 140 kg. Przy spotkaniu z nim zwraca na siebie uwagę śnieżnobiałym pióropuszem ogona, który uchodząc wysoko podnosi w górę niby flagę. Bezsprzecznie to jest jego wielką ozdobą i przez to trudno go nie zauważyć.

Paweł wydobył z łodzi swego winchestera. Do komory włożył trzy naboje, a na szyję zawiesił lornetkę. Wcześniej też wyskalował GPS. Był on w tym trudnym terenie naszym niezawodnym kompasem, bo rysował marszrutę. Na twarze założyliśmy maskujące siatki. Przewiesiłem przez ramię moją trzysetkę z nikonem i ruszyliśmy w tutejszą dżunglę. Przed nami była niewyobrażalna ilość bagienek i mokradeł, błotnistych ścieżek wydeptanych przez zwierzynę.

Szliśmy powoli i jak najciszej, stale pod wiatr. Wiedziałem z praktyki, że polowanie to stanowi wezwanie dla tych, którzy mają dobrą orientację w lesie. W tym terenie byłem pierwszy raz, ale Paweł doskonale znał ścieżki dzikich zwierząt. Wcze-

śniej, chcąc mnie ostrzec, mówił: - Kiedy jeleń wirginijski wyczuje obcy zapach lub usłyszy najmniejszy szmer umyka i w tym trudno go przechytrzyć. Jednak ma pewną słabość. Jest ciekawski i okrąża myśliwego, często chyłkiem wypatruje z ukrycia, kiedy ten powróci do swej bazy.

Weszliśmy w drzemiący sennością, dziewiczy las. Spokój i cisza panowała w jego wnętrzu. Po dłuższej chwili ukazała się naszym oczom jasna tafla jeziora, nad którym rosły sędziwe drzewa. Paweł nerwowo poderwał swą lornetkę i przeglądał każdy szczegół pomiędzy nimi. Bardziej rozgarnął krzewy i zamarł w bezruchu. Ciche: „jest zaczesany chevreuil”, ledwo usłyszałem. To oznaczało kapitalnego byka wirginijskiego.



Rzeczywiście za grubym konarem starego klonu czy jodły tylko na chwilę pokazał swój wieniec z trzema tykami skierowanymi do przodu. Widziałem go wyraźnie w obiektywie, ręce mi się trzęsły z emocji, ale nie śmiałem przyciskać głośnej migawki aparatu, bo nie chciałem utracić Pawła przyjaźni.

On jednak zbyt długo składał się do strzału. Nagle spod kopyt jelenia prysły kamienie i zakurzyło się pod drzewem. Zwierz znikł z głośnym fuknięciem, tak szybko jak się niespodziewanie nam ukazał.

Trudno się było temu dziwić. Tylko takie zachowanie daje mu szansę przeżycia. Tym również różni się od naszych jeleni, że nigdy nie wychodzi na ludzkie uprawy i nie opuszcza lasu. Jednak znaczna część tej zwierzyny ginie przy drogach, ciekawa świateł reflektorów, za którymi często kryją się miejscowi kłusownicy. Sprzedają tuszę niedzielnym myśliwym w przydrożnych camp-sach, czy leśnych wigwamach, za osiemdziesiąt dolarów. Nabywcy zaś z dumą umieszczają odbity łeb z wieńcem na dachu swego samochodu i tak wracają do domów, które najczęściej są oddalone o setki kilometrów.

Takie praktyki miały miejsce jeszcze do niedawna w prowincjach Quebecu i Ontario. Obecnie prawo ściga z całą surowością tego rodzaju poczynania i zachowania pseudo myśliwych. Nie dotyczy to jednak Indian, pierwszych i prawowitych właścicieli tej puszczy.

12. Łanie z piaskowej doliny

Puszcza ta niegdyś należała do Odzibwejów i Cree – oświadczył Indianin. - Odstąpiliśmy ją Outfitterom za psie wynagrodzenie.

Dawniej rozkoszą było polować w tej krainie i byłoby tak do dzisiejszego dnia, gdyby nie pieniądze. Ty chcesz zdobyć wielkiego jelenia, to musisz mieć też dużo dolarów.

Ale - ja wykupiłem licencję na odstrzał takiego byka z dużymi rogami w tym lesie i chcę go zdobyć w czasie rykowiska – upierał się Paweł.

- Czarny Kruk, jest sprawiedliwym człowiekiem i za niewielką sumę nie pozwoli, żeby jego gość wyjechał stąd bez jelenia z dużym porożem.

Nagle przerwał swą wypowiedź. Zbliżył się do brzegu jeziora, klęknął, przyłożył ucho do powierzchni wody i chwilę nasłuchiwał. Zadowolony wrócił, znów usiadł na kamieniu i rzekł:

- Tam gdzie ty byłeś wczoraj nie ma jeleni. Dzisiaj pole-rują swoje rogi o pnie drzew po lewej stronie jeziora.

Paweł popatrzył na mnie, a ja na niego ze zdziwieniem. Przecież tam jest samo bagno i błotnisty moczar, doświadczyliśmy tego jeszcze wczorajszego dnia. Paweł wstał i też poszedł nad wodę i chwilę nasłuchiwał, udając, że na tych jelenich odgłosach się dobrze zna.

- Ty wiesz, że on mówi prawdę!

Potem wiatr przyniósł ciche odgłosy fukania i jakby zdzierania kory z drzewa, co potwierdzało informacje indiańskiego włóczęgi.

- To, co? Dogadamy się z tym jeleniem? - Zapytał Czarny Kruk.

- A ile ty chcesz za doprowadzenie pod jelenie?

W końcu czerwonoskóry zażądał opłaty za dwie ryby, które zjedliśmy wczorajszego dnia, po dziesięć dolarów. Oznajmił też, że następnego dnia rano będziemy mieli „deera”(jelenia) za osiemdziesiąt dolarów a za pobyt w jego lesie, będzie należało się razem... Jednak nie dokończył tego wyliczania, bo przerwał mu nerwowo Paweł. Wstał i prawie ze złością powiedział:

Ty nawet nie umiesz liczyć! Za ryby i za „deera” dostaniesz pięćdziesiąt dolców, bo drugie tyle zapłaciłem za licencję na odstrzał u białych outfitterów.

- Jakie oszustwo? Zdziwił się Indianin. - Oni tobie sprzedali nasze jelenie i naszą własność!

Jednak wyciągnął rękę po pieniądze.

- Chwileczkę dodał Paweł - pod warunkiem, że te jelenie ty mi pomożesz ustrzelić! – Zgoda?

Pokleпали się po ramieniu za udaną transakcję.

- Policzyłem wam niewiele uznał Czarny Kruk - a ty jesteś skąpy!

Zmierzch zapadał nad puszcza, a raczej nastawała taka mętna szarówka, która na tych szerokościach geograficznych trwa do dwunastej w nocy.

Skorzystaliśmy z szałas Indianina, choć jak słusznie Paweł podejrzewał i za to trzeba będzie dołożyć po dziesięć od każdego z nas.

- Myślę, że setkę dolców trzeba mu będzie dać, jeżeli łowy będą udane – uznał.

Lampa długo jeszcze się paliła w naszym szałasie i wabiła swym blaskiem sowy Jedna z nich siadając na dachu trzęsła i nim straszyla, chcąc nas wypłoszyć z ukrycia. Wewnątrz było ciepło i pachniało igliwem. Światło też nie przeszkadzało małym myszkom, które latały po kocach szukając pożywienia. Strząsaliśmy je

z włosów i rąk. Kiedy jednak zrzuciły pokrywkę garnka i narobiły hałasu, Paweł zgasił lampę.

Ustaliliśmy, że nawet dopłacimy Indianinowi, ale jeżeli wykonamy odstrzał dwóch łań i byka, jak mamy zapisane. Taka okazja drugi raz już się nie zdarzy!

Wiedzieliśmy, że jeleni wirginijski jest najbardziej nieuchwytnym i ostrożnym spośród większej zwierzyny Kanady. Żeruje przeważnie nocami, o świcie zaś schodzi do swoich niedostępnych leży, po drodze jeszcze podjadając. Według Czarnego Kruka tutaj przemieszcza się wilgotną, piaskową doliną nad jeziorem, wśród gęstych zagajników. Dokąd wędruje powie nam rano, jak otrzyma połowę zapłaty.

- Ty wiesz, to jest pomysł! On ma nieźle poukładane w głowie - mówił Paweł. - Co byśmy bez niego zrobili w tych bagnach? Dlatego warto zaryzykować. Według natropień chodzą tu sztuki wielkie i niespotykane nawet w hrabstwie Muskoka, czy Pery Soud. Poza tym bez naganki byśmy sobie nie poradzili.

Już z pierwszym brzaskiem dnia Czarny Kruk przyszedł pod szałas. Przyprowadził swego pomocnika Macleja, jak twierdził, najlepszego tropiciela i wabiarza jeleni. On ma kosztować nas niedrogo. Paweł znów był wściekły, ale w końcu machnął ręką na pazerność Indianina.

Uzbrojeni w sztucery i ubrani w kamizelki oranż wsiedliśmy do canoe. Kiedy i przewoźnik wskoczył do niego, niewiele brakowało, aby woda zaczęła łać się do środka.

Płynęliśmy do końca zatoki jeziora, by potem wspiąć się na zbocze doliny, przy urwisku skalnym. Był tu świetny punkt widokowy na całą bagienną dolinę, której gardzieli mieliśmy pilnować. Widok stąd był wspaniały. Żółcią i złotem okryły się jesienne olchy i brzozy, a naprzeciw wznosiło się skalne rumowisko. Dołem na odkrytych mokradłach płynął strumień. Było to wyborne miejsce dla oceny zwierz, gdyby tędy przechodził.

Jelenie wylegiwały się w zarośniętych bagnach nad jeziorem. Trudno było je odkryć. Czarny Kruk z Maclejem samotnie

musieli skakać po wąskich ścieżkach i zdradzać swą obecność. Posuwali się powoli i często zatrzymywali. Wiedzieli, że w ten sposób szanse nasze na spotkanie zwierza wzrastały. Jeden za drugim szedł w oddaleniu. Jelenie próbowały odkryć przyczynę swego niepokoju, gwałtownie nie uciekały. Często wspinały się na zbocze i obserwowały.

Pierwsze trzy łanie spokojnie przechodziły przez dolinę w odległości zaledwie stu metrów od naszej skały. Paweł wybrał jedną o najgorszej kondycji i razem z hukiem sztucera łania pozostała na bagnie. Jej ruda plama znieruchomiała i wtopiła się w trawę. Jedynie biały ogon sterczał ku górze.

Długo obserwowaliśmy jeszcze inne łanie, z której jedna jeszcze pozostała na trawie. Niepostrzeżenie jednak umknął nam okazały byk, który wiedziony instynktem przemaszerował za naszymi plecami. Na pewno był szóstakiem i to mocnym, takim, na którego mieliśmy licencję.

13. Rykowisko w lesie cedrowym

Patrząc z wody na puszcę odnosiło się wrażenie, że mieni się ona barwami złota i zieleni. Ciemne ściany cedrów tworzyły olbrzymią kotarę, strzegącą tajemnic jej wnętrza. Za to przy wodzie drzewa obsypane były makiem drobnych, złotych kwiatów.

Nasze blaszane canoe powoli zbliżało się do tej barwnej ściany lasu, skąd coraz wyraźniej dochodziły odgłosy godowych dźwięków jeleniego rykowiska. Przecież była jesień, cudowna, pora roku, barwna i bezwietrzna w całym wielkim Nipissing. Puszcza była w barwach czerwieni aż pod sam horyzont i amaran-towa w lustrzanej toni jeziora Piaskowego.

- Zamiast myśleć o rykowisku, bezpiecznym wodowaniu i szybkim odnalezieniu Czarnego Kruka, ty przyglądasz się drzewom, jakbyś wcześniej ich nigdy nie widział – powiedział szep-tem Paweł.

Rzeczywiście o tej porze słońce zatoczyło łuk nad puszcą i wolno czerwieniało, a cedry rozpałało ogniem. Teraz mogłem się przekonać jak miliony kwiatowych pąków, niczym ziarenek dojrzalej pszenicy, utworzyło złoty ornament zabarwiając lasy nad jeziorem.

Dość niespodziewanie z głębi boru usłyszeliśmy hukanie wielkiego puszczyka. Ależ było to dla nas bałamucące! To przecież Czarny Kruk dawał nam znaki z konaru drzewa, wskazując miejsce wodowania.

Potem bez najmniejszego słowa pomógł nam opuścić naszą łódkę. Kiedy podtrzymywał mnie z grzeczności omal nie za-kląłem. Poczułem od Indianina okropny fetor zatykający nos,

a nawet oddech. Śmierdziały nie rogi przytroczone do pasa, ale jego całe ubranie.

Na Pawle nie robiło to jednak większego wrażenia. Powiedział, że oni wszyscy przed polowaniem jednakowo śmierdzą, bo oblewają się wydzielinami ze skunksa.

Przed nami piętrzyła się zaporą z korzeni wywróconych przez huragany cedrów. Niektóre swą wielkością dorównywały starym drzewom. W ich macki wplotło się mnóstwo kamieni, a nawet większe głazy, które teraz wisiały nad nami jak zła wróżba.

Sobie znanym sposobem Indianin bezpiecznie poprowadził nas na pobliskie wzniesienie. Pawłowi wyznaczył miejsce przy omszałej skale, wygodne dla oparcia sztucera. Mnie ustawił może o pięćdziesiąt metrów dalej. Sam z dwoma jelenimi rogami ukrył się za stuletnim drzewem.

Przed nami rozstaczała się bagienna łąka osłonięta ze wszystkich stron drzewami. Jedyne pośrodku jej widniał olbrzymi głaz i dziesiątki powywracanych pni.

Po chwili mogłem zobaczyć kilka łań, które kręciły się wokół pniaków, gonione przez hłysty. Starsze odpoczywały w cieniu skały. Widać tam było też kilka większych męskich osobników. Odległość była znaczna jednak lekki powiew wilgotnego powietrza przynosił do naszych uszu stale nowe informacje o jelenich godach. Tak, więc mieliśmy pewne szanse na spotkanie kapitalnego byka.

Czarny Kruk był wytrawnym łowcą. On to miejsce wybrał spośród wielu możliwych w tym terenie. Z łąki do moich uszu dochodził coraz większy hałas i odgłosy spalowania drzewa, innym razem pojękiwanie i trzaski wieńców walczących ze sobą byków

Paweł marzył żeby stąd wywieźć jak najpiękniejszy wieńiec, lepszy niż te wcześniejsze, zdobyte w hrabstwie Pary Sout. Spod skórzanej kurtki Indianina widać było rozpiętą koszulę

i połyskujące muskularne ramiona, szeroki tors i szyję potężną jak u niedźwiedzia.

- Byki tu są grube, mocne, jednak nie takie jak bywało dawniej. Pieniądze i kłusownictwo zredukowały sporo kapitałnych sztuk – mówił Czarny Kruk.



Indianin zawabiał głosem tęsknym i długim, zakończonym nutą zniecierpliwienia. Potem znów kilka uderzeń rogami, których dźwięk niósł się po łące i w lesie cedrowym. Był teraz jedynym głosem w uspionej puszczy. Po chwili umilkł i wtopił się w łąkę. Przez chwilę jeszcze łowiłem uchem jego dalekie echo odbite od skał. Potem nastała chwila ciszy i ponowny trzask rogów. Indianin doskonale markował prawdziwą walkę rywali, mocarzy lasów z Nipissing.

Przysłuchiwałem się tym głosom wabiarza i niecierpliwością chciałem wiedzieć czy idzie na to wezwanie byk. Tęskne dźwięki i pobekiwania dochodziły z różnych stron i splatały się z markowanymi głosami Czarnego Kruka.

Przypadkowo odkryłem zupełnie nowe miejsce na ścianie lasu, przy łące skąd dochodził basowy głos starego samca. Byk musiał być niedaleko. Stał w miejscu. Czyżby odkrył podstęp?

Albo te dźwięki wydały mu się głosem mizernego rywala na spotkanie, z którym nie warto się fatygować?

Paweł to jest szczęściarzem! Byk wyraźnie kierował się w jego stronę. Obaj nie znaliśmy tej okolicy. Pomiędzy mrocznymi cedrami wyraźnie było słychać jego pomruki i obcieranie ze złością kory drzewa.

Zamilkło wabienie i nastała grobowa cisza. Byk był ostrożny, wyraźnie nasłuchiwał. Dzieliło nas od niego ze dwieście metrów

Znów zwały się rogi Indianina i cichy trzask rozszedł się wzdłuż lasu. Chyba tym razem nie było błędu, bo byk nagle wyskoczył na łąkę i stanął jak posąg. Podniósł wysoko swój wachlarzowaty ogon i wietrzył. Od naszej skały odległość jednak była zbyt wielka na pewny strzał.

Stał zbyt długo i Paweł nie wytrzymał. Opuścił swoje stanowisko i próbował go podejść

Byk nagle wybiegł na otwartą przestrzeń i nie zatrzymując się wracał do lasu. Teraz naszym wzniesieniem targnął huk Pawła sztucera. Byk pochylił się i jeszcze szybciej wpadł w las.

Chciało mi się krzyczeć ze złości i Indianin nie krył słów oburzenia. Nagle zmienił zdanie.

- Nie będzie ten to będzie inny - powiedział. Przyjedziecie na drugi rok, on będzie bliżej na was czekał, jeżeli go nie sprzątnie jakiś kłusownik.

Paweł zwiesił głowę, potem ją gwałtownie poderwał.

- O książę z indiańskiego lasu! Ty musisz być mój! Przyśięgam to tobie uroczyście, że nie opuszczę cedrowego lasu bez ciebie!

O świcie Indianin wytropił byka, a Paweł dopiął swego i spełnił swe marzenia.

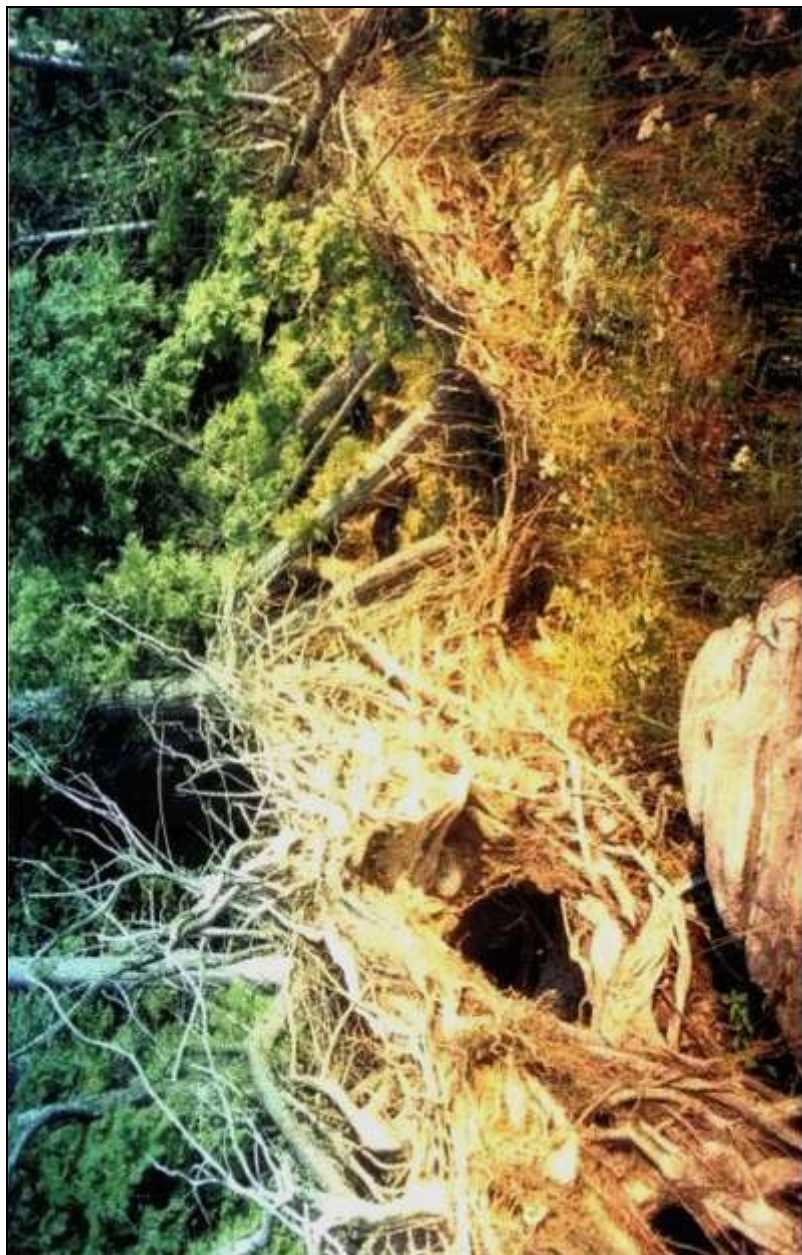
14. Dziki lokator

W przybudówce szałas Czarnego Kruka mieszkał dziki lokator. Myśmy ujrzeli go dopiero drugiego dnia, kiedy wylazł na zewnątrz i położył się u stóp swego opiekuna.

Kocur był olbrzymi, ważył chyba ponad dwadzieścia funtów. Dla mnie był zwierzęciem, którego dotąd nigdy przedtem nie widziałem. Indianin szybko zorientował się, że wziąłem jego pupila za zwykłego olbrzymiego kota i powiedział:

- To nie kot, a ryś. W Kanadzie żyją dwa gatunki tych zwierząt. Jeden to brat rysia europejskiego takiego, który mieszka w waszym kraju - szaropopielaty, cętkowany, z bokobrodami i pędzelkami na uszach. To typowy zwierz północy i głębokich lasów Kanady. Najczęściej jest on zdobyczą moich braci trapezów, którym wpada w pułapki. Rzadko natomiast dosięga go myśliwska strzelba. Drugi, mniejszy od niego, to ten mój, o czerwonej maści. Lubi tereny bagniste i gęsto zarośnięte. Często mieszka w pobliżu osad ludzkich. Zdjąłem go z pułapki nad jeziorem Bass. Był skrajnie wyczerpany. Wykarmiłem od szczeniaka, aż wrócił do zdrowia i wyrósł na wielkiego rysia. Teraz zwie się „Princes”

(Książę). Nazwał go tak mój przyjaciel Maclej owej srogiej zimy, kiedy śnieg zasypał nasze chaty, a pod dachy zaczęła zaglądać bieda. Z domów trudno było wyjść. Wichury i śnieżyce uniemożliwiały sprawdzenie pułapek i zdobycie pożywienia. Wówczas to ku naszemu zaskoczeniu ryś przyciągnął z lasu sporej wielkości cielę jelenie. Odtąd nasz wybawca otrzymał zaszczytne imię „Księcia Lasu”.



Ciemne ściany cedrów tworzyły olbrzymią kotarę, strzegącą tajemnic jej wnętrza. (s. 73)



Tak się zaczęła nasza wyprawa nad jezioro Piaskowe w odległej dzikiej puszczy. (s 26)



Ubiegłej zimy myśliwi nad jeziorem Piaskowym upolowali ze dwadzieścia tych czerwonych rysi, a ile złowili traperzy tego nikt nie sprawdził. Ten niewielki kot umie zagryźć nawet sześciokrotnie większego od siebie jelenia czy łosia. Jednak podstawowym jego pożywieniem jest bielak (zając), który występuje tu powszechnie. Czerwony ryś, dlatego przez wielu farmerów i myśliwych uważany jest często za dużego szkodnika. „Bobcał” w lesie zachowuje się jak wcielony diabeł. Trudno go nawet psom wpędzić na drzewo. Wykorzystuje swój wrodzony spryt. Umie często pieskom dokuczyć i wywieźć je w pole.

Nasz jest super rysiem, prawdziwą ozdobą nędznego indiańskiego szałas, na tym odludziu osobistością numer jeden. Był księciem wszystkich stworzeń w puszczy, gdy powędrował w las i zniknął na chwilę, wszyscy martwili się jakby stracono kogoś bliskiego.

Czarny Kruk opowiadał o nim rozmaite myśliwskie przygody, jak o wybitnym łowcy północy. Był jego przyjacielem.

Bo jakże mogło być inaczej, skoro Princes gardził małymi myszkami, którym nawet pozwalał jeść ze swojego naczynia. Za to na milę od szałas, trudno by było spotkać zająca, a nawet wieiórki, które z wrodzoną drapieżnością prześladował. Był demonem uporu i cierpliwości. Umiał czatować nawet kilka dni przy norze króliczej czy bobrowym żeremiu a uderzenie jego łapy było niezawodne.

Kiedys zasadził się na królika na grubej gałęzi obok nory, wierząc w swą sprawność myśliwską. Jednak musiał zasnąć, gdyż spadł na kamień i mocno się poturbował. Dotąd był dumny ze swej sprawności myśliwskiej, teraz przyszło mu znów prosić o pomoc opiekuna. Pozwolił obolałe miejsca nacierać zielem leśnej babki i nawet chętnie wypijał wodę z rumem dla uśmierzania bólu.

Indianin wówczas rozplątywał się w czułości nad jego losem, szepcząc mu do ucha pochlebne słówka o jego wielkich myśliwskich wyczynach w Kanadyjskiej puszczy. Na te pochwały

ryś mrużył oczy, które przybierały intensywny zielony kolor, przeciągał się mocno na ławie i ukradkiem obserwował swego pana.

Według Czarnego Kruka Princes należał do wyjątkowych rysi. Miał znakomity słuch i bystry wzrok. Był przebiegły i sprytny, polował tylko nocami. Nigdy nie ruszał padłej ofiary, bo umiał upolować zawsze świeżą i żywą zwierzynę. To sprawiało, że nigdy nie spotkali go myśliwi, ani nie dał się chwycić w zastawiane żelaza.

Zbrodniarz, jeżeli jest niepokojony, podobno zawsze ma ulegać nieprzepartej chęci zobaczenia raz jeszcze swej ofiary i tylko tu ginie od czekających na niego łowców. Jednak tej wady nie miał Princes. Chadzał tylko korytem strumienia i w głębokich wąwozach. Często nawet zacierał ślady swej obecności. Za to zaglądał od spodu w pnie drzew za ptasimi gniazdami, bo jaja i pisklęta były jego wielkim przysmakiem. Stale przybierał na wadze i męźniał, stając się postrachem dla wszystkich współmieszkańców lasu.

Patrzył prosto w oczy i jeżeli wyczuł, że nie ma się wobec niego złych zamiarów stawał się przyjacielem na zawsze. Od Macleja kiedyś dostał tęgę łanie za podrapanie jego ramienia. Ryś to zdarzenie zapamiętał aż nadto dobrze, bo kiedy go brałem na kolana szybko chował pazury w puszystą stopę i lizał moją dłoń, chcąc się przypodobać.

Kiedy odpływaliśmy z przystani, siedział długo na pniaku i z niedowierzaniem zaakceptował nasze rozstanie.

15. W kniei Klubu Oriskany

O brzasku dnia lekki wietrzyk popędzał łódkę. Myśliwy chciał się zbliżyć do sznureczka gęsi zalegających na środku jeziora. Zanim jednak pociągnął wiosłem z sąsiednich zarośli padł strzał. Kula świsnęła obok jego ucha, a huk poderwał najbliższe stadko ptaków. Kłusownik zachwiał się i jak martwy padł na dno łódki. Teraz tylko wrogi okrzyk dobiegał do jego uszu. Potem nad nim przeleciał klucz wielkich białych śnieżyc. Zniżył się i wylądował w miejscu skąd go wypłoszono.

Czekał długo, znów nastała cisza. Wyszeptał: - Mógł to zrobić strażnik. Oni teraz z determinacją pilnują swego gęsiego biznesu. Gdyby chciał mógł mnie przecież zabić. J tak bym podzielił los Cartera, którego kilka lat temu jesienią znaleziono martwego w łodzi w czasie polowania.

Łódka powoli zmierzała do przeciwległego brzegu jeziora. Gęganie ptaków wydawało się teraz tak bliskie i tak kuszące dla użycia strzelby, ale on, przebiegły kojot, nie śmiał nawet wychylić głowy za burty udając martwego.

Poprzedniego dnia przecież przywiózł sześć wielkich śnieżyc. Huku narobił, co nie miara. Tym musiał zwrócić na siebie uwagę. Nigdy jednak nie spodziewał się zasadzki na niego. Był przekonany, że sprawa szybko się rozmyje i przycichnie.

Od niepamiętnych czasów śnieżyce obrały sobie ten odcinek jeziora na miejsce odpoczynku w drodze z dalekiej Arktyki, gdzie się lęgły, na południe USA i Kanady, gdzie spędzają zimę. Stare ptaki były rzeczywiście śnieżnobiałe, poza czarnymi końcami skrzydeł, młode jednak szare z brązowymi brzuchami.

Kłusownik wiedział od dawna, że polowanie z łodzi jest zabronione, ale każdej jesieni robił niezły interes sprzedając wielkie gąsiory turystom i myśliwym. Czyżby teraz te jego wyprawy po gęsi nagle miały się zakończyć?

W takiej niewygodnej pozycji Tom Sisley spędził prawie godzinę, leżąc na podłodze łodzi i zastanawiał się jak obejść tę przeszkodę i przywieźć do chaty, choć parę tych wielkich ptaków, na które miał zbyt.

Rozumował prawidłowo, że jeżeli się nie pokaże, strażnik uzna, że go trafił i nie będzie chciał mieć kłopotów. Gorzej jednak jakby to był patrol Królewskiej Konnej (policja kanadyjska)!

Wschodnie obrzeże jeziora, wraz z puszczą, było dzierżawione przez tzw. out fittera, który obsługiwał płatnych gości z wielkomiejskich ośrodków Kanady i USA. Z braku jakichkolwiek dróg można tutaj było się dostać tylko awionetką, a taka wyprawa kosztowała setki dolarów.

Bez utraty honoru nikt nie chciał stąd wracać nie mając fotografii z błękitną śnieżycą, wielkim białym ptakiem – znaczącym trofeum w życiu myśliwego, którego znajomi zazdrościli.

Out fitter miał tu swoją gospodę, gdzie lokował gości, karmił i urządzał imprezy godne włóczęgów północy, często zaprawiane najprzedniejszymi trunkami.

Głównym jednak celem wypraw bogatych mieszczuchów były przeloty gęsi, sprawiające niezatarte wrażenie. Klucze i sznury wielkich śnieżnobiałych ptaków każdej jesieni przyciągały dziesiątki miłośników przyrody i myśliwych.

Kiedy po nocnym niebie płynęły niby wielkie żaglowce, a ich klakson słychać było spod gwiazd, a potem nagle spadały z nieba, to w takiej chwili coś zatykało gardło i wstrzymywało w piersiach oddech. Gęsi lądowały na ławicach błota i kępach, ich stada połyskiwały bielą na obrzeżach wody i tle tęczyowych o tej porze lasów.

W jednej takiej leśnej gospodzie, zdawałoby się na końcu puszczy, out fitterem był Polak z Quebecu. Należał do prywatne-

go klubu wielkiej firmy papierniczej prowadzonej od lat pięćdziesiątych przez leśnika Antoniego Paluszyńskiego, wielkiego znawcę kanadyjskiej przyrody, z zamiłowania fotografa i myśliwego. Jego klub przyjął indiańską nazwę „Oriskany” i znajduje się w samym sercu dzikiej puszczy. Dzierżawi około pięćdziesiąt tysięcy hektarów kniei i przeszło setkę jezior.

Paluszyński i jego out fitterzy słyną z determinacji godnej naśladowania, walki z kłusownictwem i ograniczania liczby drapieżników, a więc wilków, lisów, rysiów i starych niedźwiedzi. Stali się autorytetami w ochronie zwierzyny na pograniczu Quebecu i Ontario.

Tak dobre wyniki uzyskiwali korzystając z pomocy trapezów i Indian, ale zimową porą i sam leśnik również lubił polować na wilki i niedźwiedzie. W swoim łowisku miał znakomity zwierzostan łośi, niedźwiedzi i bobrów, jak również drobnej zwierzyny. Zasiedlał lasy cietrzewiami, sprowadzanymi ze Skandynawii, które, jego zdaniem, rokowały zaaklimatyzowanie się na nowym kontynencie.

Jeziora były pełne ryb. Łowiono tu północne, wielkie szczupaki i dorodne tęczowe pstrągi.

Tom Sisley nie dobił jednak łódką do brzegu, a wylądował na rozległej piaskowej łasze. Ukrył się wśród krzaków i długo obserwował plażę. Odkrył najgorsze, co mogło go spotkać - policje w towarzystwie strażnika i out fittera.

Strzelbę skrupulatnie owinął w skórę jelenia i ukrył w krzaku. Dopiero o północy dobił do brzegu i wrócił do chaty. Pozostały w niej jeszcze dwie nie sprzedane gęsi, zamówione przez niedzielnych myśliwych.

Gęsi przez kilka tygodni pozostają na wodzie i są pożądaniem myśliwych. Roi się tu, zwłaszcza w końcu tygodnia, od strzelców różnego autoramentu, których optymizm graniczy z naiwnością.

Gdy natłok myśliwych robi się za duży, śnieżyce gromadzą się w stada i bytują za dnia na środku wody. Wyglądają z da-

leka jak białe paciorki na sznureczku rozłożone na środku jeziora. Ilość ich jest ogromna. Niektórzy oceniają na przelotach ponad sto tysięcy wędrujących ptaków.

Jednak zdobycie tych gęsi przez myśliwych graniczy z cudem, gdyż mają one bystry wzrok i wcześniej odkrywają stanowiska myśliwych.

Wracać stąd bez gęsi to wstyd i uszczerbek na ambicji i honorze nemroda, stąd Tom Sisley był dla nich jakimś wybawieniem.

Teraz, kiedy o tych wydarzeniach mi opowiadał, minęło już wiele lat i przyszło mu mieszkać kilkaset kilometrów od gęsiich szlaków prowadzących znad Zatoki Hudsona do południowego Ontario.

16. Mówili językiem dzikich gęsi

Out fitterem na zachodnim brzegu jeziora Bassów (nazwa pochodzi od ryby żyjącej w jeziorze, podobnej do okonia) był Polak Arthur Siedlecki. Przyjechał tu z Sudetów, gdzie przed stanem wojennym pracował jako kierowca ciężarówki, a po odebraniu mu tego prawa za działalność niezgodną z prawem PRL, został ulicznym sprzedawcą prażonej kukurydzy w jednym z miasteczek dolnośląskich.

Tak jak wielu Polaków w roku 1980 trafił do przejściowego obozu w Austrii, stąd wyjechał do RFN, a potem do Kanady.

Pierwsze pieniądze od władz prowincji Ontario na zagospodarowanie się i poszukanie pracy zainwestował w swój biznes wędkarsko – myśliwski. Wyremontował starą chatę nad jeziorem i zamienił w dobrze prosperującą gospodę. Jednak najczęściej sławy i pieniędzy przynosiły mu polowania na ptactwo wodne i połowy ryb. Każdej jesieni jego domek pękał w szwach od weekendowych gości z wędką i strzelbami.

Wędkarskie łodzie wypływały z rana na bogate łowiska, przywoziły okazałe muskellungi, bassy i walleye (okonie bielmore). Myśliwi polowali na gęsi bernikle kanadyjskie i mniejsze od błękitnych śnieżyc gęsi Rossa oraz dzikie kaczki, których stada często zakrywały nad jeziorem niebo.

Obfitość ptactwa była duża. Udane polowania sprawiły, że Arthur szybko się dorobił znacznej fortuny. Z czasem już mógł wybierać w zamówieniach na noclegi, polowania i pobyt w jego ośrodku. Oferował stale nowe możliwości wypoczynku, smacznego posiłku z łosi, niedźwiedzi i ryb, spędzania czasu przy ogni-

sku indiańskie tańce i folklor w wykonaniu przebierańców upodobiających się do mieszkańców puszczy.

Trawiaсте brzegi jeziora każdej jesieni zalegały setki małych, bystrych gęsi trudnych do upolowania. Arthur jednak w myśl hasła na jego reklamówce: „żaden myśliwy nie wraca stąd bez dzikiej gęsi”, robił wszystko, aby to zadanie spełnić. Wykopano w ziemi wiele schronów, przed którymi umieszczono sztuczne gęsi z plastiku, zupełnie podobne do prawdziwych. W ten sposób zachęcano nadlatujące stada do lądowania.



Przyciągały one szczególnie ptaki odłączone od kluczy. Dla lepszych efektów polowania gospodarz z reguły wydawał wzmocnione prochem naboje śrutowe i maskującą odzież. Walczono też bezwzględnie z kłusownictwem, a myśliwi byli zobowiązani polować etycznie. Jednak pomimo tych zabiegów tylko na początku sezonu goście mieli dobre wyniki. Gęsi szybko odkrywały zastawione na nie pułapki i omijały czatownie, lekceważąc sobie zapaleńców.

W tej sytuacji byłoby trudno mówić o atrakcyjnym łowiisku Siedleckiego, wówczas gospodarz wpadł na pomysł ściągnięcia z odległego rezerwatu Moosonee, indiańskich wabiarzy.

W tej części Kanady nad Zatoką Hudsona mieszka od niepamiętnych czasów plemię Indian Cree, uwielbiające smaczne mięso dzikich gęsi. Przed nimi nie było żadnych tajemnic tych ptaków. Umieli naśladować głosy gęsi tak znakomicie, że wprost „mówili ich językiem”. Mogli zawrócić w locie stado, przywołać do siebie i poprowadzić pod strzelby myśliwych.

Mistrzostwo Indian było tak wielkie, że ptaki krążyły nad nimi, wyciągały szyje, gęgały i szukały tych gęsi, które je wzywały, a których nie umiały dostrzec.

Podczas polowań nie można było przekroczyć limitu pięciu sztuk ptaków dziennie, a piętnastu gęsi ogółem za cały pobyt w ośrodku. Również przestrzegano, aby nikt nie polował w nocy i przy pomocy łodzi oraz reflektorów.

Pierwszy raz z tą metodą polowania na dzikie gęsi spotkałem się jeszcze nad Zalewem Mietkowskim na Dolnym Śląsku. Myśliwi dewizowi z Włoch przywieźli tu nagrania magnetofonowe gęziej mowy. Ukryci na wodzie w pontonach strzelali do naszej gęsi gęgawy. Po takim polowaniu na wodzie, czarno było od tych ptaków.

Nasi myśliwi zaprotestowali przeciw tej metodzie. Ze świetnej dewizowej oferty więcej nie skorzystali. Protestowali też mieszkańcy nadbrzeżnych wiosek - Dzikowa. Domanic i Maniowa, uznając tę metodę za barbarzyńską. Pisano o tym w prasie oraz mówiono w radiu i telewizji.

Tu jednak, w północnej prowincji Ontario, pozyskiwanie przez jednego myśliwego piętnastu gęsi w sezonie porównywalne było do wyjęcia z tysięcznych stad jakby małej szpilki ze stogu siana.

Czasami przybywały tu też bernikle kanadyjskie z białymi plamami na policzkach. Były łatwo rozpoznawalne również przez czarną głowę i szyję. Niektóre ptaki czasem zaskakiwały myśliwych. Szybowały wprost na nich i lądowały, obok, czym wywoływały szok i konsternację wśród myśliwych, bo któżby się od-

ważył strzelać z paru metrów do tak wielkiego ptaka, a zdarzało się to dość często.

Można było sądzić, że gęsi te miały wcześniej kontakt z ludźmi, którzy je dokarmiali, jednak schwytać się nie pozwalały.

W niektórych rejonach Północnej Ameryki bernikle wyrządzają wielkie szkody farmerom zjadając kukurydzę i pszenicę w ogromnych ilościach.

Głos mają potężny, nazywany klaksonem i słysząc go wcześniej nim ptaki się ukaza.

Polowanie na nie w tutejszym dzikim krajobrazie jest niezatartym wrażeniem dla miłośników przyrody i myśliwych.



17•Muskellungi z Kryjówki

Chyba każdy wędkarz przebywający w Kanadzie marzy o schwytaniu wielkiego muske, największej drapieżnej, słodkowodnej ryby żyjącej w tutejszych wodach, często w prowincji Ontario mylnie zwanej „rekinem północnych jezior”.

Zanim jednak zdecydowałem się wybrać na dotąd nieznanego mi drapieżnika, najpierw nasłuchiwałem się o nim niesamowitych historii, często graniczących przy jego schwytaniu, z bohaterskimi wyczynami dawnych wielorybników. Już wcześniej od wędkarzy łowiących ryby w prowincji Muskoka dowiedziałem się o tajemniczym szczupaku, który ze względu na swoje rozmiary i agresywność budził u nich podziw i zarazem strach.

Prasa wędkarska często donosiła o wypadkach na wodzie, jakie towarzyszyły szczęściarzom, którzy w swoich wyprawach spotkali tę niezwykłą rybę, o tajemniczych utonięciach zaplątanych w żyłkę wędkarzy, o wywróconych i uprowadzonych na głębiny łodziach, wreszcie wędkarzach wciągniętych pod wodę. Czy takie potwory kryją jeszcze te wody i czy jest szansa na spotkanie z nimi? Myśli takie stale mnie nachodziły, kiedy tylko byłem nad wodą.

W „krajnie wielkich jezior” (Ontario oznacza w języku Indian, piękną wodę) żyją dwa rodzaje muskellungów. Głębiny, jest trochę mniejszy od swego wielkiego pobratymca. Zaś ten olbrzym, bezwzględny drapieżnik, swą wielkością dorównuje człowiekowi, jednak jest go o wiele mniej w tutejszych wodach. Należy też do ryb bardzo tajemniczych i ostrożnych, posługujących się węchem. Stąd przechytrzenie tej ryby jest znacznie utrudnione, a często wręcz nawet nie możliwe.

Jednak dla wielu wytrwałych łowców muske wcale nie jest wędkarskim mitem. Stąd też dla ułatwienia jego schwytania na łodziach rybackich, motorówkach i żaglówkach, z których na nie się poluje, montowane są echosondy ułatwiające wykrycie ryby.

Nie szczędzi się pieniędzy na drogi, wytrzymały sprzęt wędkarski. Zamiast żyłki zakłada się na stałe szpulę kołowrotka o wiele wytrzymalszą i dłuższą plecionkę. Oferuje się wędkarzom ponad dwudziestocentymetrowe barwne wobler, najeżone kotwicami i zaopatrzone w odpowiedni system głębinowego pływania oraz udawania dźwięków żywej ryby, poza tym różnego rodzaju żabki, pijawki, sztuczne wątroby, itp.

Atmosferę w połowie tych ryb podgrzewają sklepy wędkarskie, prezentując zdjęcia ze złowionymi muskellungami, a nawet spreparowane wielkie okazy drapieżnej ryby.

Trudności w połowach ryby sprawia również to, że występuje ona na odległych, północnych łowiskach, często powyżej jeziora Wielkiego (Superioru).

Nipissing znajduje się dopiero na dziewiątym miejscu pod względem zasobności w ryby żarłoczne. Poza nim są wprawdzie bliżej łowiska na jeziorach Georgian Bay, Muskoka i Simcoa, ale już dziś mocno przetrzebione.

Cache Bay – Kryjówka, to nazwa miasteczka i zatoki na jeziorze Nipissing, obok szybkiej trasy Canadian Pacific Railway, prowadzącej od Thonder Bay aż do Montrealu.

Kryjówka ta rzeczywiście do niedawna znajdowała się poza cywilizacją. Jedyne Indianie z niewielkiego rezerwatu gospodarowali na obrzeżach zatoki jeziora. Sama nazwa Kryjówka świadczyła o tym, że diabeł dawno powiedział tu dobranoc. Od dawien dawna też nikt tu nie zaglądał. Jezioro jest najeżone dziesiątkami podwodnych skał i kamiennych wysp otoczonych zieliskiem, odstrasającym od pływania. Wprawdzie z brzegów robi wrażenie olbrzymiego, barwnego ogrodu, ze względu na rosnące tu różowe nenufary, pod nimi jednak są zdradziecko ukryte, kra-

wędzie ostrych skał, które mogą przeciąć nawet blaszane poszycie łodzi.

Do Cache Bay pojechałem z Joe, emigrantem z Polski, który wyspecjalizował się w połowach drapieżnych ryb. Nad jeziorem Nipissing miał swego przyjaciela, również jak on zapalonego wędkarza Johna Bila, właściciela kilku domków kempingowych.

Gospodarz twierdził, że odkrył te wody, zainwestował w bazę noclegową dla wędkarzy i myśliwych. Rozreklamował szeroko to jezioro tym, że gwarantował przeżycia podobne do znanych z powieści „Robinsona Crusoe”, a to się współczesnym ludziom spodobało.

Ma do dyspozycji łodzie, canoe, oferuje wody pełne ryb, dzikiego ptactwa i czyste powietrze. Jego zdaniem gościom zapewnia przebywanie z dala od chaotycznej cywilizacji.

Na te hasła Johna dało się skusić wiele Kanadyjczyków i obywateli z pobliskich Stanów USA. Stąd jak grzyby po deszczu nad Zatoką Kryjówka wyrosło wiele domków na palach i przylepionych do skał hangarów na łodzie. Stworzono pełen komfort dla uprawiania wędkarstwa i turystyki.

W ciągu ostatnich trzech nocy przeżyliśmy wiele, poznaliśmy otaczające wody Gęsiej Wyspy i Mewiej Skały. Złowiliśmy niezliczone ilości szczupaków - większych i mniejszych, które powróciły z powrotem do wody. Muske jednak dalej tylko istniał na ekranie sondy i w naszych marzeniach. Nawet już wątpiłem w sens naszego wysiłku i jakiegokolwiek szanse na schwytania tej ryby, tym bardziej, że wiatr przygnał szare chmury znad Zatoki Hudsona i zapowiadało się na kilkudniową ulewę. Nastawały dni - przewrotne, raz mżawka i deszcz, to znów podmuchy ciepłego powietrza znad Zatoki Meksykańskiej.

Przy Gęsiej Wyspie odkryliśmy tajemnicze podwodne głębiny. Nad wodą robiło się szaro i ciemno. Jeszcze tylko łuna na północnym horyzoncie nieba falowała i świeciła wąską wstążeczką, niczym polarna zorza.

W tym czasie na naszym monitorze radaru pojawiły się dwa wielkie cienie, nieruchome kłody. Joe określił ich głębokość na sześć metrów. Stały nieruchomo tak długo, że nawet zwątpiliśmy w ich autentyczność. Nie chcąc płoszyć pozostałych ryb, które dość często przepływały nad nimi, powoli Joe opuścił na dno wcześniej złowionego pstrąga. Rybę tę Joe pociął nożem w rękawicach, aby nie wprowadzać obcego zapachu.

Minęło znów sporo czasu, gdy dotąd spokojną toń jeziora zakłócił deszcz wyskakujących z wody rybek. Przed nami olbrzymi wir przecinała płetwa grzbietowa wielkiej ryby. Drobnica srebrzyła się w światłach latarki jak błyszcząca garść monet rzuconych na wodę.

Serca zabiły nam mocniej. Potwór na nasze światło nie reagował, kręcił się wokół łodzi, robił jakieś dziwne młynce i wyrzucał nad powierzchnię coraz to więcej małych rybek

Kiedy oprzytomniałem z wrażenia, byłem szczęśliwy z tego spotkania z największym żarłokiem – „królem kanadyjskich jezior”.

Branie przynęty było powolne, ale zdecydowane. Ryba przygięła szczytówkę wędki do samej wody i zacięła się sama, potem próbowała wciągnąć wędkę do wody. Dobrze, że plecionka nie była zahaczona o szpulę, bo naraz usłyszeliśmy brzęk hamulczyka i świst wysnuwającej się żyłki. Nasz teleskop pojękiwał i giął się jak pałak, mocno szarpany przez rybę. O żyłkę byliśmy spokojni, miała 0,8 mm grubości i gwarantowała wytrzymałość ponad trzydziestu kilogramów, ale czy to miało wystarczyć? Na razie trzeba było zapobiec ucieczce ryby pomiędzy kłody leżące na dnie. Po ciemku palcem kontrolowałem ilość wysnutej ze szpuli żyłki, bo gdyby ryba ją opróżniła, by przepadła na zawsze. Zwiększyłem opór wysnuwanej linki wiedząc, że będziemy mieli szansę na szybsze zmęczenie ryby, w innym przypadku pójdzie gdzie chce, opróżni szpulę i w końcu zerwie żyłkę.

Joe był wcześniej świadkiem takiej przygody na Georgian Bay, kiedy trzydziestokilogramowy muske wysnuł wędkarzowi

całą żyłkę i w końcu wyrwał spinning. Jedynie pozostała mu w rękach korbka.

Twierdził, że technika łowienia tej ryby różni się zasadniczo od połowów szczupaka, bassy czy karpia. Muske niczym tych ryb nie przypomina i nie trzeba zmuszać go do tego, aby nałykał się powietrza, bo od tego wstępuje w niego szalona energia i niebywały, opętany złością wigor walki.

Wreszcie ryba przystanęła, nawet pozwoliła na skręcenie sporej ilości żyłki. Joe szybko chwycił podbierak i wystawił poza burtę. Teraz stało się coś najgorszego. Ryba gwałtownie dała nura pod naszą łódź i zaczęła walczyć o swe życie. Rozhuśtała ją do niebezpiecznych przechyłów tak, że wyleciały z niej oba wiosła. Jedno z nich wplątało się w linkę i ciągnięte przez rybę hamowało jej ucieczkę.

Naraz opór ustał. Najpierw wypłynęło na powierzchnię nasze wiosło, a potem ukazał się na wodzie biały brzuch ryby. Muske swą wielkością dorównywała jemu. Odwrócona grzbietem w dół płynęła spokojnie do łodzi wraz ze skręcaną na kołowrotku żyłką.

Podbierak był już w wodzie. Nakrył jej wielki łeb, a to już dla muske było za wiele, nagle jak szalona wyrwała siatkę i chlapiąc ogonem o wodę popłynęła na samo dno.

Joe szybko podniósł ciężarek. Odczepił łódź od dna i teraz byliśmy zdani na hol wielkiej ryby. Ciągnęła nas jeszcze przez parę minut i znów wypłynęła na powierzchnię. Dopłynęliśmy do niej. Pozwoliła się spokojnie chwycić za oskrzela. Siatka przepadła na zawsze, a wyciągnięcie z wody ponad półtorametrowej długości ryby graniczyło z cudem.

Joe wyjął z pasa szczypce i zupełnie świadomie uwolnił rybę z kotwicy. Leżała przed nami jeszcze przez pewien czas na wodzie jak nieżywa, nim zaczęła powoli tonąć, aż znikła w głębi oświetlana naszymi latarkami.

Byłem zupełnie mokry, nie wiem czy oblany wodą przez rybę, czy też od własnego potu i trudno było mi stać. Kręciło mi się w głowie od przeżytych emocji.

Obaj usiedliśmy na ławeczkach łodzi. Odszukaliśmy wiosło i oszołomieni tym spotkaniem z muske wróciliśmy do bazy nad Zatoką Cache Bay, mając nadzieję na ponowne spotkanie z wielkim muskellungiem?



18. Firmowy przysmak

Szymon Bartel kiedy w Montrealu wyszedł ze statku na ląd, marzył jedynie o dobrej kolacji w spokojnej restauracji, bez zgiełku i hałasu, jakiego doświadczył w czasie długiej, morskiej podróży. Nie chciał, ani nie umiał myśleć, co będzie robił, gdzie będzie spał, nie szukał też przyjaciół ani znajomości. Kiedy przed miesiącem opuszczał Londyn był pełen nadziei i wiary w to, że mu się uda, jak wielu ludziom, którzy trafili na ziemię amerykańską. Była to połowa dziewiętnastego wieku i ogromny pęd osadników na nową ziemię, która kusila swym bogactwem i wielką przygodą.

W porcie czekali na przyjezdnych pośrednicy z ofertami pracy w tworzących się kopalniach złota, niklu, celulozowniach. Było zajęcie w ogrodnictwie, na roli, a nawet pojawiały się propozycje małżeńskie i prowadzenia wspólnych interesów.

On jednak żadnej z tych ofert nie przyjął. Sam chciał zdecydować o swoim losie i teraz tylko dobrze zjeść i odpocząć.

Kelner widząc poprawnie ubranego, młodego Europejczyka zaoferował specjalność zakładu, którym była „dzika kaczka”.

Danie było przepyszne. Soczysta kruchość mięsa ze swą delikatnością i aromatem wprowadziła go w osłupienie. Kelner zapytany o rodzaj ptaka, którego restauracja serwowała jako danie firmowe, odrzekł, że podaje się go na wszystkich przyjęciach hotelowych jako wielki przysmak, a to jest „głowieńka wielkodzioba”. Już sama nazwa pobudza wyobraźnię i doznania żarliwego smakosza.

Szymon był spostrzegawczym obserwatorem i umiał szybko wyciągać wnioski ze wszystkich zdarzeń. Długo płynąc

rzeką św. Wawrzyńca miał sposobność zaobserwować olbrzymie tabuny kaczek, które siadały w dołach i na poboczach rzeki. Ich stada zalegały odległe zatoki i rozlewiska a czasem nawet przelatywały obok statku. Od razu wyczuł, że na tej kaczce da się nieźle zarobić. Przecież przywoził doświadczenie ze „starego świata”, wykorzysta tutejsze zwyczaje, możliwości polowania przez cały rok i to, że liczba odstrzelonej dzikiej zwierzyny nie była ograniczana.

Szybko nabył nową strzelbę, zatrudnił się na stanowisku out fittera i stał się handlowym strzelcem dzikich kaczek.

Popyt na ptaki ciągle rósł. Z czasem nabył prawdziwą rusznicę, o wyjątkowych rozmiarach (zwaną powszechnie „punt guns” – od słowa wiosło). Podobnie jak armata była osadzona na dziobie łódki podczas polowań w polowaniach na dzikie kaczki. Unoszące się nad powierzchnią wody stada kaczek od tej haniebnej broni padały dziesiątkami, a drugie tyle odlatywało poranionych.

Nie przeszkadzało to jednak handlarzom w robieniu na tym procederze niezłych pieniędzy. Wówczas prowadziło to do jeśli nie do zupełnego wyniszczenia, to przynajmniej przetrzebienia znacznej ilości ptactwa i dzikiej zwierzyny w całej Północnej Ameryce.

Władze pod naporem opinii publicznej zaczęły się zastanawiać nad ukróceniem tych nieludzkich praktyk wobec rodzimej fauny.

Na szczęście wówczas znalazł się człowiek, który przypłynął z Anglii i przyczynił się do zmiany tych niegodnych myśliwego praktyk. Był to Frank Forester (angielski arystokrata przybywający w USA w latach 1831 - 1858 - prawdziwe jego nazwisko brzmiało Henry William Herbert). Spopularyzował zasady polowania, które nazwał „honorowym kodeksem myśliwego”. Herbert stał się wzorem dla młodych Amerykanów i Kanaadyjczyków.

W kodeksie tym zawarto prawa mówiące, że tylko jeden sposób zdobywania dzikiej zwierzyny i ptactwa jest godny gentlemana i określono zasady fair play. Jeżeli zwierzynie nie da się realnej szansy ucieczki, myślistwo nie będzie prowadzone uczciwie, a nawet stanie się niemoralne.

Na odzew Herberta zaprzestano nieograniczonej rzezi, dzikich ptaków i leśnej zwierzyny. Odstrzały przydzielano ludziom posiadającym uprawnienia do polowania etycznego, zgodnego z Herbertowskim kodeksem. Dotyczył on wszelkiej zwierzyny łownej na terenach całej Północnej Ameryki.

*

Dziś polowania na kaczki rozpoczyna się tu w połowie września i przez prawie miesiąc strzela wyłącznie gatunki lęgowe. Poluje się ze skrzyń, takich jak dawniej używano, zwanych trumnami ze skrzydłami, lub z budek nakrytych splecionymi gałęziami ukrywającymi myśliwych.

Przewodnik obok skrzyni i z dala od trzcin i innych przeszkód umieszcza dziesiątki bałwanków połączonych pod wodą długą linką, toteż strącone kaczki nigdy nie znikają z oczu, a poluje się bez psa.

Kiedy na wschodnim niebie zapalały się pierwsze zorze odległe kwakanie dochodziło do mego schronu, a kaczki nadlatywały z nieokreślonego kierunku, chcąc dołączyć do naszych bałwanków. Wówczas miałem strzelbę w pogotowiu, mimo to zaskakiwały mnie lotem niskim, ślizgowym, tuż nad powierzchnią lustra wody. To były najczęściej przyczyny mych pudeł.

Józek Bartel mówił, że jego ojciec, kiedy to było dozwolone każdego dnia strzelał na sprzedaż od osiemdziesięciu do stu kaczek. Dzisiaj mieszka wraz z rodziną nad jeziorem i żyje z rybołówstwa. W sezonie tylko pełni funkcje out fittera i wynajmuje się jako przewodnik na polowania. Z pogardą odnosi się do kłu-

sownictwa, strzelania do kaczek siedzących na wodzie wśród bałwanków.

Udany strzał do pędzącej jak rakietka kaczki czy dublet wprowadza starego Bartela w podniecenie i niezmierną radość.

Polując z nim miałem prawo do jego limitu, tak więc mogłem strzelić dwanaście kaczek. Po zrzuceniu kilku sztuk i kiedy wiatr je zaczął znosić, Józek przy płynął łodzią pod moje ukrycie i pozbiarał ptaki.

Były to jednak zwykle nasze krzyżówki, może tylko o intensywniejszych barwach upierzenia, oraz kilka matowobrunatnych z białym podbiciem skrzydeł i fioletowym lusterkiem. Na kaczki nurkujące, te przylatujące znad Zatoki Hudsona, i na firmowe danie z „głowienki wielkodziobej” przyszło mi jeszcze poczekać do października.

19. Arktyczne ogorzałki

Kiedy słońce wstało i rozgrzało mnie po nocnym przy-
mrozk, wpełchnąłem się głębiej w skrzynię i bardziej
otuliłem kocem. Mgła znad wody powoli ustępowała,
odslaniając odległy, rdzawy leśny horyzont. Lufy ukochanej dwu-
nastki ledwo wystawały znad drewnianej burty mej wodnej cza-
towni. Dopiero teraz z przykrością odkryłem jak ją bardzo zanie-
dbywałem. We wschodzącym słońcu czerwieniała od rdzy jak ta
odległa puszcza. To była moja ewidentna wina i niedopatrzenie.

Nie zaniedbywałem jednak obserwacji nieba, bo w poło-
wie października z północy nadlatywały niezliczone stada grążyc,
kaczek nurkujących. Żywiły się one wodną roślinnością zanurza-
jąc na samo dno jeziora, często na parometrową głębokość. Więk-
szość z nich to były niebieskodziobe, arktyczne gatunki podgorzał-
łek z pastelowo-niebieskimi dziobami. Były już zimowo upierzo-
ne, z wyraźną linią odcinającą czarną pierś od białego brzucha

Zjawiały się tak nagle i leciały niespodziewanie szybko,
że nie wystarczało pięć długości wyprzedzenia kaczki, aby je
strącić. Sposób polowania na nie był zupełnie inny i wcześniej mi
nie znany, niepodobny do tych, które wcześniej wykonywałem
w kraju. Wymagał zbiorowego przygotowania i podpatrzonych
praktyk w polowaniu na kaczki, od dawna powszechnie stosowa-
nych przez Indian.

Północne grążyce pomimo, że ludzi nie widywały, siadały
w wielkich stadach na środku wody i tworzyły tzw. tratwy. My-
śliwi naśladując je zakładali również podobne do nich „sztuczne
stada”, używając do tego celu dziesiątek gumowych i plastiko-
wych bałwanków, podobnych do kaczek. Rozmieszczali je na
wodzie w formie klinów i trójkątów położonych blisko siebie.

Na zakotwiczonej ze sto metrów od brzegu mojej skrzyni i na jej bocznych podestach wypoczywały kaczce bałwanki. Wyglądało to dość śmiesznie, ale było kompletnym zaskoczeniem dla nadlatujących ptaków. Całość dawała złudzenie wypoczywającego stada, zgodnie z obyczajami głowienek. Dla lepszego maskowania burty mojej skrzyni były obłożone dodatkowo siatką z wplecionymi gałązkami cedru.



Początek dnia zapowiadał się słoneczny, co nie wróżyło dobrze polowaniu, bo wówczas kaczki bywały leniwe i niechętnie żerowały. Jednak po bezchmurnym poranku napłynęły siwe chmury i zrobiło się dość wietrznie. Kaczki stały się bardziej ruchliwe. Przylatywały małymi grupkami, najpierw po dwie, później cztery, dziesięć, aby w końcu cały kaczki tabun wylądował na wodzie. Wszystkie jednak znalazły się poza zasięgiem mej strzelby. Powoli się zbliżały i siadały pomiędzy bałwankami, bo nie potrafiły odróżnić prawdziwego stada od sztucznych atrap. Niektóre nawet były tak bardzo zadowolone, że przestały się poruszać, inne jednak startowały i przelatywały nade mną od jednego



Teraz zwie się „Prince” — Księżę. (s. 77)



Kiedy dopływali do brzegu klatka na rufie canoe była obciążona rybami. (s. 56)



Miał też rzadką cechę, a której nie miały inne wilki. (s. 124)

do drugiego stadka i te najczęściej trafiały pod moje lufy. W ciągu tego ranka udało mi się strącić kilka z nich i parę głowienek wielkodziobych. Potem przyszło mi jeszcze parokrotnie polować ze skrzyni, ale już nigdy nie wsiadłem do niej sam, bo w dwójkę czas szybciej uciekał i wspólnie było łatwiej upilnować nadlatujące ptaki.

Out fitter przysłał łódkę i trapera Dilme, by mnie zabrał i pozbierał z wody strącone ptaki. Krótki dzień się kończył, toteż szybko znaleźliśmy się na brzegu. Powiesiłem ogorzałki na belkach leśnej chaty, kazałem stanąć przy nich traperowi i zrobiłem zdjęcie. Potem z out fitterem usiadłem na pniach, wyciągnąłem z kulera cztery butelki mocnego piwa „moosehead” z Nowego Brunswicku, ze złotym łosiem, którego skrzynkę kupiłem wcześniej w Burk,s falls i przy nich dość długo rozmawialiśmy.

Stary traper rozpałił kawałki żywicy, nałożył na nie brzozone polana i szybko buchnęło w nas ciepłem. Sobie znanym sposobem obrał ptaki. Szło to mu dość szybko, bo ściągał z nich skórę razem z piórami. Na pewno kaczki straciły na wyglądzie i na smaku, ale w ten sposób pozbyły się dziesiątków nie wyrośniętych piórek trudnych do usunięcia, jak również drobnego puchu, którym były obrosnięte. Chronił je przed arktycznym zimą, a krążąc w powietrzu czepiał się wszystkiego.

Do środka ptaków napchał farszu z owoców dzikiej róży i ziół, tuszki naszpikował słoniną. Teraz wyglądały jak kolczaste łupiny od kasztanów zwisające nad ogniem. Wziął dwie butelki z kulera, jedną zaniósł kobiecie, która spod chaty przyglądała się nam uważnie.

Dilme był starym człowiekiem. Miał zupełnie siwą brodę. W ciepłych barwach ogniska wyglądał dziarsko i prezentował się jako leśny chłop z krzepą. Za to, jak mówił, jego baba była niską i grubą nieśmiałą Indianką. Towarzyszyła mu od lat, bo miała dobre serce. Żyli tu biednie, choć im nic nie brakowało. On dbał

o chatę i wyżywienie, garbował skóry, łapał ryby, ona szyła koszule z jeleniej skórki, które sprzedawali turystom i wędkarzom.

Traper z dużą zręcznością i doświadczeniem smażył na rożnie kaczki, ściekającym tłuszczem stale polewał tuszki. Wnet też się zarumieniły od ognia, a zapach pieczystego rozchodził się wokół.

Nie byłem głodny, bo wcześniej zjadłem sporo sucharów popijając je piwem, ale ten zapach pobudzał łaknienie. Doszło ono chyba do zenitu, kiedy z out fitterem otrzymaliśmy swoje porcje pożeraliśmy je łapczywie. Była to dziczyzna w pierwszej klasie smaku, kruchości mięsa, delikatności i aromatu. Rzeczywiście, była czymś wyjątkowym, nie porównywalnym z innymi ptakami.

Po te kaczki warto tu było przyjechać, co też praktykowało wielu myśliwych, a jeżeli jeszcze można było zjeść północnego szczupaka, to miłe zaskoczenie kulinarne było tu całkowite. Stąd chata Dilmów była pełna gości każdej jesieni, tych przylatujących awionetkami lądującymi na wodzie i tych przypływających na canoe.

20. W pościgu za szopem

W ostatnich latach w prowincji Ontario stały się popularne polowania na szopy pracze. Dotychczas były one domeną Indian i traperów z powodu cennego futra tego zwierza. Dziś to sport dla bardzo doświadczonych myśliwych, ludzi, którzy dzięki umiejętności wabienia imitującego pisk myszy, kniazianie królika, okrzyki niespokojnego ptaka czy gryzonia stali się fachowcami. Ci, którzy umieją naśladować te dźwięki, często zostają królami polowań, inni, mniej ambitni, głosy te odtwarzają z taśmy magnetofonowej. Wszystkich jednak łączy stopień trudności i chęć przechytrzenia tego ambitnego zwierza.

Szop pracz jest bardzo inteligentny, dość niski o puszystym ogonie i czarnym pysku. W południowej Kanadzie i Stanach USA trudno go nie zauważyć, a raczej się nie spotkać z jego szelmowskim usposobieniem i postępowaniem.

Szop bardzo kocha wodę, tak jak mieszkańcy dużych miast, skrzętnie to wykorzystuje. Właściwie jest wszystkożerny, a jakie szkody wyrządza wie chyba każdy, który przebywał choć parę dni nad wodą.

Po raz pierwszy spotkałem dwa dorosłe szopy siedzące przy autostradzie prowadzącej z Toronto do Barrie, oczekujące na poczęstunek od kierowców. Nie wysiadając z auta rzucali im pączki, bułki, kiełbasę i cukierki. Brały wszystko i cieszyły się jak małe dzieci. Wówczas pasażerowie wysiadali, robili zdjęcia i byli zachwyceni razem z nimi.

Naraz odkryłem trzeciego szopa, który leżał obok na gałęzi udając martwego. Wystarczyło jednak, że ktoś resztę smakołyku pozostawił i opuścił auto, to ten śpiący rabuś błyskawicznie wskakiwał na siedzenie i niepostrzeżenie z całą torbą uchodził w zarośla. W Algonquin Park szopy robiły konkurencję czarnym niedźwiedziom, które też nauczyły się żebrać od zmotoryzowanych turystów.

Byłoby to świetną zabawą, gdyby potem bezkarnie nie wykradały ludziom żywność. Najczęściej bezszelestnie podchodziły pod namioty czy domki campingowe i wynosiły wszystko co się tylko dało: jedzenie w opakowaniach, garnki i patelnie z tłuszczem. Nawet pruły namioty, kiedy poczuły zapach pieczywa. Stąd stale musiał ktoś ich pilnować i to za dnia jak i w nocy, ochraniać przed pazernością tych rabusiów. Można było w jedną noc stracić cały zapas żywności, często przeznaczony na wiele dni. W Kanadzie ze względu na odległości uzupełnienie prowiantu wcale nie jest łatwe.

*

Jakie było moje zaskoczenie, kiedy na odległej od lądu niewielkiej wyspie znalazłem na piasku odcisnięte tropy szopa. Wyspa ta miała nie więcej niż dwieście pięćdziesiąt metrów długości i szeroka była na dwadzieścia. Z niej tylko można było zobaczyć horyzont i niebo stykające się z wodą. Nazywa się Grobowiec i leży na wielkim jeziorze Huron.

Długo zastanawiałem się co też na takim odludziu i na niewielkim skrawku ziemi ma do zjedzenia szop pracz. Po tropach dotarłem do kamiennego kręgu na końcu wyspy, ułożonego przez żeglarzy, w którym rozpalono ognisko. Znalazłem w nim kotlinkę, podobną do budowanych przez zające, a obok porozrzucone pióra mew i rybie szkielety. Szop urządzał tu zasadzkę. Na przynętę przynosił ryby i zostawiał przed kamiennym kręgiem. Zwabione mewy jednym błyskawicznym szusem chwycił i uśmiercał. Ale obok też leżały skorupy żółwia i pióra wielkiego

orła amerykańskiego. Widać było, że ten kłusownik nieźle radził sobie na tej bezludnej wyspie.

Na pewno kiedyś przypląnął tu na kłodzie drzewa, przyniesionej przez wichry. Pod mój namiot też podchodził, ale resztki jedzenia wykładałem mu na ścieżce, z dala od biwaku. Za to mogłem go do woli fotografować.

Byliśmy przyjaciółmi.

*

Wieczorem w leśnej gospodzie zaczynała się wielka libacja. Przy naszym stole postawiono parę butelek angielskiego koniaku i przyniesiono pieczeń z łosia. Oprócz Jurka i mnie siedziało jeszcze dwóch Kanadyjczyków i dentysta, nowo upieczony myśliwy z Niagary. Cała trójka była już dobrze podchmielona.

Jurek chyba czytał w moich myślach, bo przybliżył się do mnie z pełnym kieliszkiem i powiedział:

- Na zdrowie! - Dodał też!

- Wyjdź pierwszy na taras, ja za chwilę tam przyjdę.

Kiedy spotkaliśmy się, lekki mroźnik marszczył nam rozgrzane policzki.

- Chyba nie chcesz się upić tak jak ci faceci?

- Mam lepszy pomysł! Weźmiemy Docka i pojedziemy do lasu. On świetnie aportuje raccuny, to znaczy szopy pracze. Idź ubierz się ciepło, będę na ciebie czekał przy motorze.

Jurek oprócz małokalibrowej strzelby wziął dwie latarki i lampę górniczą zakładaną na głowę. Dock wskoczył na bagażnik. Siadłem obok kierowcy i ruszyliśmy w stronę rzeki. Droga była wyboista, pełna kamieni i przegniłych pni tak, że zamiast jechać musiałem zejść i razem z psem pokonywać ją pieszo. Jurek męczył się sam na tych wybojach. W końcu zostawił motor i nim się zastanowił co robić dalej, Dock pognął w las i zaczął głośić zwierza. Jurek szybko załadował swego reminktona i ruszyliśmy za psem.

W lesie robiło się już szaro, w gęściejszych partiach było zupełnie ciemno i bez światła trudno było się poruszać. Szczekanie psa pochodziło spod wysokich dębów. Kiedy jednak tam doszliśmy przeniosło się o sto metrów dalej. Wiedzieliśmy już, że to szop pracz bawi się z Dockiem w chowanego. Pies przybiegł do nas z zadartym do góry łbem, a kiedy nas spostrzegł pognął z powrotem, by dalej głosić zwierza. Znow biegliśmy do niego. Wydawało się, że już go ujrzymy, siedzącego na drzewie. Ale skąd! Pies nerwowo pojękując pognął i szcekał już bez przerwy. Zabawa ta trwała jednak zbyt długo. Dogonienie szopa uznaliśmy za nierealne, bo on po prostu z nas kpił.

Zrobiło się zupełnie ciemno i nastała noc. Pies jednak dalej głosił zwierza w jednym miejscu. Z naszych obserwacji wynikało, że szop zataczał koło i prowokował psa.

Mieliśmy już zrezygnować z dalszego ugania się za zwierzem i wrócić do gospody, ale nijak psa nie dało się przywołać. Postano-



wiliśmy jeszcze raz zaryzykować i pójść do niego z dwóch stron, aby odciąć mu dalszą ucieczkę.

Ten pomysł Jurka miał się sprawdzić. W końcu dotarliśmy razem pod wysoką jodłę na gałęzi której siedział szop pracz.

Był widoczny tylko w światłach latarek, a jego zielonkawe oczy świeciły niczym szmaragdy.

Był łatwym celem dla małokalibrowego remingtona. Jurek jednak zrezygnował ze strzału, gdyż w Kanadzie nocą są zabronione polowań. Gdyby nie to szop nie miał żadnych szans, a tak i tym razem ocalił swoje futro.





CZĘŚĆ DRUGA ARKTYCZNY POWIEW



21. Muzyka zimowego lasu

Kiedy wiosna wstępowała do puszczy obok Killalo, trafiłem do baraku z wyrobami rękodzielniczymi Indian. Rezerwat znajdował się w głębi boru, a ta drewniana chata stała z dala od niego, nad Srebrną rzeką, przy drodze z Barry's Bay do Ottawy. Indianie szybko zorientowali się, że na zmotoryzowanych turystach można nieźle zarobić. Ustawili drewniany pawilon, na opadającej ku wodzie skarpie umieścili kilka wigwamów, a na bramie wejściowej zawiesili niespotykanej wielkości czaszkę łosia. Łopatacz był tak ogromny, że jego poroże sięgało poza futryny. Był to niewątpliwie dobry chwyt reklamowy. Całość miała przypominać dawną, szczęśliwą wioskę indiańską.

Kiedy pod barak podjechało więcej samochodów i zrobiło się tłoczniej, wyszła z niego puszysta Indianka, ubrana w skórzaną odzież. Na głowie miała pióropusz, na ramieniu szopa. Wzniesła ognisko.

Widzowie byli zachwyceni, że wreszcie mogli na własne oczy zobaczyć, a nie na amerykańskich filmach, choć namiastkę z życia dawnych Indian.

Młody szop, dotąd siedzący spokojnie na ramieniu kobiety, niczym futrzany szal przy kożuchu, nagle zeskoczył i stanął przed, widzami prosząc o podarki. Wszystko, co otrzymał zanosił do wigwamu i w mig wracał. Zachęceni jego sprytem turyści obdarowywali go szczodrze, a zabierał wszystko. Nic nie rozpakowywał.

A jakże można było mu nie dawać, kiedy w rezerwacie niewiele osób miało pracę, a niedaleko stała kolejka dzieci i kobiet do podobnego baraku, gdzie otrzymywali państwową jał-

mużnę, parę dolarów, chleb, konserwy itp, aby przeżyć następne dni. Ciepłe wrażenia z indiańskiej reklamówki przy drodze szybko mijały i plac przed wioską pustoszał.

Kiedy samochody odjechały otworzyłem drzwi baraku. Uderzył mnie w nos przykry zaduch suszonych skór. Przede mną roztaczała się obszerną izbą. Pełno było tu rozwieszonych pióropuszy, łuków, tarcz, toporów i wyrobów rzemiosła. Pod regałami wisiały skórzane kurtki z frędzlami, delikatne koszule, szale z rys i wiewiórek oraz mnóstwo wyrobów rzemieślniczych.

Za drewnianą ladą siedziała Indianka - ta sama, co wcześniej prezentowała wioskę. Na kruczoczarne włosy nałożone miała słuchawki - takie wielkie, jak czołgistów. Musiała słuchać coś ważnego, bo nie zwracała na mnie zupełnie uwagi.

Podszedłem do niej. Wydawało mi się, że jej brązowe, wielkie oczy nie reagowały na moją obecność. Kiedy ją pozdrowiłem, jednak położyła palec na ustach. Zrozumiałem, że mam poczekać i nie przeszkadzać. Miałem w ten sposób trochę czasu na obejrzeniu eksponatów prezentowanych w jej sklepie. Na pewno wiele z nich chciałbym mieć u siebie w domu, ale ceny odstraszały od takiego zamysłu.

Naraz zdjęła z głowy słuchawki, a kiedy podszedłem do niej przyłożyła mi je do uszu. Nastąpiła grobowa cisza, straciłem kontakt z otaczającą mnie rzeczywistością. Ona patrzyła mi prosto w oczy chyba spodziewając się ode mnie jakiejś reakcji, ja zaś oczekiwałem głośnej muzyki. Byłem szokowany tym, co słyszałem. Panowała cisza i tylko jakby wzmagaly się podmuchy wichru, potem świst pękającego z brzękiem lodu, a kiedy zastukał w pusty pień starego drzewa dzieciół zrozumiałem, że to puszcza prezentuje srogie pomruki zimy. Później jeszcze było hukanie sowy i odległe nawoływanie wilków, a dźwięki te ubarwiał flet i rytmiczne bębnienie w dzban.

Melodia była tak wspaniała i dla mnie tak odkrywczą, że poprosiłem o kasetę i zapewniłem, że ją spokojnie wysłucham w domu. Indianka była ukontentowana. Mówiła, że została nagra-

na tej zimy i nosi nazwę „Muzyka zimowego lasu”. Była utworzona z dźwięków, którą stworzyła sama natura, przy niewielkiej tylko pomocy kompozytora. Byłem zszokowany. Zauważyła to czarnowłosa dama i pochwaliła się, że została nagrana w miejscowym lesie ostatniej zimy, kiedy to jeszcze jesienią napadało tyle śniegu, że nawet pokrył dachy chat. Potem jeszcze, na nie szczęście Indian, Manitou zesłał deszcz a następnie tęgi mróz i zamienił lasy w lodowe bałwany.

Wiosną gwałtowna odwilż spowodowała, że lód odpadał od drzew bryłami, zabierając gałęzie ze sobą. Puszcza wyglądała naga, tak jakby przeszło przez nią tornado. Całe wschodnie wybrzeże Atlantyku, aż po Montreal, przypominało cmentarzysko stojących drzew. Nie było prądu, bo pod ciężarem lodowych sopli pozrywały się przewody energetyczne. Tą część Kanady uznano za dotkniętą kataklizmem, a potrzeby były tak wielkie, że nawet z pomocą przyszły sąsiednie stany USA.

Puszczy jednak nikt nie był w stanie pomóc. W niebo sterczały kikuty żywych drzew, na niektórych zazieleniło się po parę listków, jakby wyczuwały, że od nich tylko zależy odnowa lasu. Za to łosie, jelenie, rosomaki i kojoty miały jadła pod dostatkiem i nikt ich nie płoszył. Wejścia do puszczy strzegła skutecznie płatanina wywróconych drzew i rumowiska gałęzi.

Indiańska muzyka mówiła o tragedii, jaka tu się wydarzyła tej zimy.

22. Out fitter z Patawawa

Pod koniec okresu polowań w prowincji Nipissing, żegnałem się ze handlarzem nieruchomościami Peterem Spadzinskim. Opowiedział mi o swoim przyjacielu Davidzie Walch, zapalonym myśliwym i out fitterze mieszkającym nad rzeką Ottawą w miasteczku Patawawa. Tam oferował polowania na wilki, półtonowe łosie oraz jarząbki świerkowe i bielaki. Peter zauważył, że chyba błysnęły mi oczy, bo nie zwlekając dodał:

- Porozmawiam z Davidem, aby cię zabrał na północ przyszłej zimy i zaprosił na łowy.

Peter Spadzinski dotrzymał słowa i załatwił mi polowanie na wilki z Davidem Walch.

Wyjazd ten był dla mnie nie lada wezwaniem. Przygotowałem się nadzwyczaj pilnie. Wymagany był biały i ciepły kamuflaż. W sklepie myśliwskim La Baron w Toronto kosztował on ponad sto amerykańskich dolarów. A gdzie jeszcze nieprzemakalne, sznurowane buty z niedźwiedziem i osłona przed mrozem na twarz?.

Moją skromną kasę częściowo uratowała koleżanka z Montrealu, Hania. Po zdradzeniu jej moich zamiarów ofiarowała mi czarny jak smoła morski kombinezon, w którym jej syn pływał na statku po Labradorze w pobliżu Arktyki. Był przystosowany do czterdziestostopniowych mrozów. Jedyne na niego dokupiłem białe okrycie, kominiarkę na twarz i czapkę.

Śmiało mogłem już wyruszyć na prawie tysiąckilometrową wyprawę na wilki.

19 grudnia zastukałem do zaśnieżonej chaty Davida Walch. Odniosłem wrażenie ciepłego powitania. Szybko okazało

się, że out fitter, rok wcześniej gościł nad Temagami kilku myśliwych z Polski, jak i z Montrealu. Umówiliśmy się też, że tego wieczoru nie będziemy rozmawiać o myślistwie, a tylko o kraju ojczystym matki Davida, która pochodziła z Nowego Sącza i przybyła do Kanady jeszcze przed II wojną światową. Dawid, jak wszyscy Polacy na obczyźnie, był spragniony wiedzy o dawnym kraju. Odnosiłem jednak wrażenie, że pragnął, aby przekazywano mu tylko dobre wieści.

Siedzieliśmy przy kominku i sutej kolacji do późnej nocy, a kiedy księżyc ukazał się nad szczytami zaśnieżonych świerków, poprosiłem Davida, żeby opowiedział mi coś o swej pracy. Ciągle miałem mieszane uczucia, co do funkcji out fittera w Północnej Ameryce. Teraz miałem okazję do wyjaśnienia kilku spraw związanych z wykonywaną przez niego funkcją.

Out fitter – mówił David - to przedsiębiorca organizujący polowania i wędkarstwo na zasadach handlowych. Jest ich ponad tysiąc w Ontario i osiemset w Quebecu. Z reguły dzierżawią tereny od Korony, a limit łowisk wynosi niewiele ponad pięćdziesiąt tysięcy hektarów. Kontrakt na dzierżawę trwa przez dziewięć lat, znacznie dłużej niż dla klubów myśliwskich, ze względu na kosztowne inwestycje. W moim przypadku dotyczy to trzech stanic wybudowanych przeze mnie na terenach Temagami. Moi koledzy nastawiają się głównie na wędkarstwo i amatorom tego sportu dostarczają przeżyć najwyższej klasy. Organizują wyprawy po medalowe okazy północnego pstrąga i wielkie ryby, bo kilkudziesięciofuntowe musky. Out fitterzy łowieccy proponują najczęściej odstrzały łosia, wilka, dzikich gęsi, kaczek, dalej na północ - pardw, szopów, kojotów, czasem zająca i jarząbków świerkowych. Jednak ze względu na duże zaśnieżenie tych łowisk i brak kontaktu z cywilizacją, myśliwy musi być bardziej odporny na trudy. Trafiają tu najczęściej osoby przedkładające wólcę nad wygodne siedzenie na ambonie czy zasiadce w zwartych puszcach Muskoki, lub Nipissing.

Wyprawy te są również o wiele kosztowniejsze. Trzeba wynająć ogrzane kwatery, zimą skutery śnieżne. Jednak za poniesione trudy i koszta natura zwraca w dwójnasób, latem cudownym krajobrazem, ogrodem kwiatowym jeziora Temagami. Tworzy tu ono rozlewiska przypominające wielką ośmiornicę, sięgającą swymi mackami podobą do wijącego się węża jeziora Timiskaming nad granicą Quebecu, na zachodzie do rwącej rzeki Sturgeon i jeziora Muskononge, słynącego z wielkich ryb o tej samej nazwie.

W dorzeczach tego jeziora, z którego wody płyną już do Morza Arktycznego, lato trwa krótko. Przychodzi nagle razem z wiosną. Zakwitają kobierce barwnych nenufarów, pływają wielkie żaby i węże zwane ogrodowymi. Choć nie są jadowite, to ilość ich jest zastraszająco duża, a zygzakowaty grzbiet odstrasza ludzi. Opadające pionowo ku wodzie skały pokrywają się kobiercami kwiatów, podobnych do naszych szarotek i skalistych mchów.

Pośrodku tego wodnego ogrodu znajdują się niewielkie wyspa Niedźwiedzia i Północna, rezerwaty Indian Nipissing i Algonguinów.

Termometr wskazywał 14 stopni poniżej zera, ale temperatura odczuwalna sięgała prawie trzydziestu stopni i zatykała oddech. Gęsty szron osadzał się na brwiach i kołnierzu kurtki.

W duchu cieszyłem się, bo jeszcze w Killaloe Indianka wcisnęła mi kaptur za trzydzieści dolarów dodając, że jej podziękuję, jeżeli kiedyś wyjdę na mróz. Na pierwszy rzut nie było to nakrycie rzucające się w oczy. Obrzeże jego jednak było obszyte futerkiem z rosomaka, a to powodowało, że szron się na nim nie osadzał, nawet omijał rzęsy, tak, więc miała czerwonoskóra ekspedientka rację.

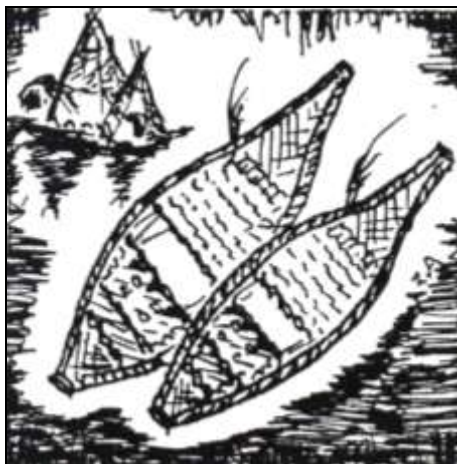
W ciągu nocy dopadało śniegu tak, że musieliśmy spod domu i garażu usuwać go przy pomocy elektrycznej dmuchawy.

Wewnątrz garażu na przyczepie stały dwa nowiutkie „skido” – skutery śnieżne o mocy 450 koni każdy. Oczy biły mi

z radości, David przyznał, że pełen bak paliwa w nich starcza zaledwie na godzinę jazdy. Teraz zrobiło mi się smutniej. Nie poprawiła mi już nastroju informacja, że osiągną ponad sto kilometrów na godzinę, co uzasadnia ich użyteczność na tych wielkich przestrzeniach.

Do wigilijnego polowania pozostało już niewiele dni, dlatego skrupulatnie pakowaliśmy do auta zapasy, najwięcej baniek z paliwem, sprzęt biwakowy, rakiety śnieżne i kulery z żywnością.

Z niecierpliwością oczekiwałem wyprawy na północ!



23. Wigilijny opłatek w Temagami

Do stancicy Davida przybyliśmy przed samymi świętami Bożego Narodzenia. Chata zasypana była śniegiem. Dojechaliśmy tu po zamarzniętej, skutej lodem leśnej drodze. Jedyne żywe stworzenie, które spotkaliśmy, to śnieżna sowa, siedząca pod koniec dnia na płocie. Chyba dotąd ludzi jeszcze nie widziała, bo bacznie i bez strachu pojednawczo się nam przyglądała.



Stanicą Davida opiekował się stary Szkot, Martin Shulist, mieszkający nad jeziorem Kakako. Na wieść o przyjeździe właściciela chaty odsypał od niej śnieg. W izbie było schludnie i ciepło. Żeliwny piecyk rozpałił się do czerwoności od brzoźowych polan.

Tego samego dnia pod wieczór przyjechali jeszcze Janusz i Zdzychu z Quebecu, a w nocy Peter i Józef z Toronto. Tak, więc byliśmy w komplecie.

Tradycyjnie już na to typowo polskie wigilijne polowanie każdy ze sobą przywiózł drobny podarek, który złożony pod choinką miał być losowany po wieczerzy. W środku obszernej izby stał stół nakryty białym obrusem, a na nim świeczniki z wielkich szyszek. Na gałązce jodły ułożono pusty talerz i opłatek.

Wigilijne polowanie miało być krótkie. David dał do zrozumienia, że nie mogło być krwawe. Miałem, więc duże szanse na zrobienie zdjęć, jeżeli wyjdzie leśny zwierz pod moją lufę obiektywu.

Wigilijnym wczesnym rankiem, ubrani w biały kamuflaż, wyruszyliśmy skuterami nad jezioro Kakako w Dystrykcie Północnym Ontario.

Skutery dzielnie pokonywały dwudziestomilową przestrzeń wśród mokradeł i cmentarzysk obumarłych drzew, zniszczonych wichrami i burzami lodowymi. Dalej rosły lasy gęste, mroczne mateczniki, pełne oparzelisk, mieszkań dla łosi, jeleni i wilków. Ich odciski rapci na śniegu dobitnie świadczyły o licznej obecności zwierzyny.

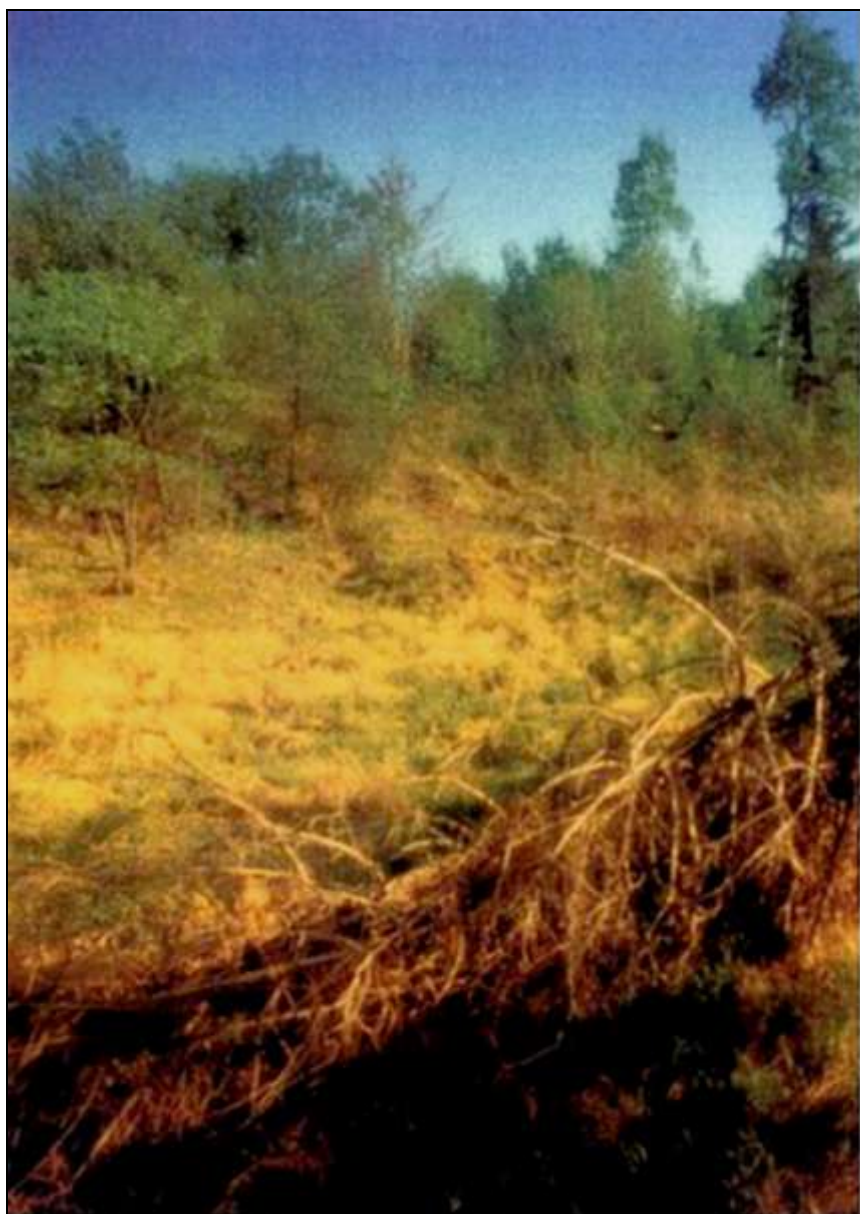
Nasz rekonesans trwał kilka godzin. Padło wiele sztucrowych strzałów. Od ich huku obsypało się z śnieżnej kiści wiele jodeł i świerków. Ale żaden zwierz tego dnia nie padł. Tym razem wszystkie kule poszybowały wysoko w niebo po to tylko, aby tradycji stało się zadość. Huk poderwał kilka jarząbków świerkowych, które z niedowierzaniem przeleciały nad nami. Potem beknął głosem gardłowym łoś na oparzelisku i usłyszeliśmy daleki wycie wilka.

Wracaliśmy szczęśliwi i zadowoleni, bo spotkaliśmy wiele natropień wilków, kojota i rosomaka. Zdjęliśmy napotkaną pętlę z drutu, zastawioną na jelenia lub łosia, założoną przez indiańskiego kłusownika.

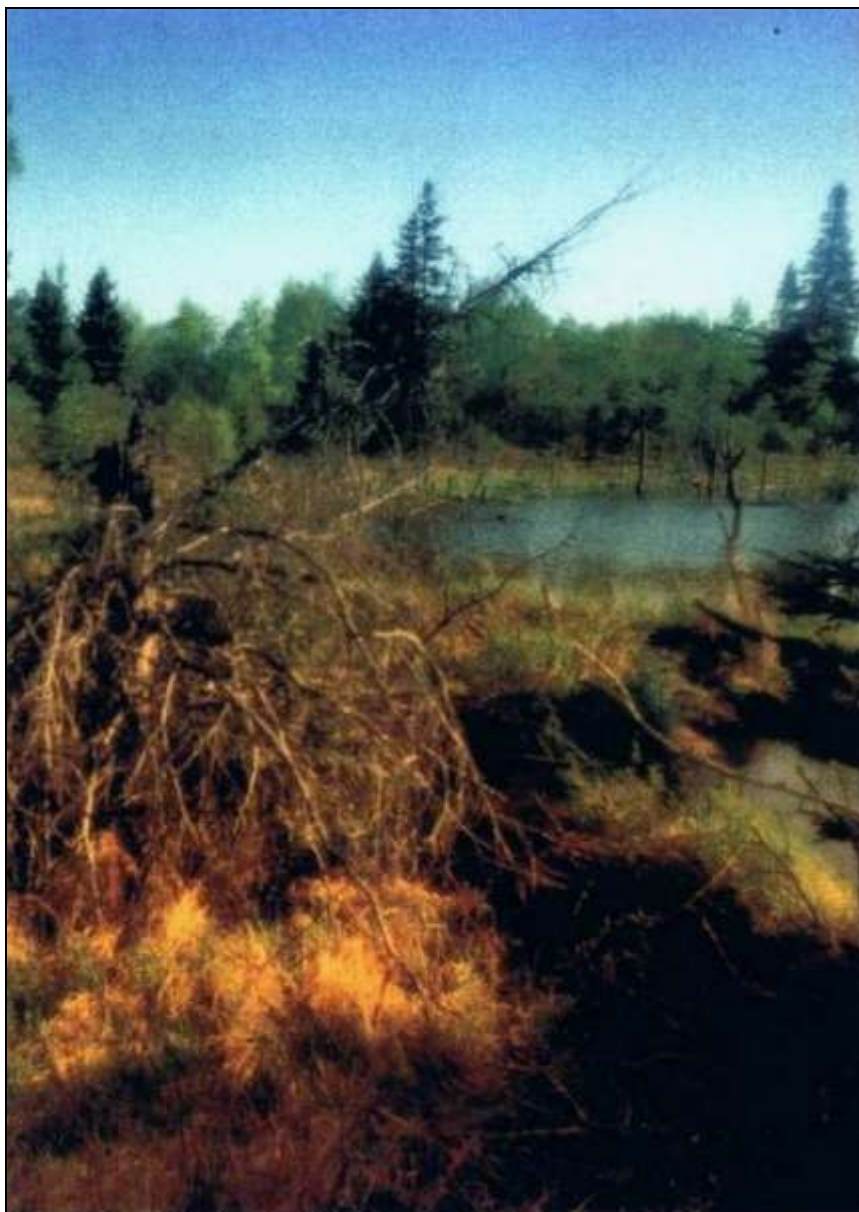


Po obejrzeniu w puszczy niemal wszystkich misiów. (s. 26)





PUSZCZA KANADYJSKA



W PROWINCJI PARRY SOUND



Matecznik łosi i czarnych niedźwiedzi. (s. 24)



Musieliśmy szybko wracać, aby jeszcze przed zmrokiem być w naszej bazie i zdążyć przed pierwszą gwiazdką, która miała się ukazać na arktycznym niebie. Stąd w drodze powrotnej pozwalaliśmy sobie na nie lada popisy szybkości i doskonałości sprzętu, w tym skakania skuterami przez przeszkody i brawurowe pokonywanie oparzelisk.

Wigilijna kolacja już czekała. Przygotował ją tak jak każdego roku Martin. Szkot uwielbiał polskie tradycje i serwowane dania. Nie było ich tu tyle, co w ojczystym kraju, ale stała na stole zupa z suszonych śliwek, barszczyk, smażony łosoś i pieczeń z łosia. Serwował też czerwone, gorące wino – znane jako „napój łosia”. Był opłatek i podarki spod choinki, były też nasze kolędy.

Zauważyłem, że w czasie ich śpiewania Zdzisiowi i Józkowi cisnęły się łzy do powiek. Nie byłem jednak pewien czy z powodu rozstania z krajem, czy też ze szczęścia.

24. Wilki z Kakako

Tej nocy nad całym obszarem Temagami rozszalała się burza śnieżna. Wichura z wściekłością targała stropem naszej chaty. Zwalila kilka dużych głązów z dachu i wyrywała okiennice. Złowrogo pojękiwały belki na ścianach, wywiewało mech, którym uszczelniono szpary. Robiło się coraz zimniej i niebezpieczniej.

W takim dniu o polowaniu trzeba było zapomnieć tym bardziej, że od południa zamiast śniegiem sypnęło gradem, a pod wieczór już strugi wody obmywały nasze okna. Na niebie pokazało się parę błyskawic, a potem przyszło najgorsze - dmuchnęło znad Atlantyku ciepłym powietrzem. Cudowna śnieżna biel znikła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, odkrywając powalone drzewa i czarne rumowiska kamieni.

Opuszczenie chaty było niemożliwe, a wręcz samobójcze na tym odludziu. David robił wszystko, aby nam umilić pobyt. Zachęcał do odwagi i podtrzymywał na duchu. Sprawdzał komunikaty radiowe z Montrealu i Ottawy, a te były niekorzystne, bo zapowiadały dalszą odwilż. W tych warunkach wcześniej przygotowany przez nas zimowy sprzęt, skutery śnieżne, białe okrycia i rakiety, zamknęliśmy w garażu.

Dysponowaliśmy tylko jednym czterokołowym „bajkiem” do poruszania się w trudnym terenie i nim, kiedy po dwóch dniach przestało padać, Józek z Davidem pojechali do lasu. Mieli rozpoznać sytuację i rozłożyć przynętę na wilki ze znalezionej przez Martina łani, jeszcze przed naszym przyjazdem.

Długo w czasie ich nieobecności siedziałem ze Szkotem przy rozgrzanym kominku. Byłem bardzo ciekawy jego znajomo-

ści lasu, Deklarował się przecież jako strażnik ryb i zwierząt nad jeziorem Kakako. Opowiedział o białym wilku.

- Kilka lat temu Indianie z Północnej Wyspy schwycili w pułapkę białego wilka. To wydarzenie wpłynęło na zdecydowanie na zmniejszenie się uprawianego przez nich kłusownictwa.

Były to czasy, kiedy nadzwyczaj ciepłe wilcze futra można było nieźle spieniężyć. Przyjeżdżało tu kilku handlarzy z Montrealu, którzy brali wyprawione skóry wiedząc, że można na nich dobrze zarobić. Indianie chcąc sprostać zapotrzebowaniu namiętnie na wilki polowali przy pomocy broni palnej. Jednak dziurawione futra przez kule miały mniejszą wartość. Polowania takie, choć skuteczne, okazały się, więc mało przydatne. Zaczęto kopać głębokie doły i zakładać pułapki, teraz wpadały do nich nie tylko wilki, ale i łosie, niedźwiedzie oraz jelenie. W przyległych lasach ilość zwierzyny malała w takim tempie jak topnieje śnieg każdej wiosny.

Działo się tak do czasu, kiedy złapał się w pułapkę biały wilk. Wówczas obozowy szaman uznał to za znak ostrzegawczy dla całej wspólnoty indiańskiej zamieszkującej wyspy na Temagami. Stwierdził, że sprowadzi on nieszczęście i choroby na ludzi. Nakazał zwrócić białemu wilkowi wolność i otoczyć go czcią tak wielką, jaka przysługuje bobrom i szlachetnym łowcom.

Odtąd biały wilk swobodnie przemierza puszcze wszędzie i wzdłuż nad jeziorami, Temagami. Jest często widywany przez łowców i turystów. Ma to też dobre zalety, bo w jego otoczeniu i inne zwierzęta czują się bezpiecznie.

Zanim jednak biały wilk dał się schwytać, kilku łowców z Północnej Wyspy wybudowało na stałym lądzie, na niedostępnych bagnach, podczas tegiej zimy, wielką pułapkę. Na początku roku, kiedy księżyc był w pełni, w tak zwanych „dwunastu wilczych nocach”, kiedy wilki łączą się w pary i rozchodzą po puszczy, aby znaleźć pożywienie, ten biały nie znalazł podobnej do siebie partnerki. Biały wilk poczuł się odrzucony przez swych pobratymców i chrapliwym głosem szukał pomocy. Uciekli przed

nim leśni mieszkańcy, a Indianie założyli kilka „wilczych ogrodów” w rewirach niedostępnych dla ludzi, rumowiskach drzew i skał. Zbudowali tam płot z wysokich żerdzi z zapadającą furką. Do środka wciągnięto na przynętę cielę, a wszystko spryskano wydzieliną skunksa, aby zniszczyć ludzkie zapachy. Przy tych czynnościach ludzie owijali buty zajęczymi skórami, do ciągnięcia zwierzyny używali kory z wierzb, nie wolno było im dotykać rękoma żadnych przedmiotów.

Błądzący po puszczy biały wilk trafił zwabiony do tej matni, a stamtąd przed oblicze obozowego szamana w rezerwacie na Północnej Wyspie. Ponieważ był wilkiem inteligentnym, nie tylko nie stracił życia, ale jeszcze odzyskał wolność i w lasach tych mieszka do dnia dzisiejszego.

Nie tak dawno widziano go nawet z partnerką podobnego koloru. Spotkanie z nim jednak na śniegu jest prawie niemożliwe, za to, kiedy śnieżna biel opuści lasy staje się widoczny z daleka.

25. Biały wilk

Po deszczowych świętach z samego ranka załadowałem swój sprzęt fotograficzny do bagażnika i wsiałem z Martinem do samochodu. Jechaliśmy po drodze pełnych korzeni i śliskich gładów. Minęliśmy chyba ze cztery jeziora, których nazwy nie zapamiętałem, nim dotarliśmy do jego chaty. Stała na wysokim wzniesieniu pod samym lasem. Swym wyglądem do złudzenia przypominała kaszubskie chaty z Berrys' Bay. Była zadbana, z elektrycznością i bieżącą wodą. Obok niej piętrzyły się sęgi drewna przygotowane na opał, stała wędzarnia ryb i szczekał pies uwiązany do drewnianej budy - beczki po piwie wkopanej do połowy w ziemię.

Z wcześniejszej rozmowy ze strażnikiem odniosłem wrażenie, a nawet miałem pewność, że spotkam białego wilka, z czego bardzo się cieszyłem. Zapewnił mnie, że przy trzcinach nad jeziorem jeszcze w połowie grudnia wyłożył cielę rozjechane przez samochód. Wilk kilkakrotnie to miejsce odwiedzał i był przekonany, że i teraz też przychodzi.

Nikt tu na niego nie polował, ani go nie płoszył, a przyjezdni myśliwi zanim wyszli w łowisko byli informowani, że biały wilk w tym lesie jest świętością i podlega całkowitej ochronie.

Z niepokojem jednak przyjąłem decyzję Martina o poproszeniu na łowy z kamerą jego przyjaciela, Indianina znad jeziora Spawning, który bez trudu ponoć, wilka umiał przywabić.

Hanpapa z rezerwatu Temagami często służył bogatym myśliwym ze Stanów, pomagał im w upolowaniu łosi i wilków. Na rzemiośle myśliwskim znał się jak mało, kto. Jednak był potrzebny wtedy, kiedy out fitterzy mieli licencję na odstrzały zwie-

rzyny łownej. Stąd dziwił się, kiedy u mnie ujrzał zamiast strzelby aparat z długim obiektywem. Kiedy jednak zauważył butelki z piwem z chęcią przysiadł się do stołu. Chętnie też ode mnie przyjął latarkę na „paluszki”, która bardzo mu się podobała. Była to już moja ostatnia z, dziesięciu, które kupiłem w sklepie myśliwskim przed wyjazdem.

Hanpapa był małomówny, ubrany w odzież moro, chyba podarowaną przez myśliwych, bo zbyt obszerną na niego. Był też niecierpliwy.

Zaledwie parę mil podjechaliśmy samochodem, potem trzeba było iść pieszo. Droga wiodła przez łąkę, na której znajdowało się sporo wielkich głazów, a niektóre przekraczały wysokością człowieka. Dotąd pagórkowaty teren zaczął silnie opadać ku wodzie, przed którą rozciągał się pas trzcin. W lornetce Martin pokazał mi niewielką kępę drzew, porosłą brzoza i olchą. W pośrodku niej miała być wyłożona przynęta.



Indianin spokojnie podprowadził nas pod jedną z większych skał, skąd mieliśmy dobre miejsce obserwacyjne. Sam wycofał się i znikł nam z oczu. Dopiero po pół godzinie usłyszeliśmy chrapliwy głos, powtarzany z mniejszym natężeniem. Domy-

śliłem się, że to głos Hanpapy. Później nastąpiła dłuższa cisza, nowe chrapanie i gardłowe wycie popłynęło w las, a potem echem wracało. Zresztą trudno było odróżnić czy to nie był wilczy odzew. Przecież w tych dniach przypadało owe „dwanaście wilczych dni”, czyli gody tych drapieżników i takie ich zachowanie było prawdopodobne.

Siedzenie tu jednak było dość denerwujące, bo z pobliskich szuwarów dochodziły odgłosy ciągłego pluskania wody. Martin mówił, że to robota bobrów.

Niespodziewanie przysiadł się do nas Hanpapa. Znów nad łękę popłynęło wycie i chrapanie wilków. Naraz w ciemnej zieleni, na kępie za gałęziami, rozbłysło bielą i ukazał się wilk. Wyczuwając podstęp padł na brzuch i zaczął się czołgać. W obiektywie mej pięćsetki wyraźnie widziałem jego łeb.

Indianin kilkakrotnie wabił, chcąc go podnieść, ale on mu nie dowierzał. Nie bał się trzasku migawki, ale bał się pokazać w całej swej krasie.

Futro miał śnieżnobiałe. Na śniegu było zupełnie niewidoczne dla jego wrogów. Teraz był sam, bo swą białością zdradzał szarych towarzyszy, którzy umieli się świetnie maskować. W czasie śniegów jednak przebywał wśród wilczych watach, bo zupełnie nie rzucał się w oczy.

Miał też rzadką cechę, a której nie miały inne wilki. Był pedantem czystości, piorącym w śniegu swój kożuch przy lada okazji, stąd nigdy nie widywano go brudnym.

Pomimo, że znał Hanpape to już nam nie dowierzał, a szczególnie błyszczącej soczewce obiektywu, biorąc ją widocznie za lunetę sztucera.

Ale takie było jego prawo i odwieczna wilcza ostrożność!

26. Upiory z kopalni srebra

Siedzieliśmy w starym szałasie, który zbudowali strażnicy i myśliwi na skraju wielkiego „pustkowia”, gdy nagle usłyszeliśmy nadjeżdżający samochód. Józek wyszedł na zewnątrz i głosem zadowolenia oznajmił przybycie tropiciela.

Do wnętrza szałasów wszedł Martin Shulis, oszroniony i zmarznięty. Postawił swój sztucer do kąta i powiedział szeptem:

- Są wilki! Otopiłem jednego basiora, którego łapa na śniegu podobna była wielkością do mojej rękawicy. Ponowa z tej nocy umożliwiła mi pójść po jego tropie, aż do samej dawnej kopalni srebra. Stary basior tam zaległ! Ze względu na znaczną odległość proponuje wyjazd zaraz po obiedzie, aby na miejscu być przed wieczorem. Od trzech dni sypał śnieg, dzisiejszego dnia chwycił siarczysty mróz, jest teraz ze 25 stopni poniżej zera, a na wietrze chyba drugie tyle. Wilcze watahy przy takiej mroźnej aurze będą w ruchu!

Po sutym obiedzie, ubrani w szczelne kombinezony i z pełnymi bakami paliwa, na śnieżnych skuterach opuściliśmy bazę.

Jechaliśmy na skróty, szeroką polaną w księżycowym krajobrazie zniszczonego przez wichury i lodowe deszcze lasu. Martin przygotował plany obstawienia wszystkich przesmyków jeszcze przed nocą, kiedy wilk po nocnym wypadzie do puszczy będzie syty wracał do swego leża.

Moje stanowisko wypadło nad rzeczka, przy szerokiej łące. Wilczy przesmyk prowadził w największym jej miejscu, z pięćdziesiąt metrów od mej kryjówki.

Zmrok nastawał tu późno, tak jak w całej północnej prowincji. Mocno świecił już księżyc, a wiatr wiał od rzeki. Byłem pełen nadziei na spotkanie z wilkiem.

Pierwszy na przesmyku pokazał się kojot. Szedł powoli, ale zdecydowanie. Nim go chwyciłem w obiektyw, przeskoczył wodę i pognął w las. Później już tylko ciekawska sowa sprawdzała mnie, nawet siadła obok i gapiała się dużymi ślepiami, jakby w życiu nie widziała człowieka. Przeszkadzała mi w obserwacji rozległej łąki.

Naraz od ściany lasu oderwał się mały, czarny punkcik, potem drugi, trzeci. Rozpoznałem wilki. Sznurowały prosto w najwęższe przejście na rzece. Jeden po drugim przeskoczyły wodę i znalazły się na moim brzegu.

Przyklejony do pnia w jasnym obiektywie prowadziłem je spokojnie. Sześć świecących lamp błyskało w półmroku. Dwukrotnie przycisnąłem migawkę nim zginęły w ciemnej ścianie lasu. Byłem mocno podniecony. Nawet moja sowa bezszelestnie spłynęła z gałęzi jedynie otrząsając kście śniegu.

Żałowałem, że nie było ze mną Indianina Hanpopa. On by na pewno te wilki przywabił, a może i zatrzymał na łące dłużej. Teraz mogłem już tylko oczekiwać na huk strzelb mych towarzyszy.

Nic jednak takiego nie nastąpiło. Wadera z młodymi szczeniakami sprytnie opuściła nasz kocioł. Może była to zasługa jej męża basiora – olbrzyma, który mieszkał w starej kopalni i tak skutecznie zwracał na siebie uwagę, że zamiast strzec przesmyków, zwracano tylko uwagę na skaliste wyrobisko srebra?

Z początku znaleziono tam przywleczoną przez wilka łąnię, potem coś spadło z hałasem z kamiennego muru. Ciągłe drapanie pnia drzewa absorbowало uwagę myśliwych, a ponieważ dźwięki się powtarzały pilnowano tylko wyrobiska.

Józek później opowiadał, że zrobiło mu się naraz zimno, kiedy upadł przed nim kawał jeleniej skóry i obsypał go śnieg. Dopiero potem w blasku księżyca dojrzał nad sobą wielką sowę,

która odleciała. Pilnowano kopalni do północy, a kiedy wilk się nie pokazał, zrezygnowano z tej zasadzki.

W światłach latarek okazało się, że obok martwej łani było mnóstwo wilczych odchodów i tropów. Myśliwi zrozumieli, że mieszka tu cała wataha i bez tropiciela Hanpapa nie jest możliwe osaczenie wilków.

Opowiedziałem Józkowi o moim strzale z obiektywu do wilczej wadery i dwóch szczeniaków. Nie uwierzył mi.

- Dopóki nie zobaczę zdjęcia, uznaję, że tej rozmowy nie było! – powiedział.

Trochę mnie tym zdenerwował.

W niepewnością musiałem jeszcze czekać sporo dni, nim Martin przywiózł mi wywołany film. Teraz Józek mi pogratulował. Chociaż wilki były niezbyt wyraźne, to nazwał mnie wilczym snajperem.

27. Kaczor za przynętę

Następnego dnia Martin pojechał nad jezioro Spawning by spotkać się z indiańskim wabiarzem Hanpapa. Miał z nim omówić najpewniejszy sposób na osaczenie wilków, przy starej kopalni.

Hanpapa nie miał zimną zajęcia, gdyż skończyły się polowania jesienne na dzikie gęsi śnieżyce i północne kaczki. Przy swej chacie hodował sporo ptaków, które służyły myśliwym do wabienia ich, pobratymców przylatujących z dalekiej północy. W czasie polowań używał ich z korzyścią dla swej kieszeni, prowadząc pod lufy myśliwych wiele oszukanych kluczy. Uwiązywał je do długiego sznura i sadzał na jeziorze w miejscach lądowania przybyszów z północy.

Kaczki te nie pływały same. Oprócz nich stawiał na wodzie bałwanki, wyplatane ze sitowia i trzciny sztuczne atrapy, które zimą przygotowywał w swej chacie.

Od lat hodowane w jego kojcach dzikie kaczory były wybierane wiosną z gniazd, potem karmione i oswajane. Ich zadaniem było tylko głośne kwakanie, a robiły to chętnie, kiedy były głodne. Te jednak które, nie spełniały oczekiwań i zachcianek hodowcy lądowały w jego garnku. Kiedy Martin przybył do jego chaty odniósł wrażenie, że znajduje się w pośrodku kaczego kurnika.

Hanpapa szybko pojął, o co mu się rozchodzi. Wsadził do koszyka dwa rosłe kaczory, wziął kościany wabik, ubrał na siebie kozuch z wilczych skór i pośpiesznie wyjechał z Martinem do starego szałas.

Tutaj od samego południa trwały przygotowania do wyprawy na wilki - czyszczono strzelby, dobierano odpowiednie kule. Strój musiał być też czysto biały, nawet paski przy broni i torby mieliśmy białe.

Indianin zabronił zagładania do kosza z kaczorami, ani nie pozwolił ich dotykać. Czasem wydawało się, że z nimi rozmawiał, albo nawet odprawiał nad nimi jakieś egzorcyzmy. Potem przywiązał do ich nóg rzemyki i przytroczył do ciężkich kamieni. W końcu spryskał swoje ręce, buty i oba ptaki miksturą z pęchera. W szalasie zrobił się taki smród, że trudno było oddychać.

Jak dotychczas ociągano się z wyjazdem, tak teraz nagle wszyscy byli już gotowi do drogi. Był zresztą już na to czas. Na północnym horyzoncie coraz bardziej różowiała cieniutka tasiemka zorzy polarnej i zwiastowała niechybnie jeszcze większy mróz.

Koszyk z kaczorami został szczelnie okryty a oba śmierzące ptaki znalazły się na końcu bagażnika skutera. Założyliśmy na twarze ciepłe kominiarki i ruszyliśmy w drogę do wilczego ostępu. Jechaliśmy niezbyt szybko, o co prosił Hanpapa w obawie, aby nie zamrozić ptaków. Zatrzymaliśmy się z dala od lasu, aby dać szansę, wabiarzowi na wyłożenie przynęty.

Hanpapa sam ruszył w dalszą drogę. Tym razem gnał szybko, aż kurzyło się za skuterem. Na upatrzonym miejscu, nie zsiadając ze skutera, zrzucił ciężarki z ptakami i szybko odjechał.

Minęło znów sporo czasu nim po radzie z Indianinem Martin porozwoził nas na wilcze przesmyki.

Tak jak wczoraj księżyc swym blaskiem oświeślał polanę, na której umieszczono przynętę. Zresztą nie sposób było jej nie odszukać, gdyż oba kaczoły darły się na całe gardło. Podskakiwały, próbowały fruwać. Miałem nawet wrażenie, że szybko ochrypną i przestaną kwakać.



Pozostawione na śniegu były jednak mało widoczne i gdyby nie ich krzyk przypuszczałbym, że drapieżnik już je zabrał.

Naraz nastała cisza Księżyc też się skrył za chmury i znacznie pociemniało wokół. W oddali słychać było nawoływania wilczycy, jakby chrapania, ciche skomlenie i wycie. Potem wszystko ucichło i chyba dopiero po godzinie zaczęło się od nowa.

W napięciu czekałem na rezultaty tego spotkania z wilkami. Trwało to jednak bardzo długo. Nie śmiałem nawet spojrzeć na zegarek, ale cisza i księżyc za lasem wskazywały na północ.

Naraz z głośnym kwakaniem oba kaczory poderwały się od śniegu i próbowały odfrunąć. Trzepot skrzydeł zagłuszył wszystkie inne dźwięki w puszczy. Ptaki to podrywały się do lotu, to opadały, chcąc opuścić to przekłete miejsce, a jedynie rzemyki uwiązane do ich nóg im w tym przeszkadzały.

W tej wrzawie przez lasy przetoczył się huk z dwóch strzelb. Zrzucił kiść śniegu z drzew. Przede mną zakurzyło się od śnieżnego pyłu, a kiedy opadł nastała zupełna cisza i nawet oba kaczory teraz milczały. Na śniegu leżał wielki basior. Jego białe,

wyostrome kły wystawały ze spienionego pyska, ku przerażeniu obu bohaterских ptaków.

Jeszcze tej samej nocy Hanpapę, ze skrzynką piwa i z wilkiem, Martin zawiózł do jego chaty, gdzie Indianin miał go obiełlić, czyli zdjąć kozuch.

Żałowałem, że tym razem nie miałem okazji do zrobienia fotografii. Udzieliło mi się jednak szczęście moich kolegów, z którymi polowałem nad Temagami.

Z tej też okazji jeszcze tej nocy w starym szałasie wzniesiliśmy toast za „Kanadyjski Darz Bór”, opróżniając butelkę francuskiego koniaku.

28. Parka

Do naszej leśnej chaty stojącej nad Bobrowym jeziorem z samego ranka przyszedł Shakapee ze szczepu Cree. Przyniósł ze sobą różne wyroby rzemiosła indiańskiego, ciepłe czapy, rękawice, bluzy, wabiki, naszyjniki z kości oraz wiele ozdób z korzeni drzew, a nawet lalki z delikatnej jeleniej skóry.

Wówczas jeszcze nie wiedziałem, dlaczego moi koledzy tak zapalczywie zaczęli grzebać w jego worku. Byli zadowoleni, kiedy wyciągnęli z niego zielone kaptury. Ja wołałem oglądać wanpuny – naszyjniki z wilczych i niedźwiedzych kłów.

Jurek zapłacił handlarzowi za okrycie dwadzieścia dolarów pomimo, że ten żądał drugie tyle. Podszedł do mnie z założonym na głowę nowym nabytkiem. Teraz wyglądał jak prawdziwy Eskimos.

Jesteś zadowolony? – Zapytałem.

- Stary - odrzekł, ten kaptur był marzeniem mego życia. Nazywa się „parka”. - Tym stanowczym stwierdzeniem wprowdził mnie w ciekawość. Bez żadnego przekonania założyłem na głowę zielony kaptur, obsyty delikatnym futerkiem. Było miłe w dotyku, osłaniało większość twarzy i odczuwałem dotąd niespotykane ciepło przed sobą.

To nie jest zwykły kaptur wyjaśnił Jurek - jakich tysięcy możesz dostać za grosze w sklepach w Toronto. Tajemnica jego tkwi nie w wyglądzie, ale w tym wąskim pasku puszystego futerka wszytego na obrzeżach. Pochodzi ono z najokrutniejszego zwierza północy - rosomaka. Kaptury te noszą Eskimosi i India-

nie polujący w północnych, mroźnych prowincjach Kanady. Nie przymarza ono do twarzy od skroplonego na mrozie oddechu.

W ten sposób stałem się posiadaczem kaptura z futerkiem rosomaka. Później w Polsce, ze względu na ciepłe zimy, nie bardzo mogłem go wypróbować. Zdarzyło się tylko to raz, kiedy polowałem w Karkonoszach, na Kowarskim Grzbiecie. Wtedy nawet zapomniałem, że wokół mnie panował siarczysty mróz.

Siedzieliśmy przy rozgrzanym piecu, w którym niczym ognie sztuczne z brzękiem pękały brzozy pniaki, rozsypując iskry po blaszanej płycie. Za jego komin służyła długa rura przebiegająca przez obie izby - dużą na dole i mniejszą na poddaszu, gdzie były rozłożone nasze materace. W tej był dość nietypowy wystrój. Jej najdłuższa ściana aż do sufitu wyłożona była pniami drzewa z brzozy, jodły i świerków. Po drugiej jej stronie w stojaku stały strzelby, a obok wisiała odzież i karple – rakiety śnieżne. Pośrodku stał stół, a nad nim niczym z choinki zwisały barwne plastikowe torebki przywiązane sznurkami do sufitu. Wyglądało to dość śmiesznie, bo w czasie przygotowywania posiłku trzeba było się dobrze orientować, która z nich, jakie produkty zawiera, gdzie jest masło, a gdzie wędlina, chleb, czy konserwy, gdzie ser, a gdzie mleko w folii. Tak jednak musiało być, bo na tym pustkowiu trwała bezwzględna walka o przetrwanie, tym razem pomiędzy nami a myszami oraz kuną, która zaglądała tu w czasie naszej nieobecności lub nocami.

Po obiedzie mróz trochę zelżał, za to powoli zaczął sypać śnieg. Wieczorem zabieliło się już na dobre. Białym puchem pokryły się karłowate jodły, świerki i sosny. Rokowało to dobre nadzieje na tropienie łosia, na którego odstrzał i licencja leżała na stole.

Shakapee kilka razy do roku odwiedzał myśliwskie i wędkarskie obozy ze swoimi towarami. W ten sposób utrzymywał liczną rodzinę w Mattagami, indiańskim rezerwacie, leżącym nad rzeką o tej samej nazwie. Twierdził, że skóry rosomaków są drogie, bo skupuje je od Indian znad rzeki Abitibi, oddalonej o setki

mil od jego domu. Potem dopiero żona i córki szyją z nich ciepłe kołnierze i kaptury. Zanim Shakapee się z nami pożegnał, poprosił jeszcze o dwa piwa na drogę.

Kiedy zamknął drzwi za sobą, Jurek powiedział: - Ty mu wierzysz? Jutro pokażę ci miejsce gdzie zdobywa te zwierzaki! Jest przebiegły, jak kojot i nigdy się nie dowiesz czy mówi prawdę, czy też nie! Ostatniego rosomaka widziałem dwa lata temu, kiedy zimą przebywałem nad jeziorem Talapaga. Panował siarczysty mróz, brnąłem w śniegu. Znalazłem ślad karpli. Nie był wprawdzie świeży, ale doprowadził mnie nad brzeg jeziora.



Naraz moim oczom ukazał się zwierz, którego dotąd nie znałem. Zniknął z mych oczu nagle, jak zjawą. Kiedy doszedłem do miejsca gdzie go widziałem, znalazłem odciski jego łap. Prerażony byłem ich wielkością. Takie ślady przecież mogła tylko pozostawić puma,* której tutaj, na szczęście, już nie powinno być, choć to nie jest wcale takie pewne.

Po tropie i odcisniętych na śniegu karplach kłusownika doszedłem do drzewa, pod którym była zastawiona pułapka z żelaza. Na przynętę założono kurę domową, ale ptak był dotąd nie tknięty przez drapieżnika.

Rosomak występuje w dzikich pustkowiach prowincji Ontario i Quebec. Jest największym przedstawicielem rodziny łasicowatych, wielkości okazałego psa. Odznacza się jednak niespotykaną drapieżnością i potężną siłą w stosunku do swej wielkości. Umie powalić nie tylko młodego łosza, jelenia, czy karibu. Polują na niego traperzy, Indianie i Eskimosi za pomocą żelaznych pułapek. Łączy ich jedynie chęć posiadania drogiego futra.

Kiedyś oglądałem rosomaka w tutejszym ZOO. Był to młody osobnik wielkości borsuka. Łapy i głowę miał niedźwiedzia, ogon puszysty koloru kasztanowego. Za przednimi łapami jego futro przedzielał żółty kołnierz. Po otrzymaniu baraniej połci rwał mięso po kawale i połykał, jakby się spieszył. Szybko wszystko zżarł. Pozostała tylko naga kość ale i tą mu było żal pozostawić. Wziął ją do pyska i pobiegł do klatki. Po pewnym czasie z nią powrócił i odłupywał jej kawałki. Widać było, że kochał jedzenie. A ta pułapka nad jeziorem była chyba Shakappy lub jemu podobnych kłusowników – zakończył opowiadanie Jurek.

*Puma osiąga ciężar 40 – 90 kg, często występuje nad Pacyfikiem. Na wschodnim wybrzeżu Kanady uważa się ją za wytępioną. Jednak kilkakrotnie ją widywano. Znalaziono jej tropy na piasku, z których zrobiono gipsowe odlewy. Niektórzy specjaliści nie chcą uznać tych dowodów.

29. Ślepa kura

Jesienią z Andrzejem jechałem drogą numer 60, przecinającą południową część puszczy Algonquinów w prowincji Ontario. Dziwna to była trasa. Od Dwight, gdzie ostatni raz zatankowaliśmy toyotę, już nie widzieliśmy żywej duszy, jedynie minęliśmy punkt informacyjny i parę pawilonów handlowych Indian. Zwróciły naszą uwagę tym, że na stojakach wisiały skóry niedźwiedzi, wilków i szopów, a obok stały malarskie portrety indiańskich wodzów zachęcające do odwiedzenia straganów.

Po dziesiątym kilometrze pustej drogi, wijącej się wzdłuż gęstego lasu i obrzeżami jeziora Smoka, Andrzej gwałtownie zahamował. Przy drodze stał łoszak ze swą matką. Otworzyłem szybę, jednak jej pisk wystraszył zwierzaki i pobiegły do jeziora, gdzie przykryły je trzciny. Po następnych kilometrach samotnej jazdy zacząłem się martwić, czy aby nie zbłądziliśmy, wjeżdżając w zakazany obszar puszczy. Wreszcie zauważyliśmy samochód stojący na poboczu. Odetchnąłem z ulgą. Zanim stał ustawiony statyw z kamerą, którą operator zawzięcie kręcił film.

Podeszliśmy bliżej. Dał nam znać palcem przyłożonym do ust, abyśmy nie hałasowali.

Zaledwie dwa metry przed jego obiektywem siedział ptak i czyścił swoje piórka. Odwracał głowę to w lewo to w prawo i umizgiwał się do kamery. Najprawdopodobniej przeglądał się w soczewce obiektywu, tak jak w lustrze. Na pewno miał wrażenie spotkania się z podobnym do niego osobnikiem. Ubarwieniem przypominał naszą kuropatkę, jednak był większy, z kasztanowociemną szyją. Zierniki miał ozdobione paskowymi koralami jak głuszec, które przy widocznej emocji ptaka nabierały krwistego

koloru. Patrzył prosto w obiektyw i nie zauważał naszych ruchów. Zabawnie podnosił rogowy, żółty dziób.

To spotkanie z jarząbkim świerkowym, nie reagującym na bliskość człowieka, w samym środku największej w Ontario puszczy utkwiło mi na zawsze w pamięci.

Mieszkałem z Andrzejem nad jeziorem Faley w samym środku leśnego pustkowia. Nad nami szalała śnieżycą. W chacie było przytulnie i ciepło. Po raz pierwszy mieliśmy polskiego żywca, który również rozgrzewał. Czekaliśmy, na lepszą pogodę by dosiąść naszego czterookołowego, nerwistego rumaka i odwiedzić wszystkie wizurki, przesmyki i dukty, gdzie spodziewaliśmy się łatwego łupu.

Wieczorem przyjechał do nas indiański policjant Duffey z Wyspy Niedźwiedziej. Często sprawdzał te tereny, jak mówił, dla zwykłego porządku. Widząc nasze myśliwskie wyposażenie zagadnął: - Przyjechaliście po mięso?

W Polsce byłoby to obrazą dla myśliwych, ale tutaj, w sercu puszczy, zwykłą normalnością. Sam nie polował, bo miał posadę państwową, jednak twierdził, że w jego rodzinie wszyscy polują. Ta namiętność zaczęła się od ojca, który pochodził ze szczepu Ludzi Małej Wody, czyli Nipissing. Oświadczył, że chętnie na tym odludziu nam pomoże. Zaproponował abyśmy odwiedzili wywrócony las za rzeką zanim łosie zapiszą swoje ścieżki na śniegu. Tam widuje od wielu dni dużą ilość ślepych kur.

Odchodząc dodał: - Sam bym z takiego zaproszenia skorzystał. Te kury to nasz najlepszy przysmak, a tym bardziej do piwa!

- A to cwaniak – powiedział Andrzej - jego czerwoni bracia kury te chwytają na pętle, które przy pomocy wędkarskiego kija zaciskają jarząbkom na szyi. W ten sposób wyłapują całe stadka borowców czerwonobrewych.

Wskazanie miejsca bytowania jarząbków było dla nas cenną informacją. Przesiadują one na drzewach, a znalezienie takiego miejsca wymaga kunsztu przyrodnika. Nie boją się obec-

ności myśliwych, stąd w Kanadzie i Alasce, obok białej pardwy i cieciornika, znane są jako „głupie kury”.

Przez noc nasypało ze trzydzieści centymetrów świeżego śniegu, ale zbyt silny wiatr pędził z północy chmury i aura była niezbyt przychylna dla tropienia łosi. Stąd podjęliśmy decyzję pojechania do puszczy i przywiezienia z leśnego rumowiska parę kur na pieczeń, na zakąskę do żywca.

Ubraliśmy się ciepło, obowiązkowo w strój oranż, założyliśmy buty gumowe dla pokonania wody i lekkim skuterem śnieżnym ruszyliśmy do kniei.

Pierwszą przeszkodą była zaśnieżona rzeka, a raczej śliska kładka na niej, którą przechodziliśmy z duszą na ramieniu. Po jej drugiej stronie rozciągała się mroczna kanadyjska puszcza, w której, według Duffeya, żyły w spokoju borowce. Przejście rzeki to było pół naszego sukcesu. Teraz czekało nas wypatrywanie ptaków. Zachowywaliśmy się głośno, sztucery też nie próżnowały. Po każdym głośnym huku leciały z drzew śnieżne kiście. Celnie trafiony ptak albo spadł, albo dawał następną szansę myśliwemu, przelatując na drzewo stojące obok.

Chodzenie po zaśnieżonym i zmrożonym lesie było nieprzyjemne, bo sztywne igły jodeł i świerków wbijały się boleśnie w policzki niczym oset. Uchroniły nas jednak założone kominarki, w których nie tylko było cieplej, ale i bezpieczniej. Wyglądaliśmy w nich jednak jak komandosi, czy terroryści.

Tego ranka kury trudno było dostrzec. Było zbyt wietrznie, hulający pomiędzy gałęziami drzew wiatr naginał je i nie pozwalał wypatrzeć zdobyczy. Pomimo to cztery ślepe kurze trofea przywieźliśmy do chaty.

Wieczorem ich tuszki skwierczały na patelni i podgrzewały emocje, a zapach jabłek, którymi je nafaszerował Andrzej roznosił się po całej chacie.

Szkoda tylko, że tego nie widział, ani nie czuł tych łaskoczących podniebienia zapachów Duffney!



30. Zmarzlaki z Telapagi

Od tej bieli można dostać zawrotu głowy - powiedział Andrzej, kiedy zatrzymał naszą półciężarówkę. Zdjęliśmy przeciwsłoneczne gogle i zgrabialiśmy od mrozu rękami strzepnęliśmy z siebie śnieg. Andrzej na masce pojazdu rozłożył mapę.

- Popatrz, jezioro dochodzi do Temagami, po wschodniej stronie jest drugie Cassals i dalej Timiskaming skąd wypływa Ottawa, a za nią to już wielki Quebec. My musimy skręcić w lewo, po północnej stronie tej wielkiej wody. Do Telapagi mamy jeszcze ze trzydzieści kilometrów zaśnieżonej drogi, oby nie było tylko gorzej. Jeżeli Erwin i ten drugi traper będą w chacie, to powinniśmy się spotkać z nimi za godzinę.

Ujechaliśmy już ze sześćdziesiąt kilometrów od ostatniego mizernego budynku, końcowego śladu cywilizacji. Przed nami nie będzie już żadnej zagrody. Możemy jedynie spotkać myśliwych, Indian lub włóczących się traperów. Wokół nas stał tylko zaśnieżony las, popisany rowami ścieżek łosi, jeleni, wilków i kojotów.

Kiedy wsiadałem do ciężarówki byłem pełen obaw i troski o to czy dojedziemy nad jezioro. Jednak, kiedy poznałem możliwości napędu na cztery koła naszej „hondy”, obawy szybko minęły.

Gorzej byłoby gdyby Erwin nie dotrzymał danego nam słowa lub gdybyśmy zblądzili, ale przecież Andrzej był wytrawnym myśliwym i nie tak łatwo da się mapie zmylić. Głusza tu była kompletna, widzieliśmy tylko lekko zaznaczony ślad wąskiej drożki wijącej się wzdłuż drzew i odsuniętych kamiennych łbów, wystających spod śniegu.

- Jak oni mogli zbudować na tym pustkowiu kamp i w nim zamieszkać, jaka przemożna siła ich tu przywiodła? - zastanawiał się Andrzej.

Aż nie wierzyłem, że tym magnesem mogły być tylko ryby. Z opowiadania Erwina wnioskowałem, że żyły tu olbrzymie północne szczupaki, które dodawały tym jeziorom wielkiej atrakcyjności. Latem ponoć lądowały tu awionetki z bogatymi wędkarzami ze Stanów. Zimą jednak jest spokój, za to spod lodu można wyciągnąć nie lada sztuki. Według Andrzeja i tutejszego out fittera Telapaga, ma być to najzasobniejsze jezioro w ryby w całej okolicy.

Kiedy minęła godzina naszego wzmagania się z drogą zacząłem mieć wątpliwości, czy aby dobrze jedziemy? Nawet przestaliśmy ze sobą rozmawiać. Wyczuwałem, że Andrzej się coraz bardziej denerwuje. Naraz gwałtownie zahamował. Zaklął, wyjął zza siedzenia swój sztucer i wyskoczył z samochodu. Zostałem sam, bo on, co sił pognął w las. Czyżby zobaczył łosia lub wilka? Nie było przecież wcześniej mowy o polowaniu!

Też wziąłem swą strzelbę i z ładownicy wyjąłem na wszelki wypadek dwa naboje. Nic się jednak nie działo. Zobaczyłem, że Andrzej wraca w towarzystwie odzianego w kozuch gościa, który widząc nadjeżdżający samochód schował się prawdopodobnie za drzewo.

Obaj przyszedli do ciężarówki. Był to przyjaciel Erwina, trapper, który od lat dzierżawi tutejsze bagna i chwytą zwierzynę futerkową. Zapytany o drogę do jego chaty wyraził się z przekąsem:

Tych dwoje „zmarzlaków z Telapagi” mieszka nad samym jeziorem, trzy kilometry dalej. Często siedzą w swej altanie na

środku wody. Tam łowią ryby. Jednak więcej się chwala, niż te ryby są warte. To są straszni maniacy, a nie wędkarze!

- Ale żeś nas pocieszył Booth, bo my właśnie jedziemy do nich na ryby.

- No to życzę wam połamania kija!

W taki sposób bez trudu trafiliśmy do chaty Erwina i mieszkającego z nim emeryta Fostera.

Rzeczywiście, obaj byli na jeziorze. Ich kempingowy domek stał ze dwieście metrów od chaty. Dymił z komina niczym prawdziwy parostatek na rzece. Łód tu był mocny, chyba miał z piętnaście centymetrów grubości. Bez obawy poszliśmy na spotkanie z wędkarzami

Zauważyli nas z daleka, bo nad kominem pojawiły się kółka z białego dymu, symbole indiańskiego pokoju.

Mieszkali w domku na płozach, przyciągniętym przez traktor, o wysokim standardzie, z kuchenką w środku, ręczną pompą, ubikacją, piętrowymi pryzami i piecem na drzewo oraz olej. Wnętrze było trochę ciasne, ale wygodne. Ponoć właściciel przywiózł go tu aż spod Niagary.

Dla mnie rewelacją nie było wyposażenie domku, ale w samym środku podłogi wykuta dziura w lodzie, w której tkwiły żywcówki.

- Cześć zmarzlaki! - Powitał Andrzej obu wędkarzy.

- Przepraszam, ale tak nazwał was Booth.

- Niech się ten kłusownik od nas odczepi, odparł Erwin.

- Wy jednak jego słowa zrozumieli na opak. „Zmarzlaki”

są tutaj!

Wskazał na drewnianą skrzynkę obłożoną lodem. Podeszliśmy, a on odsłonił jej zawartość. Leżało tam chyba ze sześć wielkich szczupali. Aż straciłem z wrażenia głos, kiedy chciałem się zapytać jak udało się wyciągnąć je przez niewielkie otwory w lodzie. Każdy z nich miał chyba po metrze długości i ważył ponad dwieście kilogramów. Tak wielkie ryby były dla mnie kompletnym zaskoczeniem.



Naraz od ściany lasu oderwał się mały, czarny punkcik, potem drugi, trzeci. Rozpoznałem wilki. (s. 126)



Po sutoym obiedzie ubrani w szczelne kombinezony,
na śnieżnychskuterach opuszczamy bazę. (s. 125)



- Oto są nasze „zmarzlaki”, które za parę dni Foster zawiezie do Latchford, jednak wcześniej skrzynie tę musimy dopełnić - dodał Erwin.

Po obejrzeniu zawartości skrzyni i wyposażenia domku na płozach byliśmy pełni uznania dla pomysłowości i wysiłku obu wędkarzy. Teraz dopiero zrozumiałem sens zamieszkiwania z dala od cywilizacji, w zupełnej symbiozie z dziką przyrodą.

Obok domku wędkarzy w kierunku brzegu wywiercono jeszcze cztery otwory, w których też tkwiły wędki. Każda z nich zahaczona była o duży sygnalizator ze styropianu. Po schwyceniu się ryby, odwracał się on stroną czerwoną na zewnątrz, a kontrolowany był przez okno z domku. Pomiędzy otworami rozciągnięta była linka asekuracyjna. Obaj wędkarze przypominali mi swym wyglądem Eskimosów. Ubrani byli w kurtki na kozuch, skórzanospodnie na futerku i podobne buty. Na głowie mieli czapy z bobrowych skór, a na rękach rękawice z przyciętymi palcami. Co pewien czas cedzakiem wybierali z przerębli kaszę lodową. Aby nie płoszyć ryb maskowali swą obecność przy otworach rozkładając na lodzie koce.

Według Erwina w miejscach połowów znajdowała się podwodna górką, usłana kamieniami. Były też tam zatopione kłody starych drzew.

Z początkiem zimy – mówił - łowiliśmy przy samych trzcinach, teraz już coraz dalej od brzegu i na większej głębokości ryby żerują.

Chwalili się obaj, że dziennie łowią, po co najmniej dwie duże ryby. Mniejsze wypuszczają z powrotem do wody lub lądują na ich patelni.

Z powodu naszej obecności wywiercono jeszcze trzy otwory, aby i nam dać szansę na złowienie wielkich ryb. Wybrałem jeden z nich i twardo zasiadłem przy zastawionej żywcówce.

Miałem kilka brań. Nawet raz mój sygnalizator schował się pod wodę, jednak później znów wszystko wróciło do normy. Dalej twardo trwałem na posterunku.

Od dziury odciągnął mnie Andrzej, bo w domku przygotowano rybi poczęstunek. Po raz pierwszy jadłem smażone szczupaki polewane piwem. W małym pomieszczeniu domku na płozach, było więcej oparów alkoholu, niż na patelni fileatów. Jednak czuliśmy się tutaj wyśmienicie, a ta wyprawa na ryby należała w Kanadzie do jednych z moich najbardziej udanych.

Po wyjściu z kempingu przekonałem się, że szczupaki porwały obie moje żywcówki, a może mi się tylko tak wydawało. Przy głośnym śpiewie załogi domku nie było już szans na złapanie tutaj czegokolwiek.

Pod wieczór mróz szczypał w uszy, gdy się tylko je odśłoniło. Nadchodziła bardzo zimna, księżycowa noc. Jednak czekała mnie wielka radość. Szczupak sam się złapał na moją wędkę i czekał aż go wyjmę z wody. Moje szczęście było ogromne. Forster od razu zaproponował, że zrobi z niego filety. Wręczyłem mu ciężką rybę do usmażenia, choć żał mi było jej trochę!

Na noc wróciliśmy na ląd, aby w chacie Erwina przenocować. Księżyc kusił nas puszcza, ale byliśmy twardzi i pod wrażeniem wielkich ryb, marzyliśmy o wędkarskich sukcesach.

Rankiem, kiedy tylko zelżał trochę mróz, wróciliśmy na lód. Szybko okazało się, że Forster zapomniał o swoim przyrzeczeniu, zresztą chyba za bardzo obu wędkarzom smakowało piwo, bo zupełnie zlekceważyli sobie wędkowanie.

Mój wielki północny szczupak zamarzł na kość. Leżał dumnie obok domku na płozach jedynie wzbudzając mój zachwyt.

31. Zając „ w śniegowych rakietach”

W małych i sennych miasteczkach północnego Quebecu i Ontario na straganach i w niewielkich sklepikach spożywczych można spotkać w sprzedaży zająca bielaka. Nie chroni go żaden limit i najczęściej jest chwytyany we wnyki przez miejscowych traperów, żyjących na co dzień z lasu.

Władze łowieckie od niedawna ten sposób kłusownictwa nie tolerują, choć niektóre hrabstwa nadal pozwalają tak polować i nikt też z tym procederem zarabiania na życie się nie kryje. Bielak ma piękne, ciepłe i miłe w dotyku futerko, niestety, niezbyt trwałe, a w smaku nie dorównuje naszemu szarakowi.

W księgarniach można dostać popularne podręczniki myśliwskie, w których pisze się o starej tradycji, która nie powinna zagać i punkt po punkcie instruuje jak należy zastawiać wnyki na tego białego kota.

Zając bielak występuje wszędzie. Liczebność jego pogłowia zależy jednak od cyklu rozrodczego, którego kulminacja wzrostu przypada, co dziesięć lub dwanaście lat. Janek w ubiegłym sezonie strzelił ich ze czternaście. Stanowiło to zupełnie przyzwoity wynik.

Sezon na nie trwa do końca lutego, w tym jednak okresie sprzymierzeńcem zająca jest gruba pokrywa śniegu, uniemożliwiająca poruszanie się samochodem po kniei, maskująca biała barwa zająca zlewa się z otoczeniem.

Na drewnianych belkach naszego campu wisiało kilkadziesiąt rakiet, od niewielkich na ubity, zmrożony śnieg, do bardzo dużych, na których chodzenie po kopnym puchu wymagało

nie łąda sportowej kondycji. Były zbudowane z drewna i skóry, inne z plastiku, a nawet wisiały lekkie jak piórko z tytanu.

Janek był wytrawnym myśliwym. Wyniósł swój zapach do łowiectwa od swego ojca, mieszkającego w Dryden, pracownika tamtejszej fabryki celulozy, za oknami, której stała wielka puszcza, z której drewno przerabiano na papier. Na świeżo ścięte zręby przychodziły chmary jeleni, łosie, wilki, szopy, jeżozwierz. Bobry naprawiały poniszczone żeremia, często też zaglądał tam król śmierzdźli – skunks.

Fabrykę celulozy wybudowali Amerykanie, konsorcjum „Weyerhaeuser”, a polujący w lasach pracownicy zakładu nazywali popularnego tu bielaka zającem „w śniegowych rakietach” i tak nazwa ta się rozpowszechniła, że używa się jej do dziś w całej Północnej Ameryce, choć jest też bałamutna, bo oznacza królika, a nie zająca!

Polowanie poprzedziliśmy dokładnym rozeznaniem terenów wokół naszego campu. Przemierzaliśmy na śnieżnym skute-rze zarośla, łąki porośnięte łozami i skalne rumowiska. Natropień było wiele, ale z naszych obserwacji wynikało, że bielaki trzymały się zwartych lasów, w odróżnieniu od naszych krajowych szaraków, które są zwierzyną lubiącą suche rewiry i pola. Zające swe ścieżki popisały w świerkowej zaśnieżonej kniei, przylegającej do oparzeliska, porośniętego łozami, osiką, olchą i brzoźkami. Przy lesie rosnące wierzby były zupełnie okorowane do wysokości, na jaką zwierzęta mogły się wspiąć.

To miejsce wybraliśmy na wieczorną zasadzkę. Pod grubym drzewem postawiliśmy szalaz z gałęzi jodeł, który dla zamaskowania obsypaliśmy śniegiem.

Janek opowiedział mi dużo o swoich sukcesach z bielakami.

- Czasem mi żal tego gacha – mówił - gdyż ma tu wielu wrogów. Polują na niego wszystkie drapieżniki, szczególnie wionną, kiedy trudno mu się ukryć, a wyrazista białosc zwierza odci-na się od tła kniei.

Chcą go mieć w swoim menu orły, sowy, jastrzębie. Najbardziej jednak nie cierpię tych, którzy zakładają pętle na niego. Każdego roku zdejmuję ich kilkadziesiąt sztuk. Możesz je zobaczyć z tyłu naszej chaty. Są tam też większe stalowe linki i pętle z drutu telefonicznego. To znów robota naszych czerwonoskórych przyjaciół. Prawie wszystkie bielaki upolowałem o zmierzchu, bo żerują tylko nocami. Nad horyzontem już niebo poczerwieniało i pierwsze gwiazdki ukazały się nad nami. Mróz szczypał w uszy, ale mimo to pojechaliliśmy na zasiadkę.

Mieliśmy ze sobą styropianowe poduszki, które nie przepuszczały zimna i wilgoci ze śniegu. Szarość dnia trwała jednak dość długo. Janek wziął ze sobą swój małokalibrowy „Browning” z sześciokrotną lunetką, ja pożyczoną dwunastkę. W czatowni przesiedzieliśmy chyba z godzinę. Z lasu naj-



pierw wyszła łania z cielakiem, później kojot ją wystraszył i dłuższy czas baraszkował pomiędzy gałęziami. Kiedy się zupełnie uspokoiło na zaśnieżoną skarpę wybiegły dwa bielaki. Stały naprzeciw siebie słupka i próbowały się boksować. Ich zachowanie było dla nas dziwnym. Szybko się jednak sprawa wyjaśniła, kiedy z lasu wybiegła ich wybranka. Obaj od razu próbowali się

do niej przymilać. Była to odległość zbyt wielka i jedynie mogliśmy zajęcze gody obserwować w szklach lornetek. Zajęczycy jednego z amantów pogoniła i ten szybko zrezygnował z zalotów. Przybiegł blisko naszej czatowni, usiadł na tylnych łapach, a przednimi pomagał sobie przy ogryzaniu kory na pochyłej olsze.

Robiło się coraz ciemniej. Wreszcie Janek uznał, że już lepszej okazji nie będzie i posłał w jego kierunku kulę. Naraz przed nami pokazało się parę dotąd nie obserwowanych bielaków. Zrobił się szum i słychać było jedynie żalosne kniaziania, podobne do płaczu.

Potem wszystko ucichło. Zające znikły. Na śniegu było pusto, tylko olcha i stojący obok świerk niewzruszenie wskazywały na miejsce zajęczego wesela.

Siedzieliśmy jeszcze ze dwadzieścia minut. Zająca „w śniegowych rakietach” trudno było jednak znaleźć. Przypadkowo Janek w latarce odkrył zaledwie jedną czerwoną perełkę. Świecił latarką długo nim rozpoznał białe futerko gacha zanurzone w śnieżnym puchu. Był niewielki, na pewno mniejszy od naszego szaraka i podobny do królika. Jedynie dwie czarne kropki na uszach wyraźnie odcinały się od śniegu i jego futerka. Zdradzały miejsce, w którym pozostał niedoszły amant!

32. Przebiegła sowa

Siedząc w Janka czatowni tym razem ubrany byłem ciepiej. Jeszcze w campie wdziałem na siebie długi, znoszony kożuch, który Janek wymienił za nóż u Indianina z Wyspy Niedźwiedziej. Elegancki to on nie był, ale ciepło utrzymywał jak mało który i dawał poczucie wygody.

Janek pojechał do Latchford. Miał coś do załatwienia w swojej firmie. Skorzystałem więc z okazji i nie chcąc siedzieć samemu w chacie wolałem marznąć w czatowni.

Spodziewałem się spotkać zająca bielaka, których tu było mnóstwo, jednak zupełnie zapomniałem, że ten zwierz żeruje tylko nocami. Kiedy sobie to uświadomiłem było już za późno, żeby wrócić do chaty. Śniegu tu było powyżej kolan, mróz jednak znośny, bo nie towarzyszył mu wiatr, który w Północnym Ontario zawsze obniżał temperaturę o połowę.

Postanowiłem, więc pozostać parę godzin tym bardziej, że miałem Janka sztucer z lunetą.

Przedemną stał zaśniewiony las tak jak wczorajszej nocy, teraz jednak było zupełnie widno. Na pozór nic się nie działo, jednak na odległym starym drzewie gardłowo krakał czarny ptak. Byłem pewien, że to kruk. Kiedy jednak popatrzyłem przez lornetkę ujrzałem wielkiego amerykańskiego orła. Wiedziałem z doświadczenia, że w ten sposób ptaki te zwołują się do padliny lub, gdy odkrywają w rzece ławicę ryb. Ten jednak zbyt długo krakał i nikt go chyba nie słuchał, bo w końcu odleciał.

Potem znów wszystko ucichło. Zacząłem się nudzić, gdy naraz głośne krakanie poderwało mnie z siedzenia. Z początku byłem przekonany, że orzeł - łamignat usiadł na gałęzi mego

drzewa. Kiedy następnie kłapnął dziobem i cichy dźwięk „pucha” dobiegł do mych uszu, bardziej odsłoniłem szczelinę w mej kryjówce i oniemiałem z wrażenia! Na gałęzi drzewa spostrzegłem śnieżną białą kulę, a w lornetce dostrzegłem na niej ślepią o żółtych tęczęwkach, które skierowane były w moją stronę.

Bez wątpienia odkryłem, białą sowę, która od czasu do czasu krakała podobnie jak orzeł. W przerwach delikatne „pucha, pucha” płynęło po lesie. Ona mnie pierwsza odkryła, kiedy wchodziłem do kryjówki. Znów zakrakała tak przeraźliwie i głośno, jakby zaciągano na jej szyi pętlę. Potem te same dźwięki powtarzała coraz ciszej. Na jej podstępny haczyk dał się nabrać kojot, bo biegał w tę i z powrotem wśród jodeł i szukał rannej zdobyczy, której konanie przed chwilą usłyszał. Zwierz był nerwowy, swym zachowaniem strząsał kiść z gałęzi, a mądra sowa znów zamieniła się w śnieżną kulę i z góry obserwowała całe zdarzenie.

Nagle jak z katapulty wypadł z lasu przestraszony wąty bielaczek. Zygzakami kluczył pomiędzy drzewami. Zachowywał się tak jakby oszalał. Kilka razy pokazał się też kojot, jednak sprytnego przecherę trudno mu było schwycić.

Scenę tę obserwowałem z zapartym tchem. Nawet nachodziła mnie myśl, aby drapieżnikowi posłać kulę. Wcześniej jednak Janek mnie prosił abym niepotrzebnie nie robił hałasu, ze względu na bliską ostoję łosi.

Bielaczek był małym i sprytnym zwierzączkiem. Chyba dopiero pierwszy rok żył na tym świecie. Przebiegły kojot położył się na przesmyku i spokojnie czekał na swą ofiarę. Warował długo nim jak błyskawica wpadł w las. Obsypały się jodły ze śniegu i rozległo się kniazianie zajączka. Byłem przekonany, że to już jego koniec, ale on, naraz wybiegł na polanę i nim zdążył odkryć skąd grozi mu następne niebezpieczeństwo, ostre szpony śnieżnej sowy zatopiły się w jego futrze.

Łopocząc skrzydłami z trudem ptak wciągnął królika na gałąź i zawiesił na sęku. Z lasu wybiegł też kojot. Nawet by się nie domyślił, co się stało, gdyby sowa głośno nie waliła swym

dziobem w łeb gacha, a jego przeraźliwy płacz nie zwrócił uwagi na siebie. Szybko odkrył morderczy charakter sowy i zawiedziony usiadł bezradnie na ścieżce.



Na ścianie pokoju w naszym domku wisiał duży plakat, wydany przez organizację podobną do działającej w Polsce Ligi Ochrony Przyrody. Na nim uwieczniono zagrożone gatunki północnych ptaków drapieżnych. Sowa śnieżna była na pierwszym miejscu wśród ptaków żyjących w tundrze arktycznej.

Po powrocie Janka opowiedziałem mu tę historię ze śnieżną sową. Nie zdziwił się jej zachowaniem mówiąc, że podobnego drapieżnika ma Hatch, Indianin obsługujący myśliwych polujących jesienią na kaczki. Nosi ją na ramieniu z przywiązanym rzemykiem. Chwalił się kiedyś, że wybrał sowę z gniazda jako pisklę. Potem trzymał w klatce z dzikimi kaczkami, które były źródłem jego utrzymania. Wypożyczał je myśliwym jako wabiki w czasie polowań na ptactwo wodne. Kiedy pewnego razu zajrzał do klatki zobaczył, że sowa wszystkie kaczory zabiła. Mimo to darował jej życie i wypuścił na wolność. Sowa po paru dniach wróciła i od tego czasu towarzyszy mu w życiu. Zna parę słów, bezbłędnie wybierze z talii kart cztery asy, jest lubiana

przez ludzi i podziwiana za swój spryt. Pomaga też mu przy szamańskich wróżbach.

Sowy są cenione przez mieszkańców północy, gdyż walczą z gryzoniami. Jednak ich liczba nie jest wielka, W Telagami uważane są za szkodniki, bo wybierają pisklęta z gniazd.

Ptak ten jest doskonale zabezpieczony przed mrozem. Tylko koniec dzioba, oczy i pazury nie ma pokrytych piórami. To wielki podróżnik. Opuszcza swoje strony rodzinne, penetruje kaniony rzek, a nawet go można spotkać na południu Kanady.



33. Fałszywy śmiech

Przebywałem z Andrzejem w głębokim lesie. Wieczorem usłyszeliśmy jakiś przerywany, spazmatyczny śmiech. Był tak złowieszczy fałszywy i przeraźliwy, że przeszył mnie dreszcz strachu. Najpierw był bardzo daleko, aż za rzeką, potem słyszeliśmy go coraz wyraźniej. Zbliżał się od wody w naszym kierunku. Chichoty powtarzały się, co kilka minut.

- Co to może być? - Spytałem przyjaciela.

- Nie wiem. Słyszę coś takiego po raz pierwszy! Wrócimy do campu to nam Erwin wszystko wyjaśni. On ten las zna jak własną kieszeń, polował tu na łosie i wilki, na jarząbki i gęsi.

Z podnieceniem pokonywaliśmy powrotną drogę. Stare przysłowie myśliwskie mówi, że jedna osoba w lesie, to jedna za dużo, ale w tej bezludnej głuszy druga osoba dodawała otuchy, była komfortem.

Po wysłuchaniu Andrzeja, Erwin rozpromienił się i nawet zaczął coś nucić pod nosem.

- Stary, nie trzymaj nas w niepewności! – Niecierpliwił się Andrzej.

- Przyniosłeś mi informację, na którą czekałem od dwóch lat - powiedział wreszcie out fitter. - A więc jednak powróciły! Moi drodzy, cieszcie się razem ze mną, bo na dzierżawiony przeze mnie teren wreszcie po wielu latach powróciły pardwy!

Erwin był ekonomistą. Niemal wszystko przeliczał, przy każdym przedsięwzięciu stawiał plusy i minusy. Nauczył się tego od swego ojca Szkota, który przed wielu laty przybył tu, by budować drogę Trans Canada Highway z Montrealu do Minnesoty.

Postanowiłem również wykorzystać sytuację i do lasu nie brać strzelby, a kamerę z teleobiektywem. Dotąd pardwy jeszcze nie widziałem, a o fotografowaniu tych ostrożnych ptaków mogłem tylko pomarzyć.

Przed laty, kiedy klony zaczęły toczyć pierwszy syrop do pudełek, a ledwo widoczne pąki pokazywać się na gałązkach drzew, po raz pierwszy zobaczyłem w swym lesie pardwy – mówił Erwin. - Było to jednak wcześniej okupione ogromnym wysiłkiem. Na stokach wypalono stare wrzosy, by zaczęły kiełkować nowe pędy – przysmak tych ptaków. Wybrałem teren najbardziej dziki, wysoko położony i otoczony bagiennymi mokradłami i wrzosami. Nieustannie redukowaliśmy tu drapieżniki - lisy, kojoty i wilki. Po paru latach doczekaliśmy się pierwszego stadka ptaków.

Wiedziałem, że pardwy występują w północnej tundrze. Zimą mają upierzenie białe z czarnymi plamkami, teraz powinny być bardziej brązowe. Byłem ciekawy jak wyglądają te, które przyleciały z tak daleka. Śpiew ich miałem już okazję usłyszeć. Indianie przypisują go leśnemu duchowi Czakenaponkowi, który mieszka na bagnach i jest strażnikiem nieczystych dusz ich przodków.

Krzyk samców jest słyszalny na ponad kilometr, a przeciągłe jęki kur są porażające dla nieświadomego wędrowcy.

Po tylu szczegółowych informacjach Erwina nabrałem wielkiego szacunku do pardw.

Przed wschodem słońca zasiadłem w drewnianym szałasie, wybudowanym przez Erwina, pełnym gratów i narzędzi do prac leśnych. W podłużnym okienku odsunąłem szybę. Przede mną rozciągał się widok na uśpione bagno i kilka sterczących wysepek i kęp. Obok wznosiło się wrzosowisko, gdzie stały strzeliste jodły i rosły łyzy. Było to miejsce wyśmienite dla obserwacji terenu, a leżące tu i ówdzie płaty śniegu swą białością rozjaśniały półmrok.

Erwin z Andrzejem nie odważyli się wcześniej zerwać z łóżka, dlatego w lesie byłem sam. Od wewnątrz przymknąłem drzwi dla własnego komfortu. Przez okno wdzierało się zimno, a przed wschodem słońca szum skrzydeł. Coś wpadło w najbliższą kępę przed moim oknem. W lornetce nic a nic nie mogłem wypatrzeć, dopóki kogut nie rozpoczął pieśni godowej. Znów jak wczorajszego wieczoru na bagna i wrzosowiska popłynął chichot, przerywany śmiech zakończony rżeniem.

Naraz z głośnym łomotem skrzydeł zawisło w półmroku przed szalasem stadko pardw. Połyskujące bielą skrzydła i wrzaskliwy szum zrobił na mnie oszałamiające wrażenie. Ptaki obsiadły oddalone drzewo niczym wrony, niektóre zginęły w kępach traw.

Mój aparat stał na statywie wycelowany w najbardziej zasiedloną przez ptaki kępę. Czekał na lepsze oświetlenie, które za chwilę miało przyjść z pierwszymi promieniami słońca.

Nagle wśród narzędzi mego szałasów coś zaszeleściło. Spadło parę puszek po farbie, a spod nich wyskoczył skunks. Rzucił się jak oszalały do drzwi. Lepka, śmierdząca ciecz oblała próg i moje buty. Zwierz wypadł na zewnątrz, gorzki smród wypełnił chatownię. Zdażyłem chwycić statyw z aparatem i nie zważając na pardwy biegłem, co sił do najbliższego strumyka. Zamoczyłem buty i portki i bezskutecznie próbowałem usunąć wydzielinę skunksa. Załamany wróciłem do chaty i tak jak przypuszczałem nie zostałem do niej wpuszczony. Wcześniej musiałem zakopać ubranie w śniegu i w ten sposób miałem kilka dni przymusowego urlopu. Tak król śmierdzieli pozbawił mnie fotografii tych rzadkich ptaków – pardw.

34. Przy wodopoju Czakenaponoka

Podobalo mi się ogromnie to co powiedział Andrzej, że złe duchy Czakenaponoka mieszkają tylko na bagnach Erwina i one to bronią dostępu do jego pardw.

- Spróbujmy upolować te ptaki u jego przeciwnika Nana-bosha – ducha światła i dobra – mówił. Znam takie miejsce, gdzie ten zły duch ze złości zamienił się w wodopój dla leśnych mieszkańców. To miejsce od wieków znają Indianie i zwierzęta znad jeziora Lenor, w samym środku puszczy. Jesienią każdego wieczora i ranka ciągną tam do wody łosie, wilki i jelenie, a obok na mokradła przylatują jarzabki, bekasy i pardwy. Tam zwycięzcą jest dobry duch, żywi Indian i ma w swej opiece wszystkie leśne stworzenia. Indiański strażnik Duffey, twierdzi, że nigdzie na zalesionych terenach nie ma piękniejszego polowania na pardwy jak przy wodopoju nad jeziorem Lenor. Jesień bywa tam szczególnie uwielbianym okresem łowów, ze względu na przepych tundry i piękno lasów. W tym czasie przebywają tam trzy gatunki, pardwy leśne – cieciorniki, jarzabki górskie - borowce. Wiele z nich jest łatwym łupem dla myśliwych, gdyż nie boją się wcale ludzi. Wówczas poluje się na mszarach, którym ton nadają karłowate świerki i jodły, rosnące na bogatym podszyciu.

Przed zachodem słońca zelżał dokuczliwy wiatr. Już tylko drobne płatki śniegu opadały na kamienie przed naszym szalasem. Niepokoiły nas jednak tajemnicze fale na jeziorze, obok którego stał leśny dom. Jeszcze z naszej ciężarówki nie wyładowaliśmy bagaży, a już nad jeziorem pojawił się błądy i wielki księżyc. Od-bijał się w wodzie i kładł smugę cienia na jego tafli. Pod drzewami, pomimo ciemności, słychać było chlupanie wody, kwakania

i klaskania. Potem nastawała cisza, a po niej wszystko zaczynało się od początku.

Ulokowaliśmy się po kątach chaty. Próbowaliśmy zasnąć, jednak sen długo nie przychodził. Na dworze ciągle coś pluskało, pohukiwało, czasem nawet do złudzenia przypominało piłowanie drewna. Przez jedyne okno wpadał do środka blask księżyca i raził w oczy. Przykryłem się kocem, zasłoniłem twarz i tak dopiero obudziła mnie pobudka Janka.

Rześkie powietrze wpadało przez otwarte drzwi, ale wydawało się też ciepło piecyka, który czerwienił się od żaru.

- Wstawaj! - Usłyszałem głos przyjaciela. - Jedziemy na rekonesans. Sprawdzimy ten moczar tak zachwalany przez Duffeya. Powinno tam rosnąć dużo młodych drzewek i gęstych krzewów, a to przyciąga pardwy. Cały ten południowy stok ma być porośnięty wrzosami i jagodziskiem, uwielbianym miejscem przez te ptaki.

Polanę pokryła warstwa świeżego śniegu, dalej stały uśpione nocną ciszą i pokryte białym puchem drzewa. Obok straszły czarne oczodoły skał. Szukam aparatu, wymieniam stare baterie w magazynku, zakładam kożuch i biały kamuflaż, strzelbę zarzucam przez ramię i idę do naszego śnieżnego skutera. Janek wychodzi również ciepło ubrany Jeszcze dodatkowo na twarz naciąga białą kominiarkę, dwunastkę przewiesza przez ramię i lornetkę przez szyję.

Jedziemy w stronę wodopoju, czyli nie zamarzającego bagna na wrzosowiskach. Ma to być tylko nasz pierwszy rekonesans dla rozpoznania terenu, na którym planujemy wieczorem polować na pardwy.

Chodzi o dwa, trzy ptaki, które od razu przeznaczymy na pieczeń. Dla mnie jednak liczy się tylko wykonanie kilku dobrych fotografii.

Nawet nie myślę o zachwalanej przez Janka pieczeni, która, jak twierdzi, jest znakomita i niepowtarzalna, o delikatnym smaku szałwi. Zdobycie ptaków ma być łatwe, bo latają wolno

i tylko rano oraz wieczorami. Przylatują na bagna do wodopoju, najczęściej w dużych, rodzinnych stadach i w czasie lotu gładzą. Jest to sygnał do ukrycia się przed ich bystrym wzrokiem.



Wczesnie rano przybyliśmy do czatowni, ustawionych nad bagnem. Były zrobione z gałęzi i traw, powiązane łykiem z wierzb. Przypominały swym wyglądem kępy, których na mozarze było sporo. Z tych prawdziwych wyrastały szczotki wierzb, których białe kotki są wiosną przysmakiem pardw, tak samo jak pokryte matowym nalotem jagody bązyny i korale żurawin.

Po porannej szarówce siedziałem od pół godziny w czatowni. Janek usiadł naprzeciw. Przede mną rosły łoży i stały wyschłe chwasty. Wśród niezliczonych drózek wydeptanych przez ptaki widać było porozsypywane nasiona i owoce jagód oraz połamane gałązki krzewów.

Pierwszy wzlot stadka wywarł na mnie oszałamiające wrażenie. Wrzaskliwe koguty ze śmiechem i łomotem skrzydeł ciągnęły w stronę mojej czatowni. Nie było jeszcze zbyt jasno i trudno było odróżnić barwy ptaków. Tylko połyskująca biel i łomot skrzydeł świadczyły, że zasiadły w pobliżu. Nie zadawałem nawet sobie sprawy z tego, że mogły mnie odkryć. Dopiero

po chwili zrozumiałem, co się stało. Przez pośpiech zostawiłem na zewnątrz mój żółty kaptur.

Siedzący na szczycie najwyższego świerku kogut rozpoczął pieśń godową, ale swój złowieszczy śmiech nagle przerwał. Mój aparat był wycelowany w jego wachlarzowaty ogon. Nim jednak przycisnąłem migawkę, gwałtownie spłynął na kępę. Potem biała kura wybiegła przerażona przed czatownię i z hałasem odleciała. Nie ochłonałem jeszcze z wrażenia, gdy huk z Janka dwunastki przetoczył się przez bagno.

Kiedy spotkaliśmy się, dźwigał ze sobą lisa. Zadowolony powiedział, ten kłusownik próbował się dostać do kury, a ja to mu uniemożliwiłem.

Przed szalasem czekał na nas Duffey. Obok drzwi stała skrzynka z piwem, a nad nią wisiały przytroczone do belki dwie białe pardwy. Podniósł głowę i dumnie oświadczył:

- Przywiozłem wam piwo do tej ptasiej pieczeni.

Janek nie zastanawiając się wiele wziął oba ptaki i podał mnie.

- Ty je oskubiesz, a ja je usmażę - powiedział!

Natychmiast prysnął jak bańka mydlana mój mit o dobrej fotografii pardw. Zrozumiałem, że więcej na wrzosowisko nie pojedziemy i tak się też stało.

Chyba miałem jakiegoś pecha i chyba prześladował mnie zły indiański duch Czakenaponoka?

35. Polarny lis z krainy duchów

Po przeciwnej stronie jeziora Temagami wędkarze pobudowali stanicę wodną, przed którym latem lądowały prywatne awionetki. Przywoziły najczęściej wędkarskich zapaleńców z odległych o setki kilometrów miejscowości. Te niezbyt głębokie wody, o gliniastym i kamienistym dnie, porośnięte sitowiem i dzikim ryżem, kryły atrakcyjne okazy ryb. Mieszkały tu szczupaki, bassy i wielkie północne pstrągi. W tych wodach roiło się też od bobrów i węży.

Zimą stacja była pusta. Nie wiele osób to zaglądało, bo miejsce te cieszyło się złą sławą. Według indiańskiego przewodnika Wowinoka była to kraina duchów, która pochłonęła już wielu jego przyjaciół i wędkarzy, którzy próbowali łowić ryby na zdradliwych pływających wyspach. Z początku niechętnie o tym mówił, ale kiedy skończyło się piwo w skrzynce przyrzekł nam, że za następny trunek to miejsce wskaże i wyraził zgodę by popłynąć razem z nami.

Kiedy siadaliśmy do łodzi, Kanadyjczyk Snobel powiedział abym zatkał sobie uszy pokazując na zamontowany na krypie silnik samolotowy. Wyglądem przypominał wielką dmuchawę, zabezpieczoną drucianą siatką.

Przed nami rozciągały się, nieskończone rozlewiska, tworzące płycizny porośnięte zielskiem. Płynęliśmy powoli pomiędzy wyspami sitowia aż do otwartej toni. Dotąd uśpiony motor nagle wzbudził się do życia. Potworny ciąg powietrza wysał nas w stronę śmigła. Huk silnika i stukot o kamieniste dno wprawił naszą krypę w wibracje. Trzeszczała i trzęsła się jak drabiniasty wóz na bruku.

Sunęliśmy z niebywałą szybkością. Udałem, że się niczego nie lękam. Chciałem pokazać Snoblowi, że taki hałas to dla mnie pestka i z godnym podziwu zaparciem uszy sobie nie zatkałem.

Łódź pruć po wodzie jak wyczynowy ślizgacz. W bryzgach i oparach wody mój strój zamienił się w mokry, sztywny kokon. O tym jednak nie myślałem, bo co chwilę przed nami rwały się stadka północnych cyranek i czarne jak smoła nury. Było to wspaniałe widowisko. Wpływaliśmy do środka ptasich gromad, które startowały przed nami na wyciągnięcie ręki. Tak blisko nigdy przedtem nie widziałem ptaków.

Nasz kowbojski rajd trwał prawie godzinę nim ukazała się przystań, a huk silnika zmaleł. Teraz dopiero odczułem skutki działania tej diabelskiej maszyny, bo zupełnie ogłuchłem. Po ruchach warg Snobla wywnioskowałem, że Kanadyjczyk coś do mnie mówił. Udałem, że jest wszystko w porządku, a w duchu prosiłem Boga, aby przywrócił mi słuch. Ta głuchota jednak trochę trwała i uchroniła mnie przed wskoczeniem do lodowatej wody przy wyciąganiu łodzi. Uczynił to sam Wowinoka, choć potem niezadowolony popatrzył na mnie z politowaniem..

Cisza panowała tu idealna, zimowe słońce ledwo przygrzewało, za to krajobraz Kanadyjski był wymarzony. Skały i górzyste brzegi, na nich rosnące świerki przeglądały się w wodzie. Ich lustrzane odbicie było utrwalone we wszystkich szczegółach, nawet najmniejsza gałązka, faktura skał, tu były wierniejszą kopią niż te w rzeczywistości, stojące nad brzegiem. Ten nieruchomy obraz na wodzie niszczyliśmy brutalnie dziobem naszej kropy.

Indianin rozpałił ognisko, aby usmażyć mięso z polci łosia, które przywiózł Snobel. Kanadyjczyk otworzył drzwi chaty na przystani. Rozlokowałem swój bagaż na pryczy pod oknem i z troską wytarłem z wilgoci sprzęt fotograficzny.

Przewodnik prosił Snobla o pozwolenie pójścia na bagna, po zająca bielaka lub pardwę na kolację. Kanadyjczyk jednak nie

wyraził zgody. Mówił, że te bagna pochłoneły już wielu ludzi, wędkarzy i myśliwych, najczęściej tych, co pobłądzili. Nawet osoby, które znały mokradła w samotności dostawały zaćmienia umysłu. Myliły kierunki powrotnej drogi. Niektórzy tygodniami błądzili, wędrując w stronę głodowej śmierci. Inni mieli więcej szczęścia, bo odkrył ich samolot z zamontowanymi czujnikami ciepła.

Wowinoka nigdy nie podporządkowywał się nakazom, tym bardziej tu, u siebie w puszczy. Prosił, bo uważał się za człowieka kulturalnego i obytego z cywilizacją, ale nikt nie mógł mu zakazać.

Cała jego rodzina uznawała bagna za krainę duchów, gdzie nieszczęście goni za nieszczęściem. Tam jednak on umiał na śniegu odczytywać tropy zwierząt i ptaków, a nawet zająca bielaka chwycić za uszy i wyjąć spod śniegu. Poszedł, więc po zająca.

Kiedy zaczął narastać zmrok zmartwiony Kanadyjczyk nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nawet żałował, że zabrał na swą łódź Indianina. Ogromna, więc była nasza radość, kiedy przed chatą stanął mokry i politowania godny Wowinoko. Szybko pomogliśmy mu się przebrać i ogrzać przy ognisku. Miał mocno podrapane ręce i okaleczoną twarz. Siedział smutny i zażenowany, Do wieczora się nie odzywał. Język jednak rozwiązało mu kilka butelek piwa wlane do garnka, które podgrzał na ognisku Snobel. Widać było, że pierwszego łyku nie mógł się doczekać. Potem mówił już z przejęciem, zwalając winę na okropne moczary i mieszkające tam od dawna złe duchy.

Bezbłędnie kluczył po tropach zająca bielaka, a kiedy w końcu do jego tunelu wyżłobionego w śniegu wsunął rękę poczuł okropny ból. Zamiast zająca chwycić za uszy, włożył palce w paszczę polarnego lisa. Mimo to wyciągnął białą, puszystą maskotkę, która boleśnie trzymała się dłoni. Na widok człowieka lis wpadł we wściekłość. Oboje mocowali się dopóki pod nim nie załamał się lód, a on sam nie znalazł się w wodzie.

Dobry duch Nanabosho pomógł mu wydostać się z lodowatej topieli. Lisa musiał jednak wypuścić!



36. Myśliwskie pasje Parsleya

Dom Andrzeja Parsleya, skromnego pracownika warsztatu samochodowego i zapalonego myśliwego, był typowym w dzielnicy Ingram w Mississauga. Tak jak pozostałe budynki miał szerokie okna, duże, widne pokoje, zmechanizowaną kuchnię, wielki telewizor i bogato wyposażone wnętrza. Przy domu był garaż, obok szeroka weranda i skalny ogródek. Właściwie nie różniłby się od innych, gdyby po jego bokach nie ustawiano kilkunastu canoe. Te indiańskie łodzie były przyozdobione w różne wzory sztuki ludowej Algonquinów i Huronów - maski, węże i liście, a te zbudowane ze skóry miały nawet na dziobie wplecione poroża jeleni. Stały się one nie lada atrakcją dla przechodniów. Chcąc rozszerzyć swą ekspozycję Andrzej na szczycie budynku umieścił jeszcze wielkie rosochy łosia, a ściany przyozdobił totemami, łukami, rakietami śnieżnymi i wyrobami rzemiosła indiańskiego. Dom stał się ozdobą osiedla, a jego właściciel ważną osobą.

Jednak nie tylko ten zewnętrzny wygląd wyróżniał ten budynek. Jego duszę stanowił tak zwany „besement”, czyli mieszkalna suteryna, królestwo pana domu. Tam w największym pokoju, obłożonym modrzewiową boazerią, gdzie mieściły się myśliwskie zbiory, urządzona była strzelnica. Obok znajdowały się dwa pokoiki jeden przeznaczony był na bar szybkiej obsługi, z regałami pełnymi rozmaitych trunków, a drugi, z zakazem wstępu, nosił nazwę „Prochownia”. Wyposażona została w urządzenia do wykonywania amunicji i naprawy strzał, łuków oraz broni.

Andrzej tak umiłował myślistwo, że najchętniej rzuciłby pracę w warsztacie, gdyby nie astronomiczne ceny jego myśliw-

skich zachcianek - drogich łuków i kusz, które pokochał i z którymi najchętniej polował, a także kosztownych wypraw do odległych puszczy, a nawet Alaskę.

W jego domu największą uwagę zwracały zdobyte przez gospodarza trofea myśliwskie. Skóra wielkiego niedźwiedzia zajmowała czołową pozycję, obok niej wisiały znakomicie spreparowane łby jeleni, pумы, rysia i szopa, - medaliony gęsi, kaczek, pardwy i jarząbków świerkowych. W narożniku stała gablota pełna broni myśliwskiej - wspaniałe sztucery Browinga, winchestery i strzelby.

Wszystkie eksponaty oświetlone były punktowo i robiły niesamowite wrażenie na gościach. Na czołowej ścianie pokoju wisiała wpleciona ze słomy tarcza, na której gospodarz w wolnych chwilach sposobił bystrość swego oka. Ona była najważniejszym miejscem w tym królestwie zwierząt i myśliwskiej atmosfery.

Dowiedziałem się, że Andrzej ma przyjaciela Józefa w Timminis, który pracuje w kopalni niklu i jest zapalonym myśliwym. On to z racji swego indiańskiego pochodzenia, bo urodził się w rezerwacie na Wyspie Niedźwiedziej, nazначzył jakby piętnem swego towarzysza łowów. Od wspólnych wypraw z Józkiem na polowania Andrzej zupełnie zaniedbał broń palną i zamienił sztucer na kosztowny łuk i kołczan.

Patrząc na ten ekwipunek nie wierzyłem w jego skuteczność. Znałem tę broń tylko z książek o Algonquinach Czipwejach, czy Irokezach. Kiedy jednak gospodarz zaprosił mnie do swej prochowni i pokazał kołczan pełen strzał, do których w czasie polowania dokręca się ostre groty, to na ten widok nie umiałem ukryć swego zdumienia. Każda miała swoje etui i była najeżona trzema skośnie zamontowanymi żyłkami na szczycie. Budziły we mnie grozę i strach.

Dowiedziałem się, że strzały takie przeszywają na wylot jelenia, co rzadko czyni kula ze sztucera. Jednak koszty polowań są niewspółmiernie większe. Andrzej nosił, poza odpowiednim

ubraniem myśliwskim, składany fotelik- ambonę, a w nim łuk i kołczan ze strzałami. Komplet takiej broni, z tytanową ambonką, w sklepie myśliwskim „La Baron” w Toronto, kosztuje ponad pięć tysięcy dolarów, prawie połowę samochodu.

Dla Indian strzelby nie nadawały się do cichych polowań, polegających na poszukiwaniu zdobyczy w ciszy i przynajmniej pod jednym względem miały przewagę nad bronią palną. Łuki pracowały cicho, gdy pierwsza strzała chybiła, zwierzę często pozostawał na miejscu i można było strzelać ponownie. Strzelby białych ludzi zwane „grzmiącymi kijami” nie dorównywały łukom, również wtedy, kiedy Indianin dosiadłszy konia umiał dopędzić jelenia, karibu, czy bizona i wybrać sztukę najbardziej dla siebie odpowiednią i bliskim wypuszczeniem strzały ją powalić. Stały się najbardziej cenionym narzędziem zdobywania pożywienia wśród czerwonoskórych.

Współczesne łuki całkowicie zastępują broń palną. Dają szansę myśliwemu na obcowanie w bezpośredniej bliskości ze zwierzyną łowną, a z myślistwa uczyniły sport najwyższej klasy. Myśliwi z łukami nie polują dla zdobycia mięsa, a dla własnej pasji, bogactwa przeżyć w otoczeniu przyrody.

37. W pogoni za bizonem

Reprodukcja obrazu George Catlina, autoportret malarza wisiał w pokoju Andrzeja i zatytułowany był „W pogoni za bizonem”. Artysta pędził w nim na koniu wśród stada bizonów, trzymając gotowy do strzału rewolwer. Później Samuel Colt wykorzystał ten obraz do reklamy swej firmy produkującej broń.

Obecne polowania na bizony w rezerwach, przy użyciu strzelb nie dają żadnej szansy tym wielkim zwierzętom. Bizony są powolne, dawno zatraciły swój pierwotny instynkt i dzikość. To już nie są te zwierzęta z Równin, gdzie były szybkie i agresywne, mogły zaatakować i zabić jeźdźcę i konia go ścigającego. Ryzyko tych polowań zwiększały jeszcze setki nor wyrytych na ich terytoriach przez pieski periowe, a w które zapadały się konie z galopującymi jeźdźcami.

Stada bizonów na Równinach stanowiło jednak dla myśliwych tak wielką atrakcję, że wielu moźnych tego świata pragnęło uczestniczyć w tych gonitwach. Gdy stado uległo panice i się rozpierzchło, myśliwy na koniu doganiał samotnego bizona i przy pomocy rewolweru powalał go na ziemię. W takich polowaniach uczestniczył pisarz Amerykański Washington Irving i swoje wrażenia opisał w książce. Później polował na bizony, malarz George Catlin i słynny szkocki myśliwy kapitan Wiliam Drummond Steward. W roku 1872 wielki Książę rosyjski Aleksy, przy okazji zakupu rewolwerów dla armii wypróbował tę broń polując na bizony.

Groźny, i włochaty bizon z płótna o potężnych mocarnych mięśniach, dostarczał nam wielu tematów do rozmów przy ko-

minku. Przypuszczałem, że odstrzał na te wielkie zwierzęta zdobywa się podobnie jak na żubry w Polsce. Wykonuje go jakaś bogata książęca para i przy światłach kamer bizon zostaje skreślony z listy zwierząt żyjących. Dowiedziałem się, że na kontynencie amerykańskim odstrzał na bizona otrzymuje myśliwy tylko raz w życiu, a ilość selektów sięga rocznie, na przykład w Stanach Zjednoczonych, od czterystu do pięciuset sztuk. Każdy zwierzę podlega ostrej ocenie.



Andrzej uczestniczył w takim polowaniu. Odbyło się w iście amerykańskim stylu. Strażnicy łowieccy na koniach, niczym dawni kowboje, rozbijali stada bizonów i przy pomocy specjalnej broni oznakowali je jako sztuki do odstrzału. Aby zostać naznaczony bizon musiał spełniać wszelkie kryteria ostrej selekcji, nie nadawać się do dalszej hodowli i reprodukcji, lub, gdy był chory czy ułomny.

Przy pomocy karabinków na sprężony gaz wystrzelili napęłnione czerwoną farbą znaczniki, które trafiając w zwierzę rozbryzgiwały ją na nim naznaczając je – piętnem śmierci.

Dopiero po tym myśliwi ruszali na łowy to znaczy tropili i dokonywali przeglądu zabarwionych bizonów.

Ze względu na wysokie koszty polowania, wcale nie było to takie łatwe i proste dla tych nielicznych wybrańców.

Upolowanie tylko raz w życiu bizona, wiązało się u ambitnego myśliwego z chęcią zdobycia jak najatrakcyjniejszego futra, oraz łba. Dla zdobywcy trofeum, miało to zaświadczać o jego wielkim wyczynie do końca życia.

Przegląd stada trwał kilka dni, zanim myśliwy wybrał dla siebie odpowiedniego, naznaczonego bizona.

Potem już wszystko było całkowicie zmechanizowane. Na miejsce powalenia zwierza, przyjeżdżał dźwig z przyczepą i podnosił olbrzyma. Wspecjalizowana ekipa go skórowała, patroszyła i odbiła łeb.

Amerykanie polujący na bizona wówczas upodobią się do tych łowców z prairii. Przed polowaniem zapuszczają brody, ubierają się jak kowboje, są szczęśliwi oraz wzniośle przeżywają zwycięstwo nad „królem prairii.

Przy okazji wykonują wiele fotografii i całe zdarzenie filmują. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie, słuchając opowiadania Andrzeja w jego pełnym myśliwskich pamiątek i trofeów pokoju.

38. Ostatni dzień polowania

Jestem Indianinem z bitnego szczepu Nipissing, powiedział Duffney, którego już pradziadowie zajmowali się myślistwem i ryboustwem. Zauważyłem, że nasz tropiciel się obraził na wypowiedź Janka, że zawałił sprawę tego ranka i wypłoszył nam łosie. Każdy z moich braci mówił ma w genach żyłkę myśliwską, wyssaną z mlekiem matki. Od wieków żyjemy w otoczeniu puszczy i wody, jemy mięso łosi, jeleni i ryb złowionych w rzekach i jeziorach. Ubieramy się w skóry i futra rosomaków, niedźwiedzi, nosimy delikatne koszule i kurtki z jeleniej skórki i ciepłe czapy z szopów. Każdy z nas umie tropić i strzelać z łuku, jak mało, kto z białych ludzi, nawet dzieci w rezerwacie sztukę tę ciągle pogłębiają.

Nigdy jeszcze nie widziałem Indianina tak rozżalonego nieepochlebnym o nim twierdzeniem białego myśliwego.

Przyznałem rację Duffneyowi, bo miałem możliwość osobiście tego sprytu i celności doświadczyć. Przebywając w rezerwacie, Huronów nad jeziorem Georgian Bay, młokosi indiańscy zamiast strzelać do atrap, przy pomocy gumek założonych na palce, biurowymi spinaczami celnie ranili pośladki ciekawskich turystów.

*

Ostatnie dni sezonu na łosie spędzałem w towarzystwie Janka, Andrzeja i Kanadyjczyka Snobla. On to miał swą krypą zawieść nas na północ jeziora Temagami, skąd już pieszo mieliśmy przejść na bezdrzewne tereny nad jeziorem Aston.

Indianin Duffney obiecywał nam spotkanie z niejednym łosiem, bo według jego słów znajdowały się tam najlepsze tereny dla tych wiekowych zwierząt. Bagienne pustkowia, ledwie porośnięte



Pierwszą przeszkodą była zaśnieżona rzeka, a raczej śliska kładka na niej, którą przechodziliśmy z duszą na ramieniu. (s. 138)



W dorzeczach tego jeziora, z którego wody płyną już do Morza Arktycznego, lato trwało krótko. (s 114) Archiwum PKM w Toronto.



Indianka wcisnęła mi kaptur za trzydzieści dolarów. (s. 114)

karłowatymi brzożami, olchami i osiką miały być rajem dla łosi.

Wielkie lasy już dawno pozostały za nami. Wśród topielisk i skał czasem znienacka wyrastała jodła lub świerk, które były najczęściej miejscami obserwacyjnym dla orłów, sów i innych ptaków drapieżnych. Tej nocy mokradła i jodły pokryła warstwa śnieżnego puchu. Pod nielicznymi drzewami powinniśmy czatować i wyczekiwać na spotkanie, z łopataczem. O wschodzie i zachodzie słońca łosie idąc lub wracając z błotnej kąpieli lubiły też sobie podjadać, ogryzając świeże odrosty drzew, stąd ich tropy najczęściej prowadziły od drzewa do drzewa.

- Nie wiem, czemu tak Duffney zachwalał ten odległy rewir - pytał Snobl - i dlaczego uważał go za najbardziej obfityjacy w łosie w całym wielkim Ontario? Przecież stolicą łosia jest małe miasteczko Dryden nad jeziorem Wabigoon, przy trasie, z Thunder Bay do Manitoby. Wiedzą o tym wszyscy, a nawet wdzięczni mieszkańcy ustawili łosiowi wielki stalowy posąg i nadali mu imię „Max”. Wokół miasteczka stworzono niesłychanie korzystne warunki do bytowania zwierzyny, a raczej zrobiło to wielkie amerykańskie konsorcjum „Weyerhaeuser”, eksploatujące tamtejsze lasy i przy okazji dające prace dziesiątkom mieszkańców terenów odległych od stolicy prowincji. Zręby szybko porastają świeżymi gałązkami i przywabiają łosie, ale są też magnesem dla jeleni i wilków.

Mieliśmy licencję na odstrzał byka i jednego łoszaka. Jego wykonanie wcale jednak nie było takie proste w tych odludnych regionach łosie, kiedy wyczują myśliwego odchodzą. Ponieważ są dobrymi pływakami bez trudu pokonują jeziora i rzeki.

Są jeszcze ostrożniejsze od jeleni wirginijskich. Zimą jest trochę łatwiej. Używając rakiet śnieżnych można podejść pod wiatr mniej czujne zwierzę. Nam to się jednak nie udawało. Indianin uznał, że pierwsze nasze zadanie będzie polegać na nie płoszeniu zwierząt, a pewność zdobycia łopatacza mamy przekazać w jego ręce. On, zamaskowany atrapą głowy jelenia i naśladu-

jąc dwa dźwięki - „wyznanie samca” przed konkurentem oraz odgłosem wabienia klępy, doprowadzi pod lufę nawet żonatego byka.

Temu zapewnieniu daliśmy wiarę, choć istniała obawa fuszarki, gdyż dźwięki wabienia miały być emitowane z taśmy magnetofonowej.

Kiedy wstałem o świcie Andrzeja z Duffneyem już w szalasie nie było. Razem z Kanadyjczykiem, ubrani w stroje oranż, szliśmy po ich śladach aż do pierwszych zarośli. Wiatr mieliśmy pomyślny, a kiście śniegu tłumiły kroki. Naraz przystanęliśmy. Z moczaru dało się słyszeć głosy brzmiące podobnie jak wystrzały z pistoletu. Jednak było to łamanie małych drzewek podczas żerowania łosi. Potem popłynęło parskanie, stękanie i rzenie. Nie byliśmy pewni czy to było prawdziwe wabienie zwierząt, czy też dźwięki płynące z magnetofonu. Głosy te powtarzały się kilkakrotnie. Po nich nastała długa, nudząca cisza. Byliśmy nawet pewni, że wrócimy do szałasu.

Nagle przez zamarznięty moczar przetoczył się głośny huk ze sztucera. Opadły pobliskie szrony, a w niebo z hałasem wzleciały kruki, potem jeszcze jastrzęb i śmignęły nad nami białą parldwy.

Mieliśmy już szukać obu myśliwych, gdy spostrzegliśmy Andrzeja wracającego z czapką, w której tkwiła brzozowa gałązka, symbol zwycięstwa.

Jeszcze przed wieczorem ściągnięto z bagna prawie czarnego byka, o grzywiastej szyi. Najbardziej podziwiał go Duffney, twierdząc, że wreszcie spróbujemy chrap z łosia.

Z nieukrywanym zachwytem przyglądałem się temu wielkiemu zwierzęciu, ceremonii studzenia oraz sposobowi zawieszania go między drzewami.

W puszczy też po raz ostatni usłyszeliśmy parskania i stękanie jego rywała, który prawdopodobnie szedł po tropie na spotkanie się z nim!

Nie mogę przysiąc, że tak było, ale ja to tak czułem!

39. Dwa różne światy i Pałac Drakuli

Henryk Dąbrowski urodził się w małej mazurskiej wiosce za Giżyckiem. Jego ojciec – leśnik był zamiłowanym myśliwym, a mały Henio miał niemal stale do czynienia z leśnymi zwierzętami i z bronią myśliwską. Codziennie też oglądał trofea porozwieszane po ścianach, a w szczególności wielkie poroża jeleni i wyroby z rogów w ojca kancelarii.

Mając dwanaście lat po raz pierwszy na urodziny podarowano mu strzelbę. Była to dwudziestka „sauera” i z niej to zdobył swoje pierwsze życiowe trofeum – długodziobą słonkę.

To wiosenne polowanie na zawsze zapadło mu w pamięci. Jeszcze do dziś czuje tamten mazurski zapach świeżych tataraków i rześkie opary wiosennego mszaru. Kiedy potem przebywał w szkole w Giżycku, w każdy wolny weekend wracał do rodzinnego domu i włączył się z ukochaną dwururką, brodząc po bagnach i puszczy.

W Giżycku, pod naporem wydarzeń wolnościowych roku 1980, Henio namalował plakat z motywami „Solidarności” i w ten sposób znalazł się na liście do wilczego biletu – w jedną stronę.

Naraz jak bańka mydlana pękła możliwość przyjęcia go do PZŁ. O skreśleniu go z listy kandydatów do koła łowieckiego powiadomiono ojca. Rodzice rozpaczali. Syn przecież był sposobiony do pracy w lesie.

Za karę Henio otrzymał do wyboru wyjazd do USA lub Kanady. W ten sposób znalazł się, wraz z kilkoma kolegami, w kanadyjskim Winnipegu, stolicy Manitoby, a stąd już tylko krok dzielił go od o wiele zamożniejszej prowincji Ontario. Nie znał języka, bardzo boleśnie doświadczał adaptacji do nowych

warunków w nowej ojczyźnie, gdzie dominowała szaleńcza po-
goń za pracą. Sprzedawał swoje zdrowie i szczęście za pieniądze,
których właściwie nie brakowało, ale należało ich mieć jak naj-
więcej, bo one wyznaczają tutaj pozycję każdego.

Obecnie ma dobrze płatną pracę, rodzinny dom w parku
na przedmieściach Mississauga w Ontario. Twierdzi, że jego dom
rodowici Kanadyjczycy nazwali, na przekór jego marzeniom,
„Pałacem Drakuli”.

- Przedtem było wszystko dobrze – opowiada - dopóki na
urodziny żony nie zaprosiliśmy znajomych. Kiedy zobaczyli na-
sze ściany pełne pamiątek - myśliwskich trofeów, woleli przeby-
wać przy barze z zimnymi zakąskami, a nie w mym myśliwskim,
gościnnym pokoju.

Z początku tego nie rozumiałem, dopiero potem znajomy
kanadyjski myśliwy zapytał mnie jak ja się nie lękam przebywać
wśród tych dziesiątków zwierzęcych czaszek, z których każda ma
nieśmiertelną duszę.

Byłem załamany tym stwierdzeniem mówił Henryk. Opa-
dło we mnie wszystko, co tak pieczołowicie dotychczas pielę-
gnowałem z przywiezionej tradycji z kraju. Nawet powoli zaczą-
łem niektóre trofea zastępować maskami Indian, wymieniać na
łuki i totemy „Ptaka Burzy” oraz ich rzeźby z drzewa - zwierzęta
i ptaki.



Chcąc, choć trochę powetować swą porażkę z kraju z przynależności do PZŁ stałem się członkiem tutejszego klubu myśliwskiego i posiadaczem terenowego Nissana Extera, samochodu o napędzie na cztery koła, oraz wszelkiego asortymentu potrzebnej broni myśliwskiej.

Najczęściej poluję z Kanadyjczykami i tak jak oni wolę jeść mięso z lasu niż ze sklepu. Dlatego moja zamrażarka zawsze jest pełna dziczyzny, a nie czerwonej, nafaszerowanej steroidami wołowiny.

Dopiero po latach przekonałem się do zupełnie odmiennego podejścia Kanadyjczyków do łowiectwa niż tego, które wyniosłem z rodzinnego domu. Zauważyłem, że tu polują przede wszystkim dla smacznej dziczyzny. Na początku dziwili się, dlaczego strzelam do byków jeleni i łosi, a nie do cielaka czy łani, których mięso jest przecież o wiele smaczniejsze.

Polowanie w Kanadzie „tylko dla mięsa”, a nie dla trofeum, jest najbardziej społecznie akceptowane. Tutaj nikt wielkich jelenich wieńców i łopat łosia nie wyciąga z lasu i nie wiesza na ścianach, za to można je spotkać przy wejściach do łowieckiego rewiru, gdzie wiszą przytroczone do pni drzew lub szałasów i przyozdabiają myśliwskie gospody. W indiańskich rezerwach jest ich sporo, ale na nich tylko trenują swą sprawność młodzi myśliwi.

Najczęściej poluję w Północnym Ontario, a tam to już zupełnie inny świat różniący się całkowicie od tego znad Niagary, nie tylko, dlatego, że tam przekraczamy strefę czasową i zegarki cofamy o godzinę do tyłu. Ludzie północy są inni - żyją trochę wolniej i bliżej natury. Tam nikt nie dziwi się, że na przyczepie ciągniemy wielkiego łosia. Ludzie przyglądają się jemu, czasem go żałują, ale i gratulują zdobytego trofeum. To jest świat bliższy memu sercu i wychowaniu w rodzinnej tradycji.

Do dzisiaj noszę w pamięci rażącą biel śnieżnej północy i czuję ucisk pomarańczowych gogli, szarpanie się z ciężkim sku-

terem śnieżnym, obowiązkowo zalepioną cienkim przyklepcem lufę mego sztucera, aby okieścić, czy gałązka jej nie zatkała. Przy strzale taśma się rozpada, rozerwana przez sprężone powietrze. Wszyscy tu tak robią.

W słuchawce słyszę głos Andrzeja. Ostrzega mnie przed kłepą, która prowadzi młodego łoszaka, a na którego nie mamy odstrzału. Każdy z nas ma radio ze słuchawką w uchu i miniaturowy mikrofon w ocieplaczu. W ten sposób się porozumiewamy i to na znaczną odległość (7 km). Jest to podyktowane możliwością zabłądzenia w tych bezludnych przestrzeniach, jak i chęcią szybszego przekazania ważnych informacji, najczęściej limitu pozyskanych zwierząt, zgodnego z posiadaną licencją.

W Kanadzie nie ma selekcji. Strzelać może każdy uczestnik wyprawy. Wystarczy, aby jeden z grupy miał ważny odstrzał.

Andrzej w słuchawce mówi, że wraca do zimowego szałas. Snobel pochwala ten pomysł i namawia go, aby upiekł wątróbkę z wcześniej strzelonego cielaka. Zimny wiatr dmucha w twarz i zalepia gogle śniegiem. Waruję pod zaśnieżonym świerkiem. Po chwili widzę po przez choinki ciągnącą kłepę z łoszakiem, o której wcześniej mówił mi Andrzej.

Co z tego, że mam aparat fotograficzny pod ręką, a przed chwilą włożyłem do niego ogrzane w kieszeni baterie. I tak nie działa, mechanizm zamarzł. Ukrywam, więc się pod czapą śniegową i w lornetce obserwuję łosie. Ciągną ufnie, ogryzają pędy drzew, idą powoli. Trwa to dość długo. Znow słyszę głos Snobla.

– Wracamy, na takim wietrze trudno dłużej wytrzymać! Zresztą niedługo zapadnie zmierzch i zrobi się noc, a w Ontario przepisy zezwalają polować tylko pół godziny po zachodzie słońca.

Obok mnie stoi skuter. Ten sam, na którym nawet przy temperaturze 20 stopni Fahrenheita, czyli 30 stopni Celsjusza poniżej zera podjeżdżałem pod miot i czasem udawało mi się zrobić dobre zdjęcia jeleni. Indianie umieli w ten sposób dogonić wilka, czy nawet łosia, by go powalić.



Bez trudu dosiadam mego gąsienicowego rumaka i mknę na umówione spotkanie. Komin w naszym szałasie już dymi. Podświadomie czuję zapachy smażonej cebuli i wątróbki. Termometr na drzwiach naszego domku jest w skali Fahrenheita i bez przerwy mnie myli. Słupek rtęci wskazuje 10 stopni zimna, a latem pamiętam było 85 ciepła, czyli 35 stopni Celsjusza. Można zwariować! Kto to ma przeliczać? Ale czy to teraz ważne?

Cały następny dzień zajmujemy się dziczyzną. Dzielimy ją pomiędzy wszystkich łowców i przygotowujemy do transportu. Doszliśmy do wniosku, że w czasie naszego pobytu w „zimowym szałasie” więcej czasu spędzaliśmy na patroszeniu zwierzyny, bieleniu, trybowaniu, porcjowaniu i dzieleniu mięsa, niż na polowaniu. Teraz już tylko pakowaliśmy wszystko do próżniowych, igielitowych worków, usuwaliśmy z nich powietrze i chłodziliśmy.

Pozostał nam jeszcze jeden najważniejszy odstrzał na łosia – byka, jednak radio Montreal zapowiadało burze śnieżne w całym północnym Ontario. Za dzień lub dwa mogliśmy mieć problemy z powrotną trasą, bo służby drogowe często o tej porze roku je zamykają na parę dni, aż pogoda się poprawi.

Decydujemy się na powrót do domu. Przed nami długa droga, bo ponad tysiąc kilometrów!

40. Przystanek Alaska

W czasie mego pobytu w Kanadzie wyświetlano w telewizji serial amerykański pt. „Northrh Exposure”. Wówczas podbił on serca wielu ludzi w całej Północnej Ameryce. W Polsce był emitowany jako „Przystanek Alaska” i cieszył się również wielką oglądalnością. Wszystko to za sprawą świetnej fabuły dziejącej się w scenerii nieskazitelnie czystej i bliskiej każdemu z nas przyrody. Oglądaliśmy w nim łosia, który beztrąsko wędrował ulicami małego miasteczka, zupełnie nie zwracał uwagi na ludzi, a oni byli mu przychylni.

Myśliwych szczególnie jednak zainteresował odcinek, w którym filmowy doktor Fleishman zgodził się na udział w polowaniu, by udowodnić wszystkim swoją anty-myśliwską postawę. Mówi w nim, że lekarz jest po to, aby ratować życie, a nie odbierać i zastanawia się nad tym, jakie można mieć przyjemności, i zadowolenie z zabijania. Zastanawia się, dlaczego myśliwi nie mają szacunku dla zwierząt. Przecież nie potrzebują mięsa, bo mogą je kupić w sklepie tak jak każdy inny człowiek.

Tego typu poglądy ma wiele osób i podobnie jak doktor z Alaski artykułują je wobec myśliwych. Zupełnie zapominają o tym, że właśnie dzięki nim uchroniono od zupełnego zniknięcia z kontynentu amerykańskiego bizonów, a w Europie żubrów i wiele innych gatunków zwierząt.

Fleishman reprezentuje młode pokolenie, bez tradycji łowieckiej, wychowany w betonowych blokach Nowego Jorku, dobrze wykształcony, nie znający zupełnie przyrody. Nie ma zainteresowań ani łowieckich, czy wędkarskich, jego lasem był

* Tekst ten opracowałem w oparciu o wypowiedzi i doświadczenia Józefa Starskiego z Kanady, przedsiębiorcy organizującego polowania i wędkarstwo na zasadach handlowych.

podmiejski park ze spacerującymi w nim czworonogami na smyczy i kilku małymi ptaszkami, które coraz rzadziej tam zaglądały, proszących o pomoc Stąd jego negatywne nastawienie do łowiectwa. Dla niego ten park, to „natura”, a telewizyjne bajki o życiu zwierząt jedynym źródłem informacji o przyrodzie.

Po studiach los rzucił go do niewielkiej osady na Alasce, tam miał nieść pomoc ludziom. W zetknięciu się z surową przyrodą i jej bogactwem, chcąc sprostać zapotrzebowaniu współczesnym ekologom i niektórym mediom sprytnie wykorzystał tamtejsze otoczenie dla przedstawiania myśliwych jako ludzi o wypaczonych charakterach.

Aby to udokumentować, bierze udział w polowaniu na jarząbki świerkowe. W czasie łowów naraz zauważa, że współczesny myśliwy robi to, co jego przodkowie przed tysiącami lat ludzkiej cywilizacji. Mimo uświadomienia sobie tego faktu, strzela do ptaka, podnosi go i dopiero wtedy nachodzą go wyrzuty sumienia. Zabiera jarząbka do swej kliniki i reanimuje, przy tym rozpacza nad jego śmiercią i nad tym, że nie może przywrócić mu życia.

Tego samego dnia, wieczorem nasz filmowy bohater bierze udział w tradycyjnej kolacji serwowanej dla mieszkańców osady, gdzie mieści się jego klinika.

Na filmie widać jak doktor ze smakiem zjada pyszne mięso przygotowane z jarząbków, jest to danie firmowe, specjalność tej restauracji. Kiedy sąsiad z boku uświadamia jemu, że chyba zjadł ptaka przez siebie upolowanego, przez chwilę doktor milczy, potem udaje jakby nic wielkiego się nie wydarzyło. Nawet nie rozpacza nad tragedią ptaka, któremu odebrał życie.

Jednak od tego momentu na doktora, Fleshmana przyszło opamiętanie i już odtąd nie głosi anty-myśliwskich poglądów. To wydarzenie wstrząsnęło nim do głębi i olśniło po raz drugi obudziło świadomość roli człowieka w naturalnym łańcuchu pokarmowym na ziemi.

Choć nigdy z niego na pewno nie będzie myśliwy, to przy kolacji doznał ponownego szoku i uświadomił sobie, że myślistwo było od samego zarania dziejów podwalinami bytu człowieka i dziś jest też czymś naturalnym dla tych, którzy je kultywują.

Dla tego myśliwi winni jeszcze bardziej zwiększyć swoje wysiłki dla propagowania zrozumienia przyrody, a także historycznej roli łowiectwa. Jego kontynuowania dla ochrony zwierząt i tradycji również we współczesnych czasach.



SPIS ROZDZIAŁÓW

C Z Ę Ś Ć P I E R W S Z A	9
W BARWACH INDIAŃSKICH JESIENI	9
1. Nad jeziorem Orła	11
2. Zatoka Indiańskiego Śpiewu	22
3. Nie byliśmy sami	28
4. Oczy nasze się spotkały	32
5. Nocna wizyta	37
6. Spotkanie na rzece	41
7. Stary niedźwiedź Mattawa	46
8. Rieczne koty	52
9. Poszukiwacze złota	56
10. Inwazja Bobrów	60
11. Zaczesany chevreuil	64
12. Łanie z piaskowej doliny	68
13. Rykowisko w lesie cedrowym	72
14. Dziki lokator	76
15. W kniei Klubu Oriskany	81
16. Mówili językiem dzikich gęsi	85
17. Muskellungi z Kryjówki	89
18. Firmowy przysmak	95
19. Arktyczne ogorzałki	99
20. W pościgu za szopem	105
	191

CZĘŚĆ DRUGA **110**

ARKTYCZNY POWIEW **110**

21. Muzyka zimowego lasu	112
22. Out fitter z Patawawa	115
23. Wigilijny opłatek w Temagami	119
24. Wilki z Kakako	126
25. Biały wilk	129
26. Upiory z kopalni srebra	132
27. Kaczor za przynętę	135
28. Parka	139
29. Ślepa kura	143
30. Zmarzlaki z Telapagi	146
31. Zając „ w śniegowych raketach”	153
32. Przebiegła sowa	157
33. Fałszywy śmiech	161
34. Przy wodopoju Czakenaponoka	164
35. Polarny lis z krainy duchów	168
36. Myśliwskie pasje Parsleya	172
37. W pogoni za bizonem	175
38. Ostatni dzień polowania	178
39. Dwa różne światy i Pałac Drakuli	183
40. Przystanek Alaska	188

DLA KOLEKCJONERÓW KSIĄŻEK I PRZYGÓD ŁOWIECKICH

KANADYJSKIE SAFARI

ZBIGNIEWA ADAMSKIEGO

WYDAWNICTWO WSPIERANE PRZEZ ZARZĄD OKRĘGOWY POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO
W JELENIEJ GÓRZE

ZBIGNIEW ADAMSKI

ONTARYJSKIE SAFARI

NACZKA • INDIANIE •
NIEZWIĘDZIE • WILGI



Wydanie pierwsze
Jelenia Góra • 2000 r.
Tłumaczenie w Polskiej

Ontaryjskie safari

I wydanie w 2000 r. nakładem autora i rodziny.

II wydanie w 2005 r. nakładem autora i ZO PZŁ
w Jeleniej Górze.

Format 15x21 okł. twarda-złociona i brosz.

Ok. 50 barwnych foto, 20 rysunków, mapki

*Ontario w języku Indian Irokezów oznacza „piękną wodę”.
Jest rajem dla myśliwych i wędkarzy, jakby uosobieniem
piękna, gdzie wszystkie namietności przyrodnicze, traperskie,
wędkarskie łowieckie i fotograficzne o tysiącokrotnie lepiej i
ciekawiej można przeżywać.*

ZBIGNIEW ADAMSKI

NAD RZEKĄ ŚW. WAWRZYNCA

Wieloletnie doświadczenia
w łowiectwie i wędrowności



Wydanie pierwsze
Jelenia Góra • 2002 r.
Tłumaczenie w Polskiej

Nad rzeką św. Wawrzynca

I wydanie w 2002 r. nakładem autora.

III wydanie w 2005 r. nakładem autora i ZO PZŁ
w Jeleniej Górze.

Format 15x21 cm, oprawa twarda-złociona i brosz., 241 stron,
73 barwnych fotografii, ok. 20 rysunków, 2 mapki.

*Zestaw osobliwych przygód, polowań ze szczerem i
aparatem fotograficznym, obrazów kanadyjskiej tundry,
jezior skrzynkujących lodem, miejsc gdzie człowiek nie zagląda przez
długie lata, spotkań z Indianami.*

TECZOWE LASY KANADY

Łowiectwo przygryzane w Północnym Ontario



Wydanie pierwsze
Jelenia Góra • 2003 r.
Tłumaczenie w Polskiej

Tęczowe lasy Kanady

I wydanie w 2005 roku nakładem autora i ZO PZŁ

w Jeleniej Górze.

Format 15x21 cm, oprawa twarda-złociona i brosz., 215 stron,
ok. 40 barwnych fotografii, 37 rysunków, 2 mapki.

*Na granicy zlewni wód do Morza Arktycznego w prowincji
Nipissing leży wielkie jezioro i graniczy ze wspaniałą puszcza
Algonquinów. Na jej obrzeżach istnieje obwód łowiecki nr. 47
gdzie również polują członkowie Polskiego Klubu
Myśliwskiego z Tolono, Kanadyjczycy, Anglicy, Francuzi i
oczywiście Indianie. O tych polowaniach mówi ta książka.*

Są tu jedne z najlepszych na świecie terenów łowieckich dla myśliwych i
wędkarzy. Nie brakuje też atrakcji turystycznych dla wodniaków, a zwłaszcza
urokliwych zakątków dla przyrodników, malarzy i fotografików.

MIESZKAŃCY PÓŁNOCNYCH LASÓW



Oglądałem lasy w barwach zachodzącego słońca jak z malarskiej palety: krwiste klony, o złotych szpilkach modrzewie, żółte topole i brzozy soczystą zielenią jodeł i cedrów, która tworzyła przepyszna mozaikę, prawdziwą tęczę barw i uczył dla zmęczonych ludzkich oczu.

Znajdziesz więcej: w Zarządzie Okręgu Polskiego Związku Łowieckiego w Jeleniej Górze, tel. (0-75) 75 223 68,
Internet: kierusasz.pl, sklep internetowy „Muflon” w Jeleniej Górze, tel. (0-75) 75 257 37 Autor (0-75) 75 249 02.



Muflon

Sklep Myśliwski

**SKLEP MYSLIWSKI - MUFLON
ZAPRASZA**

TEL. (075) 75 257 27

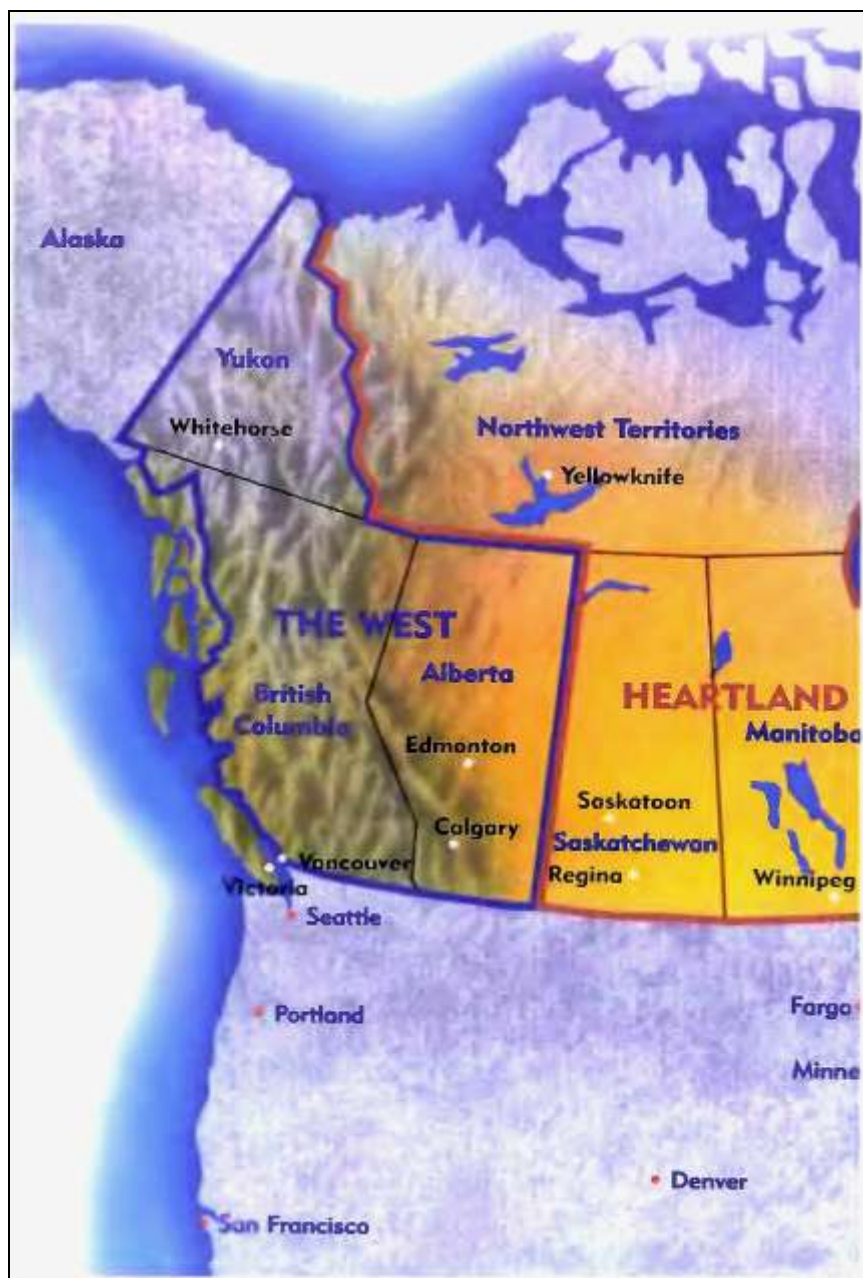
58-500 Jelenia Góra ul. Długa 2

Godziny otwarcia:

Poniedziałek-piątek 10⁰⁰ - 18⁰⁰

Sobota 10⁰⁰ - 14⁰⁰

Broń. Amunicja. Opłuka.
Szafy z atestem. Kartis broń.
Akcesoria. Odzież. Upominki.
Sprzedaż rata.





Kanada zajmuje powierzchnię prawie dziesięciu milionów kilometrów kwadratowych. 2,5 miliona to nieużytki, lasy stanowią blisko 4 miliony km². Jezior jest więcej niż w jakimkolwiek innym państwie.

Pomimo swego ogromu jest słabo zaludniona. Zamieszkuje to państwo niecałe trzydzieści milionów obywateli. Połowa żyje w 150-kilometrowym pasie, ciągnącym się wzdłuż granicy pomiędzy Kanadą a Stanami Zjednoczonymi. Reszta mieszka wśród lasów, prerii, gór, skał, jezior i bagien, na terenach często nie nadających się do osiedlania.

Ponad trzy czwarte kraju jest prawie bezludne ze względu na trudne warunki klimatyczne i geologiczne, nie licząc kilkunastu małych osad i rezerwatów Indian.

Pozwoliło to w prowincji Ontario, która jest większa trzykrotnie od Polski, na zachowanie prawie w nieznaruszonej postaci „tajgi kanadyjskiej”, wraz z jej mieszkańcami, lasów pełnych niedźwiedzi, losi, wilków, kojotów i setek innych gatunków flory i fauny.

W puszczach pozostali też Indianie, niechętnie szukający kontaktów z białymi, często mieszkający na niedostępnych wyspach i w głębi lasów. Ich dawne obyczaje niestety znikają tak szybko jak topnieje śnieg w promieniach wiosennego słońca.

Zbigniew Adamski

